



*Łatwiej zwyciężyć w dziesięciu bitwach niż pokonać jeden mit.*  
Napoleon

JAROSŁAW MOLENDĄ



MITY  
POLSKIE

BELLONA

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Wstęp

Czy Mieszko I był wikingiem?

Czy Bolesław III Krzywousty był dobrym królem?

Czy Warneńczyk zginął pod Warną?

Czy nasz rodak odkrył Amerykę?

Czy husarze mieli skrzydła na plecach?

Czy to Jeremi Wiśniowiecki leży w krypcie klasztoru Świętego Krzyża?

Czy w niedzickim zamku ukryto skarb Inków?

Czy Napoleon sprzyjał Polakom?

Czy Piłsudski stał za zniknięciem generała Zagórskiego?

Czy Rydz-Śmigły był drugim Pétainem?

Czy Sowieci zabili Bieruta?

Ilustracje

Wykaz ilustracji

Bibliografia

Okładka

JAROSŁAW MOLENDĄ

**MITY  
POLSKIE**

**BELLONA**

Warszawa

Projekt okładki i stron tytułowych

*Anna Damasiewicz*

Redaktor prowadzący

*Zofia Gawryś*

Redaktor merytoryczny

*Jolanta Karaś*

Redaktor techniczny

*Beata Jankowska*

Korekta

*Bogusława Jędrasik*

Copyright © by Bellona Spółka Akcyjna, Warszawa 2016

Copyright © by Jarosław Molenda, Warszawa 2016

Zapraszamy na strony

[www.bellona.pl](http://www.bellona.pl), [www.ksiegarnia.bellona.pl](http://www.ksiegarnia.bellona.pl)

Dołącz do nas na Facebooku

[www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona](https://www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona)

Nasz adres: Bellona SA

ul. Bema 87, 01-233 Warszawa

Księgarnia i Dział Wysyłki: tel. 22 457 03 02,

22 457 03 06, 22 457 03 78

faks 22 652 27 01

e-mail: [biuro@bellona.pl](mailto:biuro@bellona.pl)

ISBN 9788311143197

Skład wersji elektronicznej

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

# Wstep



Niezwykła i porażająca jest potęga mitu. Niezmierzone arealy historiografii obsiane są uautentycznionymi mitami, co zauważyli już antyczni dziejopisarze, a po nich setki uczonych i literatów, choćby Aleksander Dumas, ojciec autora *Trzech muszkieterów*, czy Gabriel García Márquez. Wiktor Hugo niezniszczalność mitu zakotwiczonego w świadomości ludzkiej określił genialnie trafnym stwierdzeniem: *il court, il vole, il tombe, il se relève roi*, co znaczy, że mit wstanie królem z najgłębszego upadku i dalej pofrunie lotem orła. „Ujawnieniem bądź przypomnieniem prawdy można mit na chwilę cisnąć o ziemię – przyznaje Waldemar Łysiak – ale nigdy zabić. Prawda jest bezradna wobec Jego Królewskiej Mości – Mitu”[1].

Często ludzie są przekonani, że Hamlet trzymał czaszkę, kiedy zadawał swoje egzystencjalne pytanie o „być albo nie być”. W rzeczywistości przeprowadził ten monolog już w trzecim akcie, podczas gdy scena z czaszką jest w piątym. Jednak w potocznej świadomości te sceny zostały połączone. Historycy starają się oddzielać mity od rzeczywistości, a mimo to istnieją utarte twierdzenia, które wszyscy mniej lub bardziej biorą za pewnik. Dlatego niektórzy nazywają to syndromem Hamleta.

W tradycyjnej historiografii raczej przeciwstawiano historię mitowi, twierdząc, że zadaniem naukowego dziejopisarstwa jest uwolnienie się od wszelkich mitów. Zakres tego pojęcia został znacząco rozszerzony przez historiografię nowoczesną, która uważa je za szczególną formę świadomości społecznej, element ludzkiej kultury. Znalazło to wyraz w definicji zaproponowanej przez Charles’a-Oliviera Carbonella, który uznał mit za:

„(...) wszelką opowieść, każde przedstawienie, wszelką ideę wraz z towarzyszącymi jej obrazami, szeroko rozpowszechnioną i upowszechnioną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, która nadaje grupie (społecznej) jednocześnie spójność kulturową i koherencję moralną (reguły zachowania, sens Historii)”[2].

Mit, legenda – słowa te budziły i pewnie długo jeszcze budzić będą określone emocje związane z rozwiązywaniem zagadek przeszłości. Są więc wpisane niejako w sferę zagadnień, wokół których obraca się każdy historyk, niezależnie od tego, jaką specjalność reprezentuje i jaki określony element przeszłości chce zbadać. „Wiedza mitologiczno-legendarna” okazuje się niekiedy tak interesująca, a jednocześnie tak bardzo prawdopodobna, że wielu historyków chętnie może ją uznać, i uznaje za

godną zamieszczenia w swoich dociekaniach badawczych, bez przeprowadzenia głębszej analizy krytycznej źródeł.

„Charakterystyczne jest – zauważa Czesław Grzelak – że zamiast rzeczowej analizy wydarzeń zaistniałych na wschodnim terytorium Drugiej Rzeczypospolitej, w opublikowanych wspomnieniach sporej liczby wysokich rangą i stanowiskiem polskich wojskowych, a nawet osobistości ze szczybla cywilnego kierownictwa państwa z tego okresu, pokutuje teza, iż zostali zaskoczeni agresją wschodniego sąsiada 17 września 1939 r. Tymczasem przesyłane do nich dane naszego wywiadu, zarówno płytkiego, jak i głębokiego (m.in. polskiego attaché wojskowego w Moskwie pułkownika Stefana Brzeszczyńskiego) wyraźnie wskazywały, że Związek Sowiecki czynił przygotowania do zbrojnej agresji na Polskę. Ale mit o braku znajomości tych faktów przez polskie elity wojskowo-polityczne okazał się dla nich silniejszy i łatwiejszy do przyjęcia niż prawda, że wiedzieli, a nic nie zrobili, chociaż zrobić w tamtej sytuacji niewiele mogli. Ale przynajmniej nie powstałby kolejny mit”[3].

Zastanawiając się nad żywotnością mitu w świadomości społecznej, dotykamy jednocześnie jego licznych funkcji. Tak więc może on powstać – przede wszystkim – na potrzeby własne (zarówno zbiorowości, jak i jednostki), w celu poprawy samopoczucia, by przedstawić się w lepszym świetle. Mit może powstać przeciw komuś (przeciw innej jednostce lub zbiorowości). Celem jest wówczas zdeprecjonowanie tego, przeciwko komu (czemu) jest skierowany. Wówczas bardzo bliski staje się temu, co zwykliśmy postrzegać jako stereotyp.

„Można nawet zaryzykować twierdzenie – pisze Karol Olejnik – że obecność mitów w naszych dziejach ojczystych jest przykładem właśnie szczególnej sytuacji, kiedy to odgrywają one rolę pozytywną. Zaczniemy jednak od ogólnej konstatacji, że mity wzbogacają tradycję, ubarwiają narodową świadomość. Wystarczy w tym miejscu przywołać mit o Piaście, założycielu dynastii. Niekiedy mamy do czynienia z sytuacją, kiedy mity wzajemnie się uzupełniają. Przykładem może być ów mit o odwiecznej zaporze, jaką przeciw Turkom stanowiła Rzeczpospolita (mit przedmurza), a zaczęło się to już w XV stuleciu, kiedy to najstarszy syn Władysława Jagiełły, Władysław III zwany Warneńczykiem, poniósł klęskę. (...)

To nie nikt inny, tylko Mistrz Wincenty Kadłubek przyczynił się do utrwalenia w historiografii błędnego obrazu relacji pomiędzy władzą świecką a duchowną, gdy całkowicie zmienił wcześniejszą relację Galla Anonima o konflikcie biskupa Stanisława z Bolesławem Śmiałym. Taka sytuacja towarzyszyła także następnym etapom dziejopisarstwa. Nawet u schyłku średniowiecznego zapisu, a na progu historiografii nowożytnej znajdujemy tego typu rewelacje, że odwołamy się do relacji

Jana Długosza o rzekomym dowodzeniu armią polsko-litewską pod Grunwaldem przez Zyndrama z Maszkowic.

Czyny wodzów i poszczególnych uczestników zwycięskiego starcia bardziej nadawały się do tworzenia aury sukcesu, ponieważ pomagały maskować mizerne skutki całej kampanii. A zatem przekonanie o szczególnej bitności szlachty, o jej walorach rycerskich było niczym innym jak (w dużym stopniu) kulturową atrapą. (...) Mity znakomicie przecież rekompensują niepowodzenia, które w przeszłości były naszym udziałem, a które w ten sposób (dzięki nim) zyskują dodatkowego znaczenia, stają się mniej dotkliwe (przykładem mit o nieprzerwanym wywoływaniu przedstawiciela nieistniejącej Polski na sultańskim dworze, przez całe XIX stulecie)”[4].

Przypadki mitów i legend związanych z historią narodu polskiego można by mnożyć. Ważniejsza chyba jednak jest ich likwidacja, czy przynajmniej znaczące ograniczenie ich wpływów, nie automatyczne, lecz merytoryczne, za pomocą udokumentowanych badań naukowych. Jednocześnie trzeba zauważyć, że mity i legendy są też w jakiś sposób spoiwem społecznym. Mimo ogólnie pejoratywnego wydzwięku mogą mieć pozytywne znaczenie.

Przykładem są mity państwowotwórcze lub tworzone dla dobra interesów narodowych. Ważne miejsce zajmuje mit wzniosłości, który tworzy się, zwłaszcza wokół dowódców. Najczęściej podkreśla się ich talent, a wojna przestaje być pojmowana jako nieszczęście. Tłumaczy się ją ekspansją lub obroną i racją stanu. Nie ma jednak znaku równości między mitem a nieprawdą[5].

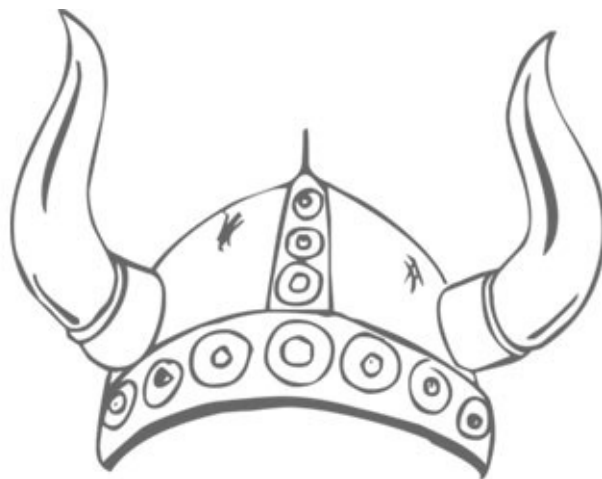
Niniejsza publikacja jest próbą ukazania pewnego sposobu spojrzenia na nasze dzieje, niezważającego na obiektywne, historyczne fakty. Żywotność takich „mitów” ukazuje, jak łatwo polskie społeczeństwo je zaakceptowało. Jakby na potwierdzenie poglądu Pascala, który uważał, że ludzie „niemal zawsze są skłonni wierzyć nie w to, co dowiedzione, ale w to, co im miłe!”.

*Mity polskie* stanowią próbę odkłamania pewnych obiegowych prawd, do których Polacy tak bardzo się przyzwyczaili. Walka z mitami nie jest prosta, co przyznawał nawet Napoleon, który twierdził, że łatwiej zwyciężyć w dziesięciu bitwach, niż pokonać jeden mit. Książka ta nie jest podręcznikiem historii Polski ani próbą napisania jej od nowa. To rodzaj podsumowania dotychczasowego stanu badań, wzbogaconego o najnowsze hipotezy i wnioski.



- 1 W. Łysiak, *Napoleoniada*, Warszawa 1990, s. 261.
- 2 A.F. Grabski, *Czy historiografię można uwolnić od mitów?*, „Przegląd Humanistyczny”, 1996, nr 1, s. 1.
- 3 C. Grzelak, *Mity i legendy w historii – pułapki czy ślady przeszłości*, [w:] *Mit w historiografii i świadomości historycznej*, [w:] *Mity i legendy w polskiej historii wojskowości*, t. 1, red. W. Caban, J. Smoliński, Kielce 2014, s. 27–28.
- 4 K. Olejnik, *Mit w historiografii i świadomości historycznej*, [w:] *ibidem*, s. 23–25.
- 5 R. Renz, *Wstęp*, [w:] *Ibidem*, s. 7.

*Czy Mieszko I był wikingiem?*



Czy Polanie rzeczywiście istnieli? Który gród Piastowie obrali na swe rodowe gniazdo? Czy Mieszko I był wikingiem? Od kilkudziesięciu lat archeolodzy dokopują się do fundamentów naszego kraju. Upadają fakty, dotąd uważane za pewne. Dla wszystkich, którzy bezrefleksyjnie czytali *Kronikę polską*, dzieło autora nazwanego później Gallem, było oczywiste, że Piast i jego potomkowie: Ziemowit, Lestek, Ziemomysł i Mieszko byli Słowianami.

Przewodzili plemieniu, z którego wyszli pierwsi władcy Polan, a później Polski. Współtworzyli zatem dynastię, która była pierwsza i najważniejsza w jej tysiącletniej historii. Ten pogląd obowiązywał w szkolnych i akademickich podręcznikach historii Polski przez prawie cały XX wiek. Dlaczego? Ponieważ idealnie wpisywał się w patriotyczno-nacjonalistyczną wizję historii, pielęgnującą wielkość polskiej państwowości[6].

Momentem przełomowym w kształtowaniu się państwa polskiego była konsolidacja społeczności na skutek zagrożeń wywołanych wybuchem wielkiego powstania Słowian połabskich w latach 936–940. Z badań dendrochronologicznych wynika ponad wszelką wątpliwość, że państwo polskie powstało znacznie później, niż przyjmowali dotychczas historycy[7].

Wkrótce po zawarciu traktatu w Verdun w roku 843 jakiś nikomu nieznanemu z imienia skryba frankoński spisał w Akwizgranie cenny i tajemniczy dokument, dla którego od dawna utarła się zupełnie nieścisła nazwa *Geografa Bawarskiego*. Mieszczą się w nim rzeczowe wiadomości o istniejących już wtedy organizmach politycznych na ziemiach polskich. O Polanach autor nie wspomina.

Zdaniem Andrzeja Zielińskiego Polan wtedy albo jeszcze nie było, albo stanowili tak mało znaczące plemię, że informatorzy *Geografa* nie zwrócili na nie uwagi. A przecież zauważyli i wymienili nawet plemiona tak małe, że władały tylko pięcioma grodami. W sprawie Polan milczą także najstarsi kronikarze czescy[8]. Najstarsza wzmianka o państwie polskim, a właściwie o jego władcy Mieszku I, gdyż nazwa państwa polskiego pojawia się dopiero około roku 1000, została zapisana przez kronikarza saskiego (niemieckiego) Widukinda z klasztoru benedyktyńskiego w Nowej Korbei, obecnie w Północnej Nadrenii-Westfalii.

Jest to zapisek niedatowany, opisujący dramatyczne dla polskiego władcy wydarzenie z około 963 roku, a więc na moment przed przyjęciem chrztu: „Gero

komes... oddał Wichmana barbarzyńcom, od których go przyjął. Ten, przez nich chętnie przyjęty, licznymi atakami niszczył barbarzyńców dalej mieszkających. Księcia Mieszka, którego władzy podlegali Słowianie, którzy zwa się Licicaviki, pokonał dwa razy, zabił jego brata, wyrwał od niego wielki łup”[9].

Nie wiadomo, kim byli owi Licicaviki, poza tym właściwie przekaz ten jednak nic bliższego nie wnosi do poznania genezy państwa polskiego. Ciekawą koncepcję przedstawił za to już w 1876 roku krakowski historyk Karol Szajnocha, który wysnuł teorię, że twórcami pierwszego ośrodka politycznego na naszych ziemiach, we wschodniej Wielkopolsce, nad Gopłem i Lednicą, byli normańscy wygnańcy, Skandynawowie skazani w rodzinnym kraju na banicję i szukający nowej ojczyzny.

„Nazywał się tedy banita – dowodził krakowski historyk – utlag – inaczej ut-lach, co było dalszym pochodnikiem od słowa lach (lag) w znaczeniu prawo i znaczyło tyle, co exiex – człowiek wywołany spod prawa, w dzisiejszym języku angielskim: outlaw, a będąc mało co odmiennym powtórzeniem wyrazu lach, spłynął się nieznacznie z tym słowem, w którym przeto zawierał się najprzód lach ogólny, czyli towarzysz, a następnie ut-lach banita”[10].

Lachowie zaś, czyli normańscy towarzysze-banici, to według Szajnochy znani z kroniki Galla Leszkowie, Lestkowie i w ogóle Lechici panujący w Wielkopolsce przed Piastami. Które bowiem ze znanych plemion słowiańskich byłoby zdolne do zbudowania od podstaw, w ciągu trzydziestu lat, organizacji dysponującej siecią grodów i normańskimi najemnikami z Północy? Nie dokonali tego nawet silni Wieleci.

To Skandynawowie – twierdzi biograf Mieszka I Adam Ruszczyński, i nie jest w tym poglądzie odosobniony – wnieśli na podbijane tereny słowiańskie „know-how” w postaci politycznych i handlowych kontaktów międzynarodowych, ideę mocno scentralizowanej władzy wspartej na sile licznej konnej drużyny i koncepcję państwa wojennego. Taka koncepcja władzy i organizacji stosunków społecznych nie była słowiańska[11].

Początek panowania Ziemomysła, ojca Mieszka I, pokrywa się z hipotetycznym czasem przybycia Polan na nasze ziemie, a także z okresem pierwszego napływu Normanów. Legendarny „Piastowicz” Ziemomysł mógł być jarłem z najbliższego otoczenia Ruryka, który na nasze ziemie wkroczył ze Wschodu, z Kijowa, przyprowadzając razem z Polanami swoją drużynę[12].

Bardzo długo polscy historycy starali się nie wyciągać z tego faktu żadnych konkretnych wniosków. Również z tego, że żaden zagraniczny kronikarz nawet przez moment nie zająknął się o tym, jakoby Mieszko miał pochodzić z dynastii od

lat sprawującej władzę na naszych ziemiach. Co więcej, nie wspomina się nigdzie poza Polską o istnieniu Piasta, owego legendarnego założyciela dynastii[13].

Niektórzy twierdzą w związku z tym, że Polanie znad Warty, współtwórcy Polski i fundatorzy jej nazwy, nigdy nie istnieli i że nazwę tę, jak i sam lud, wymyślili zachodni kronikarze, aby wytłumaczyć znaczenie obcej dla nich nazwy Polonia lub Polania, która na początku XI wieku zaczęła pojawiać się na oznaczenie państwa Bolesława Chrobrego. To on bowiem zaczął umieszczać na swych monetach, które wówczas były bardziej narzędziem politycznej propagandy niż obiegowym pieniądzem, określenie Polonia.

Działo się to w pierwszych latach drugiego tysiąclecia, tuż po imponującym zjeździe w Gnieźnie i oficjalnym określeniu Bolesława „przyjacielem cesarza”. Kronikarze wskazywali, że nazwa Polonia pochodzi od słowiańskiego słowa „pole”, i początkowo, jak Thietmar z Magdeburga, konsekwentnie używali formy Polenia, która jednak szybko przybrała wersję Polonia. Forma Polenia przetrwała jednak w języku niemieckim na określenie Polaków (Polen)[14].

Zdaniem Przemysława Urbańczyka nazwa ta jest sztuczna i została specjalnie wymyślona, by nazwać kraj Bolesława: „Mimo to – wyjaśnia warszawski archeolog – długie powtarzanie raz przyjętej hipotezy zamazało wszelkie wątpliwości co do samego istnienia Polan, których nazwa miała w prosty sposób objaśniać pochodzenie nazwy Polonia. A przecież etnonim Poloni, Palani, Poliani, Poleni pojawia się jednocześnie z nazwą Polonia, Polania, Polenia dopiero ok. 1000 r. i odnoszenie go do czasów «plemiennych» nie ma podstaw źródłowych”[15].

Mediewista Gerard Labuda zarzucił autorowi powyższej teorii, że, przedstawiając błyskotliwy wywód, pominął przekazy dlań niewygodne, choć zawarte... w tych samych źródłach, na które się powołuje. Już choćby w dziele Jana Canapariususa, który rzekomo miał stworzyć Polonów i Polonię, napotykamy określenie „cum Bolizlavo, duce Polaniorum”, a więc „z Bolesławem, księciem Polan”. Również we współczesnych Canapariusowi źródłach niemieckich Bolesław występuje jako „Polianicus dux”, a nie „Polonorum dux”.

„Nazwy Polonia i Poloni funkcjonują tylko w wersji łacińskiej – wyjaśniał poznański profesor – i nie mają odpowiednika w potocznym słownictwie polskim, chyba że w formie żartobliwej Polonus, a także oficjalnie – Polonia zagraniczna. Wniosek z tego jest oczywisty: nie było żadnych Polonów, byli tylko Polanie, od których wywodzi się nazwa krainy Polania z ośrodkiem w Gnieźnie”[16].

Według Galla na kilka pokoleń przed Mieszkiem I miał w Gnieźnie panować książę Popiel, który jednak na mocy boskiego zrządzenia losu został wygnany ze

swojego państwa i zastąpiony przez Ziemowita, syna ubogiego oracza książęcego – Piasta. Na tronie gnieźnieńskim mieli kolejno zasiadać: Leszek – syn Ziemowita, Ziemomysł – syn Leszka, po którym dopiero miał panować Mieszko – syn Ziemomyśła. Jednak badania dendrochronologiczne przyniosły zaskakujące rezultaty.

Okazało się, że najstarsze grody w Wielkopolsce, których początki możemy wiązać z narodzinami państwa polskiego, są dużo młodsze, niż dotychczas sądzono. Choćby gród w Gnieźnie nie powstał w VIII wieku, lecz dopiero około 940 roku. Być może był nawet młodszy od Mieszka I, który, jak się przyjmuje, urodził się około 935 roku. Mając tę wiedzę, trzeba zupełnie inaczej spojrzeć na legendę o Piaście, która, o ile w ogóle zawiera jakieś ziarno prawdy, nie mogła rozgrywać się w Gnieźnie, gdyż w tamtych czasach nie było jeszcze grodu gnieźnieńskiego[17].

Źródła podały, co zresztą zrozumiały, bardzo niewiele konkretnych informacji o Mieszku – jedną z nich jest data śmierci: 25 maja 992 roku, przytoczona przez dwa roczniki niemieckie, mianowicie przez *Roczniki hildesheimskie* i *Roczniki nekrologiczne fuldajskie*, oraz przez niemieckiego kronikarza Thietmara, biskupa Merseburga. Dzięki niemu wiemy również, że Mieszko zmarł w sędziwym wieku, co pozwala przypuszczać, że żył około siedemdziesięciu lat[18].

Początków jego władzy ani podstawowych danych biograficznych (łącznie z datą i miejscem urodzenia) nie oświetla jednak żaden przekaz. Co gorsza, nie wiemy nawet, jak naprawdę się nazywał. Niepewność wprowadza już Gall Anonim, według którego Ziemomysł spłodził „Mieszka, który pierwszy nosił to imię”. Ale już alternatywna wersja zarejestrowana w dwóch najstarszych rękopisach *Kroniki Anonima* podaje, że Mieszko „upřednio nosił inne imię”[19].

Znane nam świadectwa przedstawiają Mieszka jako władcę dużego i silnego państwa. Opisał je hiszpański Żyd, dyplomata Ibrahim ibn Jakub. Około 966 roku został on wysłany przez kalifa Kordoby z misją do cesarza Ottona I. Po powrocie do Hiszpanii sporządził opis swej podróży. Polski w ogóle nie odwiedził, wiadomości na jej temat zebrał w Niemczech i Czechach. Sam stwierdził, że jednym z jego informatorów był cesarz Otton.

„A co się tyczy kraju Meska, to jest on najrozleglejszy z ich [tzn. Słowian] krajów. Obfituje on w żywność, mięso, miód i rolę orną (...). Z Mesko sąsiadują na wschodzie Rus, a na północy Burus [Prusowie]. Siedziby Burus [leżą] nad oceanem [Bałtykiem]. Oni mają odrębny język [i] nie znają języków swych sąsiadów”[20].

Relacje takie mają jednak stosunkowo niewielką wartość. Ich autorzy albo znali te ludy bardzo powierzchownie, albo nawet nie znali ich wcale, a podawane przez nich

szczegóły dyktowała im własna fantazja. Nic w tym dziwnego: nie rozumieli przecież najczęściej nawet języka Słowian. Taki na przykład niemiecki proboszcz Helmold, żyjący w XII wieku, który napisał kronikę Słowian połabskich (*Helmolda kronika Słowian*), wtedy jeszcze w znacznej części pogan, podaje kilka imion bogów słowiańskich, niestety tak przekręconych, że nie można z całą pewnością odtworzyć ich poprawnego brzmienia[21].

Saską transkrypcję imienia Mieszko (*Misaca/Misaco*) zanotował Widukind z Korbei. Gerhard z Augsburga w napisanym w latach 983–993 *Żywocie św. Udalryka* użył formy *Misico*. U Thietmara pojawia się *Miseco* i *Misaco*; u Brunona z Kwerfurtu – *Misico*, *Miesico* i *Mesico*. W dwóch najstarszych rocznikach krakowskich występuje już dwusylabowa forma imienia *Mesco/Mesko*, którą zastosował również Gall Anonim (*Mescho*). Wszystkie te źródła „na pewno nie oddają go w rodzimej postaci pierwotnej, ale w wersji konwencjonalnie zlatynizowanej”[22].

Miał też nasz Mieszko I co najmniej dwóch braci. Jeden z nich o nieustalonym imieniu zginął w pierwszej fazie bitwy pod Cedynią. Imię drugiego jest już znane, brzmi zresztą swojsko – Czciwór. Tyle tylko, że ów Czciwór zapisywany był niekiedy przez kronikarzy jako Cediber lub Cediburus. Które imię było zatem prawdziwe? O Mieszkowym bracie wiadomo tylko, że przez całe życie był poganinem i „nosił się jak woj normandzki”[23].

Ciekawy jest brak „reakcji” kronikarzy na dziwne imię *rex Misaco*. Nawet biskup merseburski Thietmar, który lubił popisywać się znajomością języka zachodniosłowiańskiego, tłumacząc czytelnikom sens imion i nazw własnych, nie objaśnił, co oznacza imię Mieszko. Zadowolił się zlatynizowaną formą *Miseco* i nie opatrzył jej żadnym komentarzem. „Imię nowego gracza geopolitycznego nie zainteresowało też innych autorów wczesnych źródeł, a przecież – podkreśla Przemysław Urbańczyk – etymologizowanie (często zgoła fantastyczne) stanowiło w średniowieczu popularny sposób przybliżania nieoczywistych imion i nazw”[24].

Problemy językoznawców znikają, jeśli dopuścić możliwość, że Mieszko to spieszczenie słowiańskiego wyrazu „miedźwiedź”, czyli „niedźwiedź”, bliskie współczesnemu „miś”, „misiek”. Ale przez długi czas taka interpretacja obłożona była w Polsce anatamą. Dlaczego? Sprawa jest prosta: popularne imię skandynawskie Björn oznacza nic innego jak „niedźwiedź”. A w takim razie „Mieszko” to spieszczone tłumaczenie „rzeczywistego” imienia władcy – Björn. Wniosek stąd prosty. Był Skandynawem[25].

Początki Polski pogrążone są w niemal całkowitych mrokach. Ten stan od dawna prowokował badaczy do wysuwania przeróżnych hipotez. Wśród nich były i takie,

które przypisywały powstanie naszej ojczyzny przybyszom z zewnątrz. W 1918 roku dwaj niemieccy historycy, Lambert Schulte i Robert Holtzmann, odwołali się do dokumentu zwanego *Dagome iudex*, w którym Mieszko I oddawał swoje państwo pod opiekę papieżowi.

Pierwszy historyczny władca Polski jest w nim nazwany Dagome. Zdaniem Krystyny Łukasiewicz Dagome był bawarskim mnichem z klasztoru św. Emmerama w Regensburgu, znanym jako Tagino. Być może ów mnich udał się na polecenie drugiej żony Mieszka I – *senatrix* (senatorki) Ody do Rzymu, aby oddać państwo *Schinesghe* pod opiekę papieża, i dlatego widnieje obok niej w dokumencie jako *iudex* (sędzia). Te działania dyplomatyczne miały się odbyć po śmierci Mieszka I, a tytuł *senatrix*, noszony przez Odę, może świadczyć o jej wdowieństwie[26].

Z kolei wspomniani Schulte i Holtzmann uznali, że był to najpewniej duński wódz imieniem Dago, który około 960 roku podbił na czele swojej drużyny ziemie nad Wartą. Ich teza okazała się niezwykle żywotna i znalazła zwolenników również w Polsce. Identyfikowanie Mieszka z jakimś Dago jedynie na podstawie wspomnianego źródła jest ryzykowne. Akt ten, spisany pierwotnie na papirusie, nie zachował się w oryginale, ale znany jest ze streszczenia sporządzonego w drugiej połowie XI wieku przez kardynała Kurii Rzymskiej. Aleksander Brückner, wybitny sławista pierwszej połowy XX wieku, stwierdził, że „nie ma na świecie tekstu, który w ośmiu wierszach zawierałby więcej zagadek”[27].

Gerhard Rhode w artykule ogłoszonym w 1980 roku, zastrzegając, że „jest to teza zbyt śmiała i niepotwierdzona”, dowodził, że imię Dagome było drugim imieniem Mieszka, którym posługiwał się w kontaktach oficjalnych. Było to imię germańskie, blisko spokrewnione ze skandynawskim imieniem Dagr. Henryk Łowmiański przekonywał w ślad za językoznawcą Janem Otrębskim, że owym imieniem chrzestnym był św. Dagobert z kręgu świętych frankijskich.

Wychodząc z ogólnie przyjętej w starszej literaturze polskiej „tezy o dwóch imionach Mieszka”, wynikającej ze wspomnianego przekazu Galla Anonima, Łowmiański dochodził do oczywistej, właśnie z tego punktu widzenia, konkluzji: „Rozważanie nasunie się samo, jeśli rozważymy, które z dwóch imion: Mieszko czy Dagome, było chrzestne, gdyż jedno z nich musiał przecież wymienić kapłan przy sakramencie chrztu”[28].

Władca Polan otrzymał je w dniu narodzin i używał aż do chwili, gdy jako książę słowiańskiego ludu przyjął, zgodnie ze zwyczajem, imię zrozumiałe i cenione wśród poddanych. Dokonał tego samego zabiegu co wikingscy potomkowie Rerika (Ruryka), pierwszego wareskiego władcy Rusi, którzy we własnym interesie przekształcili



nordyckie imiona na słowiańskie: Ingvar stał się Igorem, Helgi – Olegiem, a Askold – Askoldem[29].

Już kronikarz Nestor w XI wieku twierdził, że Polanie byli wikingami, którzy podporządkowali sobie kijowian i przejęli władzę w okolicy. „Askold tedy i Dir zostali w grodzie tym, i zgromadzili mnóstwo Waregów i poczęli władać ziemią polską”. Dlaczego polską? Ano dlatego że w owym czasie okolice Kijowa zamieszkiwało słowiańskie plemię Polan, czyli „ludzi pól”[30].

To, że wikingowie byli obecni na ziemiach polskich, mało kto dziś kwestionuje. Jednym z dowodów na skandynawską obecność na dzisiejszym Pomorzu jest rdzeń *gardr* (miasto) obecny w nieco zeslawizowanych nazwach miast, takich jak: Stargard, Nowogard, Białogard, Gardziec Odrzański, Gardno, Gardzienice, Starogard Gdański. Ba, skandynawska nazwa choćby Konstantynopola brzmiała Mickligardr, czyli „Wielkie miasto”[31].

Archeolodzy ustalili dość precyzyjnie, że liczba pozostałości po Skandynawach wzrosła znacznie w latach 960–970, czyli podczas rządów Mieszka. Na podstawie znalezisk pochówków wojowników skandynawskich w Łubowie, Lubiniu, Ciepłym, Lutomierniku, Gromicach, Ostrowążu, Skokówku i Sowinkach badacze coraz chętniej przyjmują za pewnik, że część drużyny Mieszka była pochodzenia skandynawskiego. „Można się liczyć z obecnością obcych wojów (przede wszystkim normańskich) w siłach zbrojnych pierwszych Piastów” – twierdzi profesor Zofia Kurnatowska[32].

W drużynie księżęcej służyli, zdaniem kupca Ibrahima, zaprawieni w bojach, doświadczeni wojownicy, niemal wyłącznie cudzoziemcy, którzy potrafili odeprzeć i rozbić pod Cedynią w 972 roku wojska margrabiów brandenburskich – Gerona i Hodona. Zrobili to zresztą przy wydatnej zbrojnej pomocy, jakiej wtedy udzielili polskiemu władcy król Danii, Harald Sinozęby, oraz jomsborgczycy, co świadczyłoby po raz kolejny o bardzo bliskich związkach polańskiego księcia z Normanami[33].

Wikingowie pojawili się na Wolinie po roku 966, a na południe ruszyli dopiero w latach 80. dziesiątego stulecia. Ich obecność na ziemiach Mieszka była podyktowana obopólną korzyścią. Po śmierci Haralda Sinozębego nie cieszyli się przychylnością jego następcy. Na piastowskim dworze szukali nowej szansy. Mieszko mógł pragnąć wykorzystać ich doświadczenie przy organizacji struktur społeczno-gospodarczo-politycznych swego władztwa[34].

Dzięki łodziom, które budowali, mogli obsługiwać szlak komunikacyjny Odra–Warta–Nocę, łączący ziemię gnieźnieńską ze strefą nadbałtycką. Mówimy przecież o czasach, gdy ziemie polskie porastała prastara puszcza, a jedyną arterią komunikacyjną stanowiły rzeki. Prawdopodobnie Skandynawowie zaopatrywali

również Mieszka i Bolesława Chrobrego w ekskluzywną broń skandynawską, czyli miecze i topory. Ludzie ci pomagali też w organizacji zaciągów wojowników skandynawskich do drużyny Piastów[35].

Doktor Błażej Stanisławski utrzymuje, że przybysze z za morza pojawili się wprawdzie już po powstaniu państwa Piastów, ale przekazali Mieszkowi i Bolesławowi niezbędny *know-how*. Bez tego Piastowie nie wkroczyliby z takim tupetem do europejskiej polityki. To Skandynawowie mieli wiedzę, doświadczenia i predyspozycje, by pomóc Piastom zorganizować ich władztwo. Zнали sztukę pisania. Posiadali rozległą wiedzę geograficzną. Mieli wyobrażenie o kształcie świata, w którym żyli. Wiedzieli o istnieniu Bizancjum, wysp na oceanie i Brytanii.

„Dysponowali wiedzą polityczną – podkreśla Błażej Stanisławski – mogli wskazać, gdzie wyrastały nowe królestwa i kto w nich władał. Z wielką wprawą zonglowali wiedzą matrymonialną, czyli orientowali się, który władca posiadał córki na wydaniu czy synów gotowych do zawiązania korzystnego mariażu. Asem w ich ręku były informacje dotyczące ziemi niczyjej, którą można objąć kolonizacją. (...) Tajemnicy nie stanowiły dla nich ówczesne systemy wymiany oraz to, jak zdobyć srebro, podstawę funkcjonowania ówczesnego świata. Dzięki swej wszechstronności i przedsiębiorczości mogli uchodzić za elitę, przynajmniej w naszej części kontynentu”[36].

*Saga o Jomswikingach* niestety pozbawia złudzeń o jakiegokolwiek istotnej roli Słowian w założeniu i funkcjonowaniu tej organizacji militarno-politycznej. Nie była ona politycznym ramieniem państwa Dagome-Mieszka i jego syna Bolesława. Ba, musieli się oni układać z jarłami rządzącymi w Jomsborgu, zwłaszcza że militarny potencjał Jomswikingów był nie do pogardzenia. Saga informuje, że wystawiali na *viking* lub regularne wyprawy wojenne sześćdziesiąt okrętów, co oznacza, że dysponowali ponad trzema tysiącami elitarnych wojowników. Lepiej było ich mieć po swojej stronie[37].

Ich obecność na Wolinie jest wyjątkowym przypadkiem, ponieważ nie znaleziono tam skandynawskich ozdób kobiecych, co świadczy o tym, że w mieście nie było rzeczywistej społeczności z Północy. Mieszkali tam ludzie ze Skandynawii, i to nie tylko kupcy, lecz także wojownicy. Na ich potrzeby tworzono również przedmioty kultowe.

„Przypuszczam nawet – twierdzi profesor Władysław Duczko – że drewniany Światowid z Wolina, uważany przez lata za typowy przedmiot słowiańskiego kultu pogańskiego, w rzeczywistości powstał, i był używany w środowisku skandynawskim. (...) Wśród Słowian nie ma przedstawień bogów z wieloma

twarzami sprzed IX w. (słynny kamienny posąg tak zwanego Światowida z rzeki Zbrucz na Ukrainie też jest datowany na początek IX w.), u Germanów natomiast istnieją one od czasów celtyckich. To właśnie w kulturze celtyckiej, będącej podstawą cywilizacji zachodnioeuropejskiej, występują bogowie z wieloma głowami i twarzami. Skandynawowie przejęli od Celtów wiele mitologicznych przedstawień. Kult posągów wielotwarzowych na początku IX wieku jest więc czymś nowym wśród Słowian. Dopiero w XII wieku staje się on zjawiskiem typowym dla niektórych Zachodnich Słowian”[38].

Drewniany posążek zwieńczony głową o czterech twarzach odkryto w latach 70. ubiegłego stulecia. Figurka szybko zaczęła „robić karierę” wręcz światową. Można ją znaleźć nawet w wydanej w Japonii książce o historii sztuki. Szum, który powstał wokół znaleziska, zmusił do działania milicję. Wiadomo, że ludzie plotkują, szczególnie w takich małych miasteczkach jak Wolin. Szybko ktoś zauważył, że na wykopaliskach, podczas których odkryto Światowida, pracował miejscowy rzeźbiarz ludowy. Podejrzenie o fałszerstwo wymagało zatem interwencji.

Śledztwo w końcu umorzono. Przez długi czas chyba jednak żaden z naukowców nie dałby sobie obciąć palca, że Światowid jest prawdziwy. Dopiero po latach badań udowodniono, że figurka jest autentyczna i pochodzi z wczesnego średniowiecza. Argumentem koronnym okazały się między innymi nacięcia, które dostrzeżono na jego trzonku. Są one takie same jak na jednym z zabytków odkrytych w słynnym norweskim kurhanie w Osebergu. O tym nie mieli pojęcia nawet miejscowi archeolodzy. Wątpliwe jest także, aby dostęp do rzadkiej literatury fachowej miał woliński rzeźbiarz.

W późniejszych latach podobne figurki o czterech twarzach odkryto także w Skandynawii. Tam z kolei woliński rzeźbiarz nie pracował! Badania naukowe wykazały ponadto, że figurka Światowida poza zdobnictwem ma także inne powiązania z kulturą skandynawską. Jej trzonek jest odzwierciedleniem kształtu oselki. Główka o czterech twarzach jest podobna do metalowych okuć oselek odkrytych później w Wolinie. Sama oselka ma natomiast silne konotacje w skandynawskiej mitologii. Także posążek, chociaż okazał się autentyczny, prawdopodobnie z mitologią Słowian ma niewiele wspólnego[39].

Wikingowie z Wolina-Jomsborga – stronnicy zmarłego Haralda Sinozębego, a oponenti jego następcy Swena Widłobrodego – nawiązali stosunki z Mieszkiem I. Książę piastowski mógł dzięki temu przejąć kontrolę nad grodem u ujścia Odry. Dla Normanów z kolei otwarła się droga na południe. Wówczas także zaistniały sprzyjające warunki do nawiązania kontaktów dynastycznych pomiędzy Piastami

a władcami najpierw Szwecji, a później Danii.

Sagi mówią, że król Słowian Burisleif wydał jedną ze swych córek za przywódcę Jomswikingów Sigwaldiego, a ich samych najął do ochrony swego państwa przed wrogimi najazdami. Nie wiadomo, kim był Burisleif, a raczej Burysław, czyli Bolesław lub Bogusław. Skoro jednak sagi podają, że druga córka Burisleifa Gunhilda została żoną władcy Danii Swena Widłobrodego, może chodzić o Mieszka I – przecież wiemy, że żoną Swena była Świętosława, córka władcy Polan[40].

Mieszkówna urodziła Swenowi czworo dzieci, wśród których był przyszły twórca imperium Morza Północnego Knut Wielki, król Danii, Anglii i części Szwedów. Świętosława miała prawdopodobnie trudny charakter, co może tłumaczyć, dlaczego Swen ją oddalił. Do roku 1014 żyła u swego brata Bolesława Chrobrego, a jej syn Knut zabrał ją do siebie po przejęciu władzy.

Wspomina o tym bardzo wiarygodne źródło za pośrednictwem *Kroniki* biskupa Thietmara: „(...) w paru słowach wspomnę o owym jaszczurzym pomiole, czyli o synach onegoż Swena-prześladowcy. Urodziła mu ich córka księcia Mieszka I, i siostra jego syna i następcy, Bolesława. Wygnana przez męża na długi okres czasu, wiele musiała znosić wraz z innymi przykrości. Jej synowie wdali się bardzo pod każdym względem w ojca”[41].

Słowiankami były też zarówno pierwsza nałożnica, jak i oficjalna małżonka przyrodniego brata Knuta, króla Szwecji Olofa. Z obydwoma miał synów, którzy zostali kolejnymi władcami Szwecji. Na tym kontakty dynastyczne ze Słowianami się nie skończyły. W połowie XII wieku dwukrotną królową Szwecji została Rikissa, córka Bolesława Krzywoustego. Jej syn Burislev, czyli Bolesław, po dziadku był też szwedzkim królem[42].

Wróćmy teraz do mariaży Mieszka, jego siostry i córek. Pierwsza znana z imienia żona Geira była duńską królową. Z kolei córki Mieszka wychodziły za mąż za królów lub członków królewskich dynastii. „Czy był to tylko kolejny zbieg okoliczności – zwraca uwagę Andrzej Zieliński – że owi królowie władali w państwach skandynawskich? Skąd w nich taka dążność do koligacji rodzinnych z jakimś słowiańskim książęciem i to zdeterminowana do takiego stopnia, że chrześcijański (wprawdzie od niedawna) król Danii oddał córkę, również chrześcijankę, poganinowi?”[43].

Jak zauważa Przemysław Urbańczyk, wyłonieniu się wielu państw wczesnośredniowiecznych towarzyszyły napięcia spowodowane wzmożoną konkurencją wewnętrzną i równoczesnymi naciskami zewnętrznymi. Stwarzało to potrzebę długotrwałej mobilizacji polityczno-militarnej, która ułatwiała elitom

społecznym przejęcie władzy politycznej, niezbędnej do przełamania antycentralizacyjnych mechanizmów typowych dla ustrojów wodzowskich. A kiedy już czołowe rody zdobyły przewagę nad „demokracją” wiecową, mogły umocnić swoją pozycję przez zastosowanie siły.

„Wydaje się – pisze autor biografii *Mieszko Pierwszy Tajemniczy* – że piastowski przypadek był intrygująco inny. Z perspektywy historiograficznej ambicje geopolityczne Mieszka I ujawniły się w 965 roku nagle i niespodziewanie. Wcześniej zewnątrzni obserwatorzy nie mieli o Mieszku żadnych informacji (...). Niedostatek źródeł odnoszących się do okresu poprzedzającego panowanie Mieszka I utrudnia znalezienie odpowiedzi na ważne pytanie, mianowicie: w jakim stopniu proces formowania się państwa piastowskiego był zdeterminowany przez wpływy zewnętrzne i z jakich kierunków pochodziły te oddziaływania?”[44].

Mediewista profesor Henryk Samsonowicz kilkanaście lat temu pytał: „(...) skąd wzięto środki na finansowanie tak kosztownej inwestycji, jaką była budowa państwa? (...) Co stanowiło produkt, za który sprowadzano broń, kosztowności i ludzi – specjalistów budujących kościoły i prowadzących księżęce kancelarie? Wiele wskazuje na eksport na południe i na zachód podstawowego produktu także ziem starej Europy – ludzi”[45].

Niestety, na te pytania nie ma konkretnych odpowiedzi. Kontakty słowiańsko-skandynawskie miały miejsce przez całą epokę wikingów. Przez długie lata polscy naukowcy nie chcieli zaakceptować faktu, że przebywali oni na ziemiach piastowskich. Nacjonalistyczne podejście powodowało, że byli synonimem Germanów. W związku z tym musieli być postrzegani wyłącznie pejoratywnie. Dopiero w ostatnich latach zaczęto inaczej patrzeć na przybyszów z Północy. Dostrzeżono w nich już nie tylko rabusiów, lecz także kupców, artystów czy wręcz sprzymierzeńców władców państwa Polan[46].

Choć zdecydowana większość historyków odrzuca koncepcję wikińskich korzeni Piastów, niektórzy twierdzą, że Mieszkowi I pomagali w budowie państwa normańscy doradcy i najemnicy. Zdaniem doktora Przemysława Wielowiejskiego „jest wprost nieprawdopodobne, by Mieszko mógł tworzyć swoje państwo przy całkowitej bierności Normanów (...). A terytorialnie najbliższe były ich trwałe zdobycze na Rusi”. Jak dodaje ten sam historyk, „polska nauka nie jest jeszcze gotowa do przełamania stereotypu o naszej całkowitej samodzielności w dochodzeniu do państwa”[47].

Koronnym dowodem, że wikingowie brali udział w budowaniu zrębów polskiej państwowości, są odkrycia archeologiczne na dnie Jeziora Lednickiego, gdzie

odnaleziono mnóstwo normańskich militariów. Przedmioty skandynawskiego pochodzenia odkryto również na terenie Pomorza, Kujaw i Wielkopolski. Jednak najczęściej pozostałości znaleziono na cmentarzysku w Lutomiernsku koło Pabianic: 133 groby, bogate w topory, groty włóczni i miecze. Większość z nich cechuje skandynawskie wzornictwo[48].

Niewykluczone, że wyjaśnienie wielu wątpliwości na temat pochodzenia Piastów przyniosłyby badania genetyczne. Analiza profili genetycznych współczesnych Polaków wykazała, że jesteśmy niezrównanymi w całej Europie mieszancami, ale z Piastami jest o tyle trudniej, że wszystkie linie dynastii wymarły. Można byłoby zbadać materiał genetyczny ze zwłok władców, problem jednak w tym, że nie ma pewności co do tożsamości szczątków najdawniejszych Piastów. Najstarsze, które na pewno są pozostałościami monarchy, należą do Władysława Łokietka i pochodzą z XIV wieku[49].

Przytoczę opinię Brygidy Kürbis zawartą we wstępie do dzieła Galla na temat nowożytnego, a nie średniowiecznego pochodzenia nazwy „Piastowie”. Jest ona dziełem kreacji literackiej, której nadano pseudohistoryczne korzenie. To element mitu o charakterze państwowotwórczym. Wypada jeszcze raz podkreślić, że Dagome-Mieszko, jego syn Bolesław i ich następcy nie nazywali się Piastami i nie mieli żadnej świadomości, że nimi są. Chyba rację miał wybitny mediewista Gerard Labuda, pisząc: „I tak nic więcej nie dowiemy się o tych czasach, słusznie nazwanych przedhistorycznymi, choć są też zwolennicy nazwania ich bajecznymi”[50].

Tak więc ciągle mamy w naszych dziejach Lecha, Kraka, Wandę oraz króla Popieła. Jest również Piast, człowiek o imieniu nieznanym dotąd Polakom, a także bardzo wątpliwy Piastowicz Mieszko I, wreszcie cała piastowska dynastia na polskim tronie. Od XV wieku mamy też oficjalnych sarmackich przodków naszego narodu, mimo że pobyt Sarmatów na polskich ziemiach jest dla historyków bardzo dyskusyjny[51].

Pewne jest natomiast, że obok zestawu genów przypisywanych pierwotnym Słowianom i ich wschodnim sąsiadom (Ugrofinom, Węgrom, sefardyjskim Żydom) kilkuprocentowy udział ma również składnik, który przekazali nam nasi skandynawscy przodkowie[52]. Ich potomkowie stawali się Polakami. W ten sposób pojawili się w naszej historii Skarbkowie, Jaskółdowie, Łabędziowie i liczne nazwy miejscowości skandynawskiego pochodzenia.

„Istnieje jeszcze jeden, mało dotychczas eksponowany, argument przemawiający za skandynawskim pochodzeniem dynastii założonej przez Mieszka I – zauważa Andrzej Zieliński. – Są to pojawiające się często elementy runiczne w polskiej

heraldyce. Przecież nie znalazły się one tam bez żadnego logicznego uzasadnienia, ot tak, po prostu z fanaberii władcy nadającego herb swemu zasłużonemu rycerzowi i określającego mu dokładnie wygląd i kształt jego tarczy herbowej. Runy pojawiały się również na niektórych znakach chorągiewnych polskiego rycerstwa. Te runiczne elementy mogli przynieść ze sobą tylko normańscy jarlowie albo wyniesieni przez nich później na ważne stanowiska w państwie polskim normańscy zaciężni wojownicy”[53].

Skandynawskie wyprawy zbrojne miały początkowo przede wszystkim charakter łupieżczy, głównie w celu zdobycia niewolników, ale pozwalały również młodszym synom poszukiwać miejsc do założenia własnej siedziby, a nawet własnego państwa. Normanom łatwiej było wykorzystać w tym celu mało znaczących Polan, niż zmagać się z władcami dużych i silnych słowiańskich plemion[54].

Wszystko to nie przesądza oczywiście o normańskim pochodzeniu polskiej dynastii panującej, wydaje się jednak wystarczającym powodem, by poważnie zastanowić się nad sensownością tej hipotezy, tym bardziej że spośród wielu argumentów na jej korzyść z konieczności wskazano tylko kilka. Pewne jest jedno – dziś, w 2016 roku, na pytanie o rodowód Mieszka nie sposób dać jednoznacznej odpowiedzi.

---

6 A. Ruszczyński, *Mieszko I. Skandynawski jarl czy słowiański kneź?*, Zielona Góra 2014, s. 33.

7 T. Jasiński, *Początki Polski w nowym świetle*, „Nauka”, 2007, nr 4, s. 18.

8 A. Zieliński, *Polskie legendy, czyli jak to mogło być naprawdę*, Warszawa 2009, s. 43.

9 Cyt. za: T. Jasiński, op. cit., s. 9.

10 Cyt. za: Z. Skrok, *Słowiańska moc, czyli o niezwykłym wkroczeniu naszych przodków na europejską arenę*, Warszawa 2006, s. 97–98.

11 A. Ruszczyński, op. cit., s. 171–172.

12 A. Zieliński, *Miecze wikingów*, Warszawa 2014, s. 77.

13 Ibidem, s. 74.

14 Z. Skrok, *Czy wikingowie stworzyli Polskę?*, Warszawa 2013, s. 115.

15 P. Urbańczyk, *Trudne początki Polski*, Wrocław 2008, s. 88.

16 G. Labuda, *Nie było żadnych Polon/Polonów, byli Polanie*, „Mówią Wieki”, 2009, nr 11, s. 27.

- 17 T. Jasiński, op. cit., s. 12.
- 18 *Polska Mieszka I. W tysiąclecie śmierci twórcy państwa i Kościoła polskiego 25 V 992 – 25 V 1992*, red. J. Piskorski, Poznań 1993, s. 7.
- 19 P. Urbańczyk, *Mieszko Pierwszy Tajemniczy*, Toruń 2012, s. 167.
- 20 Cyt. za: M. Barański, *Dynastia Piastów w Polsce*, Warszawa 2006, s. 32.
- 21 J. Dowjat, *Chrzest Polski*, Warszawa 1961, s. 9.
- 22 A. Bańkowski, *Imiona przodków Bolesława Chrobrego u Galla Anonima (Rozważania etymologiczne)*, „Onomastica”, 1989, t. 34, s. 128.
- 23 A. Zieliński, *Miecze wikingów*, s. 77.
- 24 P. Urbańczyk, *Mieszko Pierwszy*, s. 183.
- 25 A. Szwarc, M. Urbański, P. Wieczorkiewicz, *Kto rządził Polską? Nowy poczet władców – od początków do XXI wieku*, Warszawa 2007, s. 17.
- 26 K. Łukasiewicz, *Polski książę Mieszko Lambert czy król Polski Mieszko II Lambert? Nowe spojrzenie na Dagome iudex i Calendarium Merseburgense*, „Slavia Antiqua”, 2010, t. LI, s. 122–123.
- 27 Cyt. za: Z. Skrok, *Słowiańska moc*, s. 89.
- 28 H. Łowmiański, *Imię chrzestne Mieszka I*, „Slavia Occidentalis”, 1948, t. 19, s. 291.
- 29 Z. Skrok, *Słowiańska moc*, s. 90.
- 30 M. Szymaniak, *Normańska dynastia Piastów?*, „Focus Historia Ekstra”, 2015, nr 1, s. 39–40.
- 31 A. Ruszczyński, op. cit., s. 124.
- 32 *Ziemie polskie w X wieku i ich znaczenie w kształtowaniu się nowej mapy Europy*, red. H. Samsonowicz, Kraków 2000, s. 108.
- 33 A. Zieliński, *Początki Polski. Zagadki i tajemnice*, Warszawa 2015, s. 39.
- 34 J. Orłowska-Stanisławska, *Nordycki think-tank Mieszka I. Rozmowa z dr. Błażem Stanisławskim*, „Focus Historia Ekstra”, 2015, nr 1, s. 43.
- 35 Ibidem, s. 44.
- 36 Ibidem, s. 43.
- 37 A. Ruszczyński, op. cit., s. 140–141.
- 38 A. Krzemińska, *Polak – wiking, dwa bratanki. Rozmowa z Władysławem Duczko*, „Archeologia Żywa”, 2004, nr 3–4, s. 49.
- 39 B. Stanisławski, *Śledztwo w sprawie Jómsborga*, „Archeologia Żywa”, 2012, nr 2, s. 18.



- 40 P. Pizuński, *Polskie ślady skandynawskich wojowników*, „Focus Historia Ekstra”, 2015, nr 1, s. 47.
- 41 *Kronika Thietmara*, tłum. M.Z. Jedlicki, Kraków 2014, s. 195.
- 42 A. Krzemińska, op. cit., s. 46.
- 43 A. Zieliński, *Miecze wikingów*, s. 80.
- 44 P. Urbańczyk, *Mieszko Pierwszy*, s. 102.
- 45 *Ziemie polskie...*, s. 434–435.
- 46 B. Stanisławski, *Jak Słowianie skolonizowali Skandynawię*, „Archeologia Żywa”, 2009, nr 1, s. 36.
- 47 M. Szymaniak, op. cit., s. 41.
- 48 J. Perzyński, *Wikingowie dotarli pod Łódź*, „Nasza Historia. Dziennik Łódzki”, 2015, nr 1, s. 13.
- 49 M. Szymaniak, op. cit., s. 41.
- 50 G. Labuda, *Mieszko I*, Wrocław–Warszawa–Kraków 2002, s. 5.
- 51 A. Zieliński, *Polskie legendy, czyli jak to mogło być naprawdę*, Warszawa 2009, s. 17.
- 52 Z. Skrok, *Czy wikingowie...*, s. 121.
- 53 A. Zieliński, *Początki Polski*, s. 40.
- 54 Idem, *Polskie legendy*, s. 46.

*Czy Bolesław III Krzywousty był dobrym królem?*



Tradycja polska przekazała nam portret księcia, który w czasach swojej młodości był wielkim wojownikiem, nikomu nie chciał płacić trybutu, wywalczył Polsce suwerenną władzę nad Śląskiem, zaś w cesarstwie zyskał dla niej status zbliżony do statusu państwa Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Czy tak było rzeczywiście? Stereotypy bywają bowiem nad podziw żywotne; także – a może nawet zwłaszcza – wówczas gdy przeczą zdrowemu rozsądkowi i bezspornym faktom.

„Nie powinno więc dziwić powszechne do dzisiaj przekonanie – ironizuje Marek Urbański – że nie należy przechodzić pod drabiną, czarny kot zwiastuje nieszczęście, rudzi są fałszywi, a Bolesław Krzywousty to genialny strateg, doskonały taktyk, dalekowzroczny polityk oraz wybitny i pełen cnót wszelakich mąż stanu. Słowem, istny Ojciec Ojczyzny, niezłomnie dbający o jej dobro, autorytet i wszechstronny rozwój. Skąd się wzięła opinia o drabinie, kotach i rudzielcach, trudno mi powiedzieć, natomiast wspomniany przed chwilą wizerunek Krzywoustego stworzył pierwszy kronikarz polski, Gall Anonim”[55].

Ile jest warte źródło, którym podobno był mnich Martin, rzekomo pochodzący z Wenecji, lepiej znany jako Gall Anonim? Jako autor jest mało wiarygodny, mimo że notował, jak sam twierdził, bardzo dokładnie wszystko, co mu na ten temat mieli powiedzieć jacyś niewymienieni przez niego nigdy z imienia „najstarsi Polacy”. Bardziej prawdopodobne jest, że Gall otrzymał od swojego chlebobdawcy bardzo konkretne zadanie stworzenia odpowiedniej wersji naszej przeszłości oraz uzasadnienia misji dziejowej panującej dynastii[56].

Być może, gdyby nie było w naszej historii Galla Anonima, ktoś inny bardziej rzetelnie spisałby nasze najstarsze dzieje. Ale są to już jałowe spekulacje, nijak mające się do tego, z czym dziś mamy do czynienia. Przykład Wincentego Kadłubka może najlepiej świadczyć, że wcale tak być nie musiało. Nie chodzi więc o udowodnienie Anonimowi głoszenia nieprawdy lub koloryzowania rzeczywistości i wybielania charakteru władcy, bo wiadomo, że nie mamy do czynienia z prawdziwą kroniką z życia Bolesława Krzywoustego, ale z utworem tendencyjnym.

Marek Urbański, którego spojrzenie na historię bardzo mi się podoba, przyznaje, że ówcześni panujący nie odznaczałi się z zasady nadmierną skromnością. Zachowanie Bolesława musiało jednak wzbudzać niepokój nawet w myśl kryteriów obowiązujących w tamtej epoce, skoro nawet kronikarz czeski, którego siłą rzeczy

trudno podejrzewać o nadmierną sympatię do Polski, pisze o niej: „O godna pożałowania kraino poddana błazeńskiemu księciu”[57].

Prawdziwa osobowość „Marsowego syna” – takim bowiem przydomkiem z upodobaniem określa księcia Bolesława Gall – wyłania się dopiero z niedomówień kronikarza, a czasem uwag, które wymknęły mu się chyba mimowolnie. Dlatego czytać go trzeba również między wierszami, wnioskować nie tylko z tego, co napisał, ale i z tego, co przemilczał oraz w jaki sposób to uczynił.

„Dość specyficzne stosunki łączyły też księcia Bolesława z poddanymi – tu Gall wygadał się jakby mimochodem – przyznaje Marek Urbański – opowiadając, jak to «kmiotek Piast» zaprosił na ucztę swego władcę, a ten zaproszenie przyjął. «Księżę nie uważał sobie za ujmę zejść do swojego wieśniaka» – powiada nadworny piewca cnot Krzywoustego i odwołując się najwyraźniej do sytuacji znanej mu z autopsji, wyjaśnia: «Jeszcze bowiem księstwo polskie nie było takie wielkie ani też księżę nie wynosił się jeszcze taką pychą i dumą i nie występował tak okazale otoczony tak licznym orszakiem wasali». W innym miejscu, opisując, jak radośnie chłopci witali objeżdżającego kraj Chrobrego, z rozczulającą szczerością podkreśla, że «żaden wędrowiec ani pracownik nie ukrywał [podczas jego przemarszów] wołów ani owiec», co za panowania «Marsowego pacholęcia» było najwyraźniej praktyką nagminną”[58].

Bolesław, syn Władysława Hermana i Judyty czeskiej, któremu nadano później przydomek Krzywousty, przyszedł na świat 20 sierpnia 1086 roku. Matka zmarła w kilka miesięcy po porożu. Wolno przypuszczać, że troska o dobro tego spadkobiercy skłoniła Hermana do rozprawienia się z jego możliwym współzawodnikiem, Mieszkiem Bolesławowicem, synem poprzedniego władcy Bolesława II. W tym samym roku sprowadzono go z Węgier do Polski i wkrótce otruto.

Podanie głosi, że mały Bolesław z odrazą patrzył na hańbę rządów ojcowskich i wskutek tego nerwowy grymas wykrzywił mu usta. Nie można lekceważyć tej bajki, bo mieści się w niej słuszna ocena wydarzeń. Jeśli jednak chodzi o wyjaśnienie owego przydomka, to prawda wygląda, jak się zdaje, bardziej przyziemnie. Po prostu złośliwy wrzód jeszcze w dzieciństwie zniekształcił usta księcia[59].

Pewne światło na tę zagadkę rzuciły badania czaszki znalezionej w podziemiach plockiej katedry wśród szczątków kostnych książąt grzebanych tutaj na przestrzeni wieków. Jeśli czaszka jest autentyczna, a wiele na to wskazuje, to deformacja mogła powstać w czasie porożu, trudnego zapewne, o czym świadczy rychły zgon matki. Rekonstrukcja głowy księcia, dokonana na podstawie relikwii, nie zdradza

większych zniekształceń, albowiem artysta przysłonił usta szerokim, długim wąsem, za jakim mógł je ukrywać sam Bolesław. Wszakże twarz musiała być w sposób widoczny skrzywiona w lewo, gdyż lewa część żuchwy jest przesunięta do tyłu i wyższa od prawej[60].

W panteonie polskich władców Bolesław III zajął poczesne miejsce jako uosobienie waleczności. Na Matejkowskim portrecie jego głowę zdobi spiczasty hełm, na dole obwieszony opaską w kształcie korony, a na „krzywe usta” mistrz z Krakowa już nie znalazł miejsca w przelanej na płótno wizji. Zatriumfowała więc wizja władcy według Galla Anonima, a streszcza ją znakomicie tytuł wzięty z tej pierwszej polskiej kroniki: *defensor patriae* – „obrońca ojczyzny”[61].

„Pewna szpetota – dodajmy od razu – prawdopodobnie wpływała na psychikę nią dotkniętego – uważa biograf władcy Zdzisław Pietras – skłaniała go do szukania rekompensaty gdzie indziej. Może to stąd ów nadmiar energii i stąd ta żądza czynu widoczna potem u dorosłego człowieka?”[62]. Musiał mieć w pamięci doniosłe wydarzenia z Gniezna w roku 1000, kiedy to Bolesław Wielki zyskał uznanie cesarskie jako król i otrzymując włócznie św. Maurycego, został włączony w ścisły krąg władzy nad światem.

Idąc śladami prapradziadka, Krzywousty kontynuował w odniesieniu do pogan na Północy również dzieło Karola Wielkiego, wzorca, który naśladowali i Otto III, i Bolesław Chrobry. Życie przyniosło znaczącą korektę tej kronikarskiej wizji – w pobliże korony trzeci z Bolesławów dotarł, ale jej nie założył, a z północnych zdobyczy, Rugii i Pomorza, złożył hołd cesarzowi[63].

Ostatni z wielkich Bolesławów nie uwieńczył co prawda, jak jego poprzednicy: Chrobry i Śmiały, swych skroni koroną królewską, zyskał jednak nie mniejszą niż oni popularność w ocenie społecznej, ukształtowanej w ciągu ostatnich stu lat przez historyków, powieściopisarzy, publicystów. Krzywousty stał się symbolem historycznym uosabiającym wartość uczucia i dążenia polityczne kolejnych pokoleń Polaków od końca ubiegłego stulecia.

W czasach intensywnego budzenia polskiej świadomości narodowej wśród Kaszubów i Mazurów od schyłku zeszłego stulecia, podczas wyteżonej budowy portu w Gdyni jako okna na świat, jak głośzono w Polsce międzywojennej, czy w czasie integracji całego Pomorza do Polski po drugiej wojnie światowej odwoływano się do postaci Krzywoustego i jego pomorskich działań[64]. Tymczasem, jak komentuje, nie skąpiąc sarkazmu, Marek Urbański:

„Między bajki włożyć można opowieści o żywotnym jakoby dla ówczesnej Polski znaczeniu dostępu do Bałtyku. Krzywousty nie zdobywał Kołobrzegu i innych

grodów pomorskich po to, by włączyć państwo polskie do systemu bałtyckiej wymiany handlowej, już choćby z tej prostej przyczyny, że za jego czasów Polacy nie mieli czego przez te porty wywozić ani za co kupować tego, co do nich przybywało. Pomorze pociągało Bolesława III dlatego, że było bogate – można tam było wziąć obfity łup, a w wypadku politycznego uzależnienia tych terytoriów ściągać z nich sowy trybut. Ale ze świadomą «polityką morską» niewiele miało wspólnego i o takiej w wydaniu Krzywoustego nie może być raczej mowy.

Pomorze Krzywousty zdobywał zresztą w tym samym mniej więcej tempie, w jakim Mojżesz prowadził Żydów przez Synaj (najwyraźniej «jednoczenie prastarych ziem piastowskich» szło dość opornie, głównie zresztą z winy bezrozumnego oporu jednoczonych), tyle że z gorszym nieco skutkiem. Żydzi pustynię w końcu przeszli na dobre, wiele natomiast wskazuje, że panowanie Krzywoustego nad ziemiami pomorskimi było mocno iluzoryczne. W każdym razie w kilka zaledwie lat po śmierci księcia Bolesława nie pozostało po nim śladu”[65].

Ale to jeszcze nie wszystko. Bolesław Krzywousty nie był dobrym władcą. Wskutek długotrwałych wojen, bardzo rzadko zwycięskich, księstwo polskie znacznie podupadło za jego panowania, zarówno gospodarczo, jak i militarnie. Książę był skłócony ze wszystkimi sąsiadami poza Danią, co prowadziło do nieustannych wyniszczających ekonomicznie konfliktów zbrojnych o różnej skali. Na przykład w roku 1132 nie udało się Bolesławowi wyprawa na Węgry, której celem było poparcie przychylnego Polsce kandydata na tron.

Właściwie zakończyła się ona prawdziwą klęską interweniujących wojsk w bitwie nad rzeką Sajó oraz ich chaotycznym odwrotem z ogromnymi stratami. *Kronika wielkopolska* wspomina, że Węgrzy wzięli wtedy do niewoli tylu polskich rycerzy, że cały ówczesny skarb państwa, gromadzony jeszcze od czasów Bolesława Chrobrego[66], nie wystarczyłby na ich wykup. Ba, w odwecie w ciągu trzech kolejnych lat spadały na Polskę najazdy czeskie.

„Czy wobec tego wszystkiego można zarzucać Krzywoustemu, jak to się czyni zbyt często – broni władcę Karol Maleczyński – iż nie miał wielkich, na miarę Chrobrego, planów? Rzeczywiście Krzywousty nie bił słupów żelaznych w nurtach Sali, nie uderzał mieczem w złotą bramę Kijowa, nie przyjmował cesarza w Gnieźnie z przepychem swego pradziada. Ale z drugiej strony zjednoczył w swym ręku, wbrew postanowieniom swego ojca, całą Polskę, co jeden tylko Chrobry przed nim potrafił uczynić. Co więcej, wskrzesił plan swego wielkiego imiennika (oczywiście w zmienionych warunkach) osadzenia w Czechach władcy zależnego od Polski. Choć zamierzenie takie w ostatecznym wyniku zawiodło i książę polski poprzestać musiał

na skromnym uposażeniu swego pupila dzielnicą przyległą do jego państwa, lecz pamiętać trzeba, że podobny plan w warunkach niewątpliwie korzystniejszych, kiedy antagonizm polsko-czeski nie był jeszcze tak rozwinięty, nawet Bolesławowi Chrobremu zupełnie się nie udał”[67].

Władysław Herman, ojciec Bolesława, miał dwie żony, które zbiegiem okoliczności nosiły to samo imię Judyta. Zanim jednak zawarł pierwsze małżeństwo, miał już syna Zbigniewa, zrodzonego „z nałożnicy”, który został przeznaczony do stanu duchownego i prawdopodobnie wyświęcony na księdza. Przebywał aż w Saksonii, w klasztorze żeńskim, może jako kapelan. Na pewno był to wymóg polityczny. Godność przeoryszy owego klasztoru piastowała rodzona siostra królowej Judyty (tej drugiej) i zapewne dobrze pilnowała książęcego syna[68].

Zbierając te rozproszone drobiazgi i poszlaki, zyskujemy inny obraz młodzieńczego Bolesława niż ten, który został zarysowany przez jego kapelana i poetę. Gall bowiem, przeciwstawiając przyrodnich braci, pokazywał dwa schematy: męznego rycerza i spokojnego, nieco bojaźliwego kleryka, który mógłby rządzić Kościołem, lecz nie państwem. Tymczasem horyzonty kulturalne Krzywoustego nie były zawężone do wojaczki, zaś Zbigniew nie był tak bojaźliwy. Inaczej oceniając intelektualne umiejętności Bolesława, łatwiej zrozumiemy prowadzoną przez niego i jego otoczenie rozgrywkę o władzę.

Opuszczenie przez Zbigniewa klasztoru wiąże się najczęściej z akcją uchodźców z Polski, prześladowanych przez panoszącego się Sieciecha, który miał pozbawiać ich urzędów i skazywać na wygnanie, a nawet sprzedawać w niewolę. Zebrani w Czechach, mieli znaleźć wsparcie ze strony syna i następcy zmarłego w 1092 roku Wratysława II, Brzetysława II. Za jego radą – z „czeską chytrą” (ot i Gallowy przyczynek do narodzin stereotypów między sąsiadami!) wysłali najętych ludzi, którzy wykradli młodzieńca z klasztornych murów i sprowadzili do Czech[69].

Śmierć Władysława Hermana poprzedziła według Galla długa choroba, niemniej synowie zmarłego zjawili się w Płocku, gdy już od pięciu dni odprawiano egzekwie. Obu braci przy śmierci ojca zatem nie było, a jeszcze zanim pochowano Władysława, trzeba było godzić jego synów, którzy wszczęli spór „o podział skarbów i królestwa” (chodziło o ziemie łęczycką i sieradzka). Mediacja – przynajmniej tak zaznacza kronikarz – się powiodła, a bracia zastosowali się do zarządzeń, które zdążył w tych sprawach wydać ich ojciec[70].

Zgodnie z wolą zmarłego Bolesław został księciem Krakowa i Wrocławia oraz należących do tych grodów prowincji, Zbigniewowi natomiast – poza dotychczas do niego należącą prowincją Polan z Gniezmem i Poznaniem – przypadły Mazowsze

i Kujawy, a może także środek Polski z Łęczycą. Stary książę nie wyznaczył jednak księcia zwierzchniego. Może zdawał sobie sprawę, że żaden z jego synów nie zgodzi się na podrzędną rolę w państwie, i chciał zapewnić pokój między nimi, przydzielając każdemu z nich połowę kraju.

„Marsowe dziecię” nie było jednak zanadto uszczęśliwione; wszystko wskazuje na to, że Zbigniewowi przypadła w udziale lepsza część spadku wraz z uprawnieniami księcia zwierzchniego. Na pewien czas między przyrodnim rodzeństwem zapanowały prawdziwie „szczerze, braterskie stosunki”, wyrażające się zwłaszcza tym, że Bolesław montował przeciwko bratu koalicję rusko-węgierską, Zbigniew zaś napuszczał na niego Czechów i wchodził w knowania z Pomorzanami[71].

Decyzja Władysława nie zagwarantowała pokoju, gdyż zarówno Zbigniew, jak i Bolesław pragnęli uzyskać pełną władzę nad całą Polską. Ambicje książąt, a także ich otoczenia w sposób nieunikniony prowadziły do wojny domowej. Sytuację, jaka się wytworzyła w Polsce po 1102 roku, lapidarnie skomentował czeski kronikarz Kosmas, pisząc, że „jak mawia lud, dwa kocury w jeden worek schwytane nie mogą być razem”[72].

Formalnie, zgodnie z zasadą starszeństwa, władzę w kraju sprawować powinien Zbigniew, ale młodszy brat skutecznie wyrywał mu ją zbrojnie z rąk. Zbigniew wyzwał nawet młodszego brata na sąd boży, z którego Bolesław Krzywousty wymigał się jednak, wyznaczając rycerza, który miał walczyć w jego imieniu[73]. Ze zdradą mamy w naszej historii tylko same problemy. Otóż pojawia się ona nieustannie, od czasów pierwszych Piastów począwszy, a wraz z nią chwaleni dobrzy zdrajcy i ci źli, godni największego potępienia.

„Otóż nobilitowanie wybranych zdrad i wybranych zdrajców mamy już niejako we krwi” – ironizuje Andrzej Zieliński. „Lubimy różnicować, rozdawać epitety i... nagrody. W naszej historii występuje zawsze zwykły zdrajca i ten nasz dobry zdrajca. (...) zdrajcą okrzyknięto księcia Zbigniewa, przyrodniego brata Bolesława Krzywoustego. W walce o sukcesję po ojcu, Władysławie Hermanie, należną mu jako pierworodnemu, ośmielił się on posiłkować pogańskimi wtedy Pomorzanami. Natomiast młodszy, przyrodni brat Bolesław zwabił do Polski przebywającego na dworze czeskim Zbigniewa obietnicą zakończenia dynastycznych sporów i zagwarantował mu przysięgą przed ołtarzem pełnię bezpieczeństwa, lecz natychmiast po jego przybyciu wtrącił brata, po oślepieniu, do lochu, skazując na śmierć głodową. Zinterpretowano to potem w naszych kronikach jako sposób walki o władzę. A poza tym Bolesław potraktował brata zdrajcę, tak jak mu się należało”[74].



Pozbawienie wzroku w praktyce miało prowadzić do wyeliminowania go z życia politycznego – z tego rozwiązania Piastowie korzystali co najmniej parokrotnie. Tragedia podobna do tego, co się zdarzyło Zbigniewowi, miała miejsce nieco później na Węgrzech, na które wrócił wygnany Almos. Król Koloman, by zapewnić sukcesję tronu swemu małoletniemu synowi, wkrótce kazał oślepić nie tylko Almosa, lecz także jego syna i kilku ich współpracowników.

„Biorąc pod uwagę fakt – pisze jeden z biografów Krzywoustego – że na Węgrzech rządy powierzono oślepijonemu przez Kolomana jego bratankowi Beli, można więc domyślać się, że gdyby Zbigniew żył dłużej po okaleczeniu, mógł zostać kandydatem do tronu. W tym ujęciu pokuta Bolesława okazuje się dlań rękojmą dalszych rządów, gdyż za czyn, którego się dopuścił, groziła utrata władzy. Jeśli zaś nawet uznamy, że Zbigniew został ostatecznie wyeliminowany z gry politycznej, to sytuacja brata jedynowładcy nadal okazuje się niełatwa; w myśl ówczesnych racji światopoglądowych jako zbrodniarz znalazł się w sytuacji zagrożenia utraty tronu”[75].

Krzywousty miał jednak trochę szczęścia i zapłacił za ten błąd znacznie mniej, niż powinien. Resztę panowania poświęcił głównie walce o Pomorze i próbom umocnienia się na nim. Najpierw jednak musiał się uporać z odnawiającą się opozycją możnowładztwa. Jeszcze w roku 1117 skazał na oślepienie wojewodę Skarbimira z rodu Awdańców. „Wypadek znamienity – pisał Paweł Jasienica – bo rycerz ten był niegdyś wychowawcą księcia, bardzo się odznaczył w rozmaitych wojnach i stracił na polu bitwy oko. Teraz wyrok książęcy pozbawił go drugiego”[76].

Krzywousty za swe czyny odprawił surową pokutę kościelną. Żył w odosobnieniu, pościł, przywdział włosienicę, pielgrzymował do klasztoru św. Idziego na Węgrzech, boso szedł do Gniezna do grobu świętego Wojciecha. Wątpić jednak wolno, czy naprawdę sprawiły to wyrzuty sumienia. Nie jest wykluczone, że na Bolesława spadła klątwa. Książę upokorzył się, pokutował, dał kościołom bogate dary, słowem – poszedł – do polskiej Canossy... i uniknął losu stryja, króla Bolesława Śmiałego[77].

Marek Urbański przyznaje, że ktoś złośliwy mógłby – skądinąd nie bez racji – stwierdzić, że śmierć, zdrada i skrytobójstwo szły za Bolesławem krok w krok od samej kolebki. Pierwszą ofiarą księcia była jego matka, która nie wytrzymała trudów połogu. Przychodząc na świat, Krzywousty wydał również wyrok śmierci na stryjecznego brata – Mieszka, syna Bolesława Śmiałego, który żył spokojnie na dworze króla Węgier.

„Trudno rzecz jasna winić Krzywoustego za marny los Mieszka – przyznaje ten sam historyk. – Warto jednak dostrzec, że takie właśnie obyczaje panowały

w środowisku kształtującym osobowość «Marsowego dziecięcia», i odnoszę dziwne wrażenie, że porzekadło «czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci» sprawdziło się w jego przypadku co do joty. «Książę północy» (to też ulubiony przydomek Galla) żywił bowiem również dojmującą awersję do krewnych, zwłaszcza najbliższych – przyrodniego brata i ojca – co zresztą poza pyszałkowatością, okrucieństwem oraz predylekcją do wiarołomstwa, wojaczki i «odprawiania godzinek do NPMarii» wydaje się jedyną potwierdzoną źródłowo jego ludzką cechą»[78].

Pamięć o Krzywoustym trwale wpisała się też w codzienny pejzaż wielu polskich miast. Szczególnego charakteru nabrała we Wrocławiu, gdzie ulica nazwana jego imieniem prowadzi w stronę centrum z Psiego Pola. Dziewięć stuleci minęło od czasu rzekomo stoczony tam walnej bitwy, w której potęga cesarstwa ulec miała obrońcy polskiej wolności. „Szkiełko i oko” badacza, demaskując ów mit historyczny, podważa „sławę herosa”.

„Ale nawet jego niedociągnięcia – broni władcy Karol Maleczyński – tłumaczyć musi nam okoliczność, iż przyszło mu panować wśród trudności, jakie żadnemu z dwóch jego wielkich imienników nie przypadły w udziale. Mimo wszelkich zarzutów stwierdzić trzeba wyraźnie, iż Bolesław Krzywousty był mistrzem w zawiązywaniu przymierzy z Czechami, Węgrami, Rusią, Morawami, czy nawet buntowniczymi książętami niemieckimi przeciw Zbigniewowi, księciu czeskiemu, cesarzowi niemieckiemu. Pod tym względem potrafił sobie Bolesław zawsze zapewnić pomoc sprzymierzeńców i do ostatecznej walki z przeciwnikami, bez udziału sprzymierzeńców zapewniających mu sukcesy militarne, nie występował»[79].

Jeszcze przed zakończeniem polskich działań na Pomorzu król Henryk wypowiedział Polsce wojnę. Jej prawdziwą przyczyną była polska pomoc udzielona Węgom w poprzednim roku, pretekstem natomiast stała się sprawa Zbigniewa. Gdy pomiędzy Bolesławem i Henrykiem toczyły się pertraktacje, król Niemiec zbierał wojsko i kierował się ku naszym granicom, a władca Polski kończył kampanię pomorską. Jednak zanim Bolesław uporał się z Pomorzanami, wojska niemieckie obległy Głogów w 1109 roku.

Gall Anonim w swojej tendencyjnej relacji czyni z tego centralne wydarzenie kampanii wojennej. Każdy uczeń w Polsce zna przebieg i wynik tych zmagania, wiele znakomitych piór przedstawiało rozgrywające się tutaj sceny, nie ma więc potrzeby rozpisywać się na ten temat. Gwoli kronikarskiego obowiązku podam tylko, że w trakcie oblężenia Głogowa część sił Henryka dokonała spustoszenia i grabieży

kraju po obu stronach Odry, dochodząc aż do położonego nad nią grodu Ryczyn (zapewne w pobliżu dzisiejszej Oławy), by z łupem powrócić do obozu.

Nie wspomina o tej akcji Gall Anonim, koncentrując się na dalszym pochodzie najeźdźców. W jego trakcie Bolesław nie zrezygnował z tak zwanej wojny szarpanej na rzecz walnej bitwy. Do mitów historycznych należy zatem pogląd interpretujący w ten sposób, jako starcie na otwartym polu obu armii, legendarną w istocie wiadomość Wincentego Kadłubka o przełomowym zwycięstwie strony polskiej pod Wrocławiem na Psim Polu[80].

Rozpatrując zwycięskie odparcie najazdu Henryka V, chętnie przypomina się natomiast, że władca niemiecki „trupy tylko wywiózł jako trybut. A ponieważ poprzednio pysznie domagał się wielkich sum pieniężnych, na koniec choć mało tylko chciał, nie dostał ani denara. A że nadęty pychą zamysłał podeptać starożytną wolność Polski, Sędzia sprawiedliwy wniwecz obrócił te jego zamiary”[81].

Obrona starodawnej wolności Polski – jak określa to Gall Anonim – w bohaterskich zmaganiach 1109 roku z najazdem króla niemieckiego Henryka V, wspomaganego przez księcia czeskiego Świętopelka, stawała się od schyłku XIX wieku coraz droższa uczuciom polskim, w dobie wzrastania nacjonalizmu niemieckiego, później nacisków germanizacyjnych, wreszcie barbarzyństwa hitlerowskiego. Opis obrony Głogowa wzbudzał zrozumiałe emocje w społeczeństwie przeżywającym na co dzień terror esesmanów, gestapo i wszelkich innych organizacji służących masowej zbrodni[82].

„W powieściowych przekształceniach naszych czasów – zauważa Stanisław Trawkowski – kazano tym zakładnikom krzyczeć, by obrońcy ich nie oszczędzali. Jakże to było bliskie tym, którzy widzieli swych rodaków pędzonych przed hitlerowskimi czołgami, by je zasłonić przed ogniem z warszawskich barykad czasu powstania”[83].

Niewłaściwa polityka księcia w stosunku do papieskiego Rzymu przyniosła kolejne niepowodzenia. W 1130 roku nastąpił podwójny wybór papieża, władzę w Kościele katolickim sprawować zaczęli jednocześnie Anaklet II i Innocenty II. Król Niemiec Lotar III opowiedział się po stronie Innocentego, Bolesław uznał Anakleta. I to był błąd, który wykorzystał arcybiskup magdeburski Norbert z Xanten. W 1133 roku uzyskał on od papieża Innocentego II bullę, w której wszystkie diecezje polskie, wraz z archidiecezją gnieźnieńską, zostały uznane za sufraganie Magdeburga. Przed polskim władcą stanęła groźba likwidacji metropolii gnieźnieńskiej i utraty niezależności kościelnej[84].

Po zhołdowaniu władcy Danii cesarz przygotowywał wyprawę zbrojną przeciwko

Polsce. Wobec niebezpieczeństwa nowej wojny grożącej utratą całego państwa jedynym rozsądnym rozwiązaniem stało się to, co uczynił Bolesław Krzywousty. Udał się on w 1135 roku do Merseburga, gdzie złożył aż dwa hołdy lenne cesarzowi Lotarowi III – pierwszy z niedawno zdobytego Pomorza Nadodrzańskiego, drugi zaś z całości polskiego państwa[85].

Nadal sporną sprawą jest, czy był to hołd z Polski, czy Pomorza. „Co więcej – podkreśla Stanisław Trawkowski – Krzywousty został wyjątkowo uhonorowany: cesarz nakazał, by w drodze powrotnej z Merseburga przyjęto polskiego władcę w Magdeburgu w taki sposób, jak przyjmowano królów niemieckich! Uznanie więc zwierzchności lennej cesarza przyniosło Polsce kolosalne korzyści. Powitanie w Magdeburgu było bowiem niejako zapowiedzią przyznania polskiemu księciu praw królewskich w ramach cesarstwa. W tej sytuacji Krzywousty zadbał, aby z tytułu lennego cesarz nie miał prawa wtrącać się w sprawy następstwa tronu w Polsce, jak czynił to w Czechach”[86].

Uroczystości, które nastąpiły po złożeniu przez Bolesława hołdu, opisane zostały przez roczniki magdeburskie, według których Krzywousty miał w dniu świętego Wawrzyńca (10 sierpnia 1135 roku) złożyć cesarzowi hołd, uznać się jego lennikiem, złożyć w ręce nowego suwerena przysięgę poddańczą, a nawet w uroczystej procesji do kościoła nieść przed cesarzem miecz jako miecznik cesarstwa. Ale całe to przedstawienie jest po prostu przepisaniem podobnego aktu hołdu, jaki złożył w roku 1013 Bolesław Chrobry[87], a co opisał Thietmar:

„W wigilię tych Świąt przybył Bolesław ubezpieczywszy się uprzednio przez przysłanych mu zakładników, których pozostawił u siebie w domu. Przyjęto go jak najlepiej. W samo święto Bolesław złożywszy ręce oddał hołd lenny i po wzajemnej wymianie przysięg niósł miecz przed królem, gdy ten kroczył w uroczystym stroju do kościoła”[88].

Podobieństwo to kazało Karolowi Maleczyńskiemu wątpić w fakt złożenia hołdu z ziem polskich przez Bolesława Krzywoustego. Jest to jednak kwestia drugorzędna. Wydaje się, że w zamian za to, że Krzywousty został lennikiem jako władca polski, zyskał zgodę cesarza na uzależnienie Rugii. Ułożył stosunki z Węgrami i Czechami na zasadzie *status quo*. Był to więc pokój korzystny.

Ważniejsze okazały się późniejsze wydarzenia. Tradycyjnie przyjmuje się, że datą, od której zaczyna się okres rozbitcia Polski na dzielnice, jest rok 1138, rok śmierci Bolesława Krzywoustego i wejścia w życie jego ustawy sukcesyjnej. Jednak to nie wówczas nastąpił podział państwa, bo jeszcze przez następne kilkadziesiąt lat Polska była państwem jednolitym. Podziały zaczęły się dopiero od roku 1177, kiedy władzę

w Krakowie zdobył Kazimierz Sprawiedliwy, a jego starszy brat, Mieszko Stary, został księciem Wielkopolski[89].

Podziały kraju między synów umierającego nie były w Polsce niczym nowym. Już Mieszko I podzielił kraj, tylko że Chrobry, „elekt” grupy najbardziej aktywnej, przepędził wszystkich braci. Według Zdzisława Pietrasa Krzywousty marzył, by wreszcie położyć kres walkom wewnętrznym. Zdawał sobie sprawę, że dopóki wiec czy też możnowładztwo będzie dobierać sobie Piastowiczów do roli princepsów, nigdy władza nie będzie dość silna, aby temuż możnowładztwu się przeciwstawić.

„Podobne idee przyświecały Jarosławowi Mądrym – zauważył autor biografii księcia – zaprowadzającemu seniorat na Rusi w roku 1054, Brzetysławowi I naśladowającemu go w Czechach w rok później, może także zięciowi Jarosława, naszemu Kazimierzowi Odnowicielowi, przekazującemu tron Bolesławowi Śmiałemu przy równoczesnym uposażeniu młodszych synów, prawdopodobnie także i Władysławowi Hermanowi, choć Anonim usiłuje nas przekonać o czymś wręcz przeciwnym. Nie była to myśl całkiem nowa. Nowością miało być dopiero uczynienie jej prawem”[90].

Nie znamy szczegółowej treści statutu dynastycznego ogłoszonego przez Krzywoustego za radą i zgodą panów polskich, tradycyjnie i konwencjonalnie zwanego „Testamentem Krzywoustego”. Jest ona przedmiotem zaciętych sporów. Jedno jest pewne: ustalona została zasada, że zwierzchnim księciem ma być zawsze najstarszy spośród Piastowiczów.

„Krzywousty łudził się, jak łudzi się i dziś wielu – konstatuje Stanisław Trawkowski – że ustaleniem prawnym związać można życie. Tymczasem wzrastające liczebnie i bogacące się możnowładztwo miało coraz większe aspiracje polityczne. Statut nie ocalił Polski od dalszych walk wewnętrznych. Był Krzywousty – w błędach i osiągnięciach, w zbrodniach i pokucie, w wielkich ambicjach i umiejętności wycofywania się i znajdowania kompromisu – dobrym wyrazicielem swej epoki. To chyba największa pochwała”[91].

Według Marka Urbańskiego wszystko wskazuje na to, że stojący nad grobem, a obdarzony licznym męskim potomstwem książę próbował pogodzić dwie diametralnie ze sobą sprzeczne tendencje: zaspokoić roszczenia wszystkich potencjalnych kandydatów do władzy, a zarazem zapobiec pełnej decentralizacji państwa. Czym grozi rywalizacja między braćmi, wiedział z własnego doświadczenia.

Nie tylko w opinii Marka Urbańskiego w skali makro statut Krzywoustego niewiele zmienił, bo na rozbitcie dzielnicowe Polska skazana była tak czy inaczej.

Wydaje się jednak, że bez moderującego wpływu ustawy sukcesyjnej proces decentralizacji państwa polskiego mógłby być znacznie szybszy i bardziej intensywny. Do jego apogeum doszłoby więc nie w połowie wieku XIII, jak się stało, ale o kilkadziesiąt lat wcześniej.

„Szybsze tempo procesu rozdrobnienia dzielnicowego wyszłoby nam zatem zdecydowanie na dobre – przekonuje wspomniany historyk. – O ile więc ustawa sukcesyjna Krzywoustego rzeczywiście zahamowała na czas pewien i tak niemożliwą już do uniknięcia decentralizację państwa, a co za tym idzie wydłużyła epokę rozbicia dzielnicowego, to rzeczywiście zasługuje na ocenę ujemną, ale z odmiennych, niż się zazwyczaj uważa przyczyn. Oznaczała bowiem dla Polski kilkadziesiąt straconych lat i skazała ją na jednoczenie się w nieporównanie gorszych niż w połowie XIII wieku warunkach”[92].

Zdaniem Andrzeja Zielińskiego testament nie był samodzielnym pomysłem księcia. Został prawdopodobnie napisany zgodnie z sugestiami, a może nawet pod dyktando cesarza Lotara III, który nie chciał mieć wokół swojego cesarstwa żadnych silnych i niezależnych organizmów państwowych. Świadczy o tym choćby fakt, że to właśnie cesarz niemiecki – obok papieża – miał być odtąd gwarantem przestrzegania testamentu przez następców Bolesława Krzywoustego.

„Obecność papieża jako strażnika testamentu jest w tym przypadku jeszcze zrozumiała – wyjaśnia historyk – był przecież największym wtedy autorytetem w chrześcijańskim świecie, ale dlaczego cesarz niemiecki? Tylko lennik mógł się o to zwrócić do seniora, demonstrując w taki sposób pełne wykonanie jego woli. Innego wytłumaczenia nie ma.

Rozdrobniona, podzielona i skłócona Polska, w dodatku pochłonięta niekończącymi się wewnętrznymi walkami o zwierzchnią władzę w kraju (a to można było przecież z góry przewidzieć) gwarantowała cesarzom niemieckim brak jakiegokolwiek zagrożenia ze strony wschodniego sąsiada na długie lata. Ponadto całkowicie uzależniała wszelkie przyszłe zewnętrzne działania polskich książąt od woli i polityki cesarstwa.

Oczekiwania cesarza Lotara III spełniły się co do joty. Nie minął jeszcze rok od śmierci Bolesława Krzywoustego, a już Polska stała się areną bratobójczych walk, trwających od tego czasu niemal bez przerwy przez prawie dwieście lat, spowodowanych właśnie zawilością, a przede wszystkim niedoskonałością testamentowych zapisów”[93].

Historia narodu i państwa polskiego to dzieje nieustająco powtarzających się upadków i odrodzeń. Popatrzmy tylko. Z potężnej monarchii Bolesława Chrobrego

po niespełna dwudziestu latach pozostały ruiny i zgliszcza. Po wysiłkach konsolidacyjnych Kazimierza Odnowiciela i Bolesława Śmiałego osłabienia struktur państwa dokonał Władysław Herman, a jego syn, Bolesław Krzywousty, swoim słynnym testamentem doprowadził do swoistego rozbioru Polski[94].

„I znowu przestano mówić o Polakach jako jednolitym organizmie. Każdy bowiem z władców dzielnicowych traktował swoje nadanie jako odrębne państwo, z odrębnym wojskiem i urzędami – zauważa Andrzej Zieliński. – Nastąpił powrót do warunków paraplemiennych. Zamiast Polaków mieliśmy na nowo Mazowszan, Wielkopolan, Ślązaków, Małopolan, a potem, w miarę dalszego rozdrabniania swych posiadłości pomiędzy dzieci, coraz bardziej lokalnych, różnych Kujawian, Mazurów, Podlasian, Sieradzan, Opolan, Głogowian, Cieszynian... Zabrakło wśród mieszkańców naszych ziem tylko... Polaków”[95].

---

55 A. Szwarc, M. Urbański, P. Wieczorkiewicz, op. cit., s. 94.

56 A. Zieliński, *Sarmaci, katolicy, zwycięzcy. Kłamstwa, przemilczenia i półprawdy w historii Polski*, Warszawa 2015, s. 20.

57 A. Szwarc, M. Urbański, P. Wieczorkiewicz, op. cit., s. 101.

58 Ibidem, s. 96.

59 P. Jasienica, *Polska Piastów. Polska Jagiellonów*, Warszawa 1986, s. 112.

60 F.Z. Weremiej, *Śladem zagubionych ogniw*, Warszawa 1977, s. 8.

61 S. Rosik, *Bolesław Krzywousty*, Wrocław 2013, s. 300.

62 Z.S. Pietras, *Bolesław Krzywousty*, Katowice 1978, s. 8.

63 S. Rosik, op. cit., s. 303.

64 *Poczet królów i książąt polskich*, red. A. Garlicki, Warszawa 1984, s. 80.

65 A. Szwarc, M. Urbański, P. Wieczorkiewicz, op. cit., s. 99–100.

66 A. Zieliński, *Skandaliści w koronach. Łotry, rozpustnicy i głupcy na polskim tronie*, Warszawa 2013, s. 54.

67 K. Maleczyński, *Bolesław Krzywousty. Zarys panowania*, Kraków 1947, s. 263.

68 P. Jasienica, op. cit., s. 113.

69 S. Rosik, op. cit., s. 56–57.

- 70 Ibidem, s. 87.
- 71 A. Szwarc, M. Urbański, P. Wieczorkiewicz, op. cit., s. 97.
- 72 *Kosmasa Kronika Czechów*, tłum. M. Wojciechowska, Warszawa 1968, s. 335.
- 73 A. Zieliński, *Skandaliści w koronach*, s. 94.
- 74 A. Zieliński, *Sarmaci, katolicy, zwycięzcy*, s. 224–225.
- 75 S. Rosik, op. cit., s. 145.
- 76 P. Jasienica, op. cit., s. 128.
- 77 Ibidem, s. 123.
- 78 A. Szwarc, M. Urbański, P. Wieczorkiewicz, op. cit., s. 96.
- 79 K. Maleczyński, op. cit., s. 262.
- 80 S. Rosik, op. cit., s. 118.
- 81 Cyt. za: *Poczet królów...*, s. 84.
- 82 Ibidem, s. 80.
- 83 Ibidem.
- 84 M. Barański, op. cit., s. 223.
- 85 A. Zieliński, *Skandaliści w koronach*, s. 55.
- 86 *Poczet królów...*, s. 88–89.
- 87 K. Maleczyński, op. cit., s. 174.
- 88 *Kronika Thietmara*, tłum. M.Z. Jedlicki, Kraków 2014, s. 166.
- 89 M. Barański, op. cit., s. 9–10.
- 90 Z.S. Pietras, op. cit., s. 154.
- 91 *Poczet królów...*, s. 89.
- 92 A. Szwarc, M. Urbański, P. Wieczorkiewicz, op. cit., s. 102–103.
- 93 A. Zieliński, *Skandaliści w koronach*, s. 57.
- 94 Idem, *Sarmaci, katolicy, zwycięzcy*, s. 66.
- 95 Ibidem, s. 59.



*Czy Warneńczyk zginął pod Warną?*



Na mapie naszej wyobraźni klęska warneńska zajmuje szczególne miejsce. Nie tylko dlatego że jej data jest łatwa do zapamiętania – 1444 rok. Fatalna moc bitwy, w której siły polskie i węgierskie pod dowództwem dwudziestoletniego syna Władysława Jagiełły uległy prawie potrójnej przewadze wojsk tureckich, dowodzonych przez Murata II, łączy się z zaszczytnym przydomkiem „przedmurza chrześcijaństwa”, przyznanym Rzeczypospolitej w Rzymie po śmierci Henryka Pobożnego pod Legnicą. Jan Długosz z kolei dowodził, że żaden wiek nie widział ani podobno nie ujrzy nigdy większego obrońcy wiary chrześcijańskiej niż Władysław.

Niezwykłe były losy pierwородnego syna Władysława Jagiełły, zrodzonego z czwartej małżonki królewskiej, Sołki, w siedemdziesiątym roku życia założyciela dynastii. Żył zaledwie dwadzieścia lat, a pamięć o nim przetrwała ponad pięć wieków. I to zarówno w Polsce, jak i w wielu innych zakątkach Europy. Filip Kallimach, autor dzieła *O królu Władysławie*, pisał o nim jako o władcy, który w obliczu muzułmańskiej potęgi podjął się wielkiego dzieła zjednoczenia Słowiańszczyzny. Zaś Jan Kochanowski przekonywał:

*Król dwu koron Włodzisław, co bijąc pogany  
We krwi swej chrześcijańskiej upadł zmordowany,  
Grób jego – Europa, słup – śnieżne Bałchany,  
Napis: wieczna pamiątka między chrześcijany*<sup>[96]</sup>.

Kim był Warneńczyk? Urodził się w 1424 roku. W wieku dziesięciu lat, po śmierci ojca, został królem Polski (w dużej mierze elekcja ta była zasługą kardynała Zbigniewa Oleśnickiego). W sześć lat później, gdy miał zaledwie szesnaście lat, został dość nieoczekiwanie królem Węgier (po niespodziewanej śmierci Albrechta II Habsburga w 1439 roku). Planowane małżeństwo Władysława z dwukrotnie starszą, owdowiałą właśnie królową Elżbietą nie doszło do skutku.

Sytuacja skomplikowała się dodatkowo, gdy królowa węgierska powiła pogrobowca, także Władysława, którego – w trzecim miesiącu życia – ukoronowano wykradzioną z Budy koroną świętego Stefana. Na prośby Węgrów król polski mimo to udał się do Budy. Sejm węgierski nie uznał koronacji syna Elżbiety i 17 lipca 1440 roku Władysław został władcą Węgier (ukoronowano go kopią korony świętego

Stefana). Fakt ten stał się zacznym krwawej wojny domowej, którą zakończyła ugoda z 14 grudnia 1442 roku[97].

Po nagłej śmierci Elżbiety (w pięć dni po podpisaniu ugody) Władysław został już samodzielnym władcą Węgier. Wobec wciąż wzrastającego zagrożenia ze strony Turków, którzy dążyli do zajęcia całych Bałkanów, wspólnie ze znakomitym wodzem siedmiogrodzkim, Janem Hunyadym, odbył na czele 25-tysięcznej armii we wrześniu 1443 roku zwycięską wyprawę – odniósł błyskotliwe zwycięstwa i odzyskał z rąk tureckich kilka ważnych miast. Dzięki temu Turcy przystali na bardzo korzystny dla Węgier dziesięcioletni rozejm, który podpisano w Szegedynie 1 sierpnia 1444 roku.

Wydawało się, że teraz młody król ulegnie wreszcie prośbom słanym z Polski o powrót do kraju, w którym wszak nie był już prawie cztery lata i gdzie nie wszystkie sprawy szły w dobrym kierunku. Niestety, już w cztery dni po podpisaniu ugody, pozostający pod przemożnym wpływem Juliana Cesariniego, legata papieża Eugeniusza IV, dążącego za wszelką cenę do odbicia z rąk tureckich Konstantynopola i Ziemi Świętej, Władysław zerwał pokój i rozpoczął nową wyprawę przeciw sułtanowi Muradowi II.

Do decydującej bitwy doszło 10 listopada 1444 roku. Sprzyjające dotychczas Władysławowi w bitwach z Turkami szczęście opuściło go. Dobrze zapowiadająca się początkowo bitwa rychło zamieniła się w klęskę. W jej ostatniej fazie Władysław na czele niewielkiego oddziału ruszył przeciw straszliwym w boju janczarom. Historycy twierdzą, że według naocznych świadków przed królem rozwarły się nagle szeregi janczarów, by natychmiast się za nim zamknąć.

Historycy tureccy utrzymują, że Władysława, który wziął udział w wyprawie jako król węgierski, spotkała zasłużona kara, gdyż naruszył rozejm. Pod Warną wojska chrześcijańskie poniosły wielką klęskę. Kardynał Julian Casarini, moralny sprawca niefortunnej wyprawy, poległ podczas ucieczki. Przez trzy lata trwało bezkrólewie. Nie chciano wierzyć w śmierć króla na polu bitwy, starano się go odnaleźć – na próżno, bo Władysław, jak pisze historyk, „znikł bez śladu w najgłębszym tłumie”[98].

Na tym kończą się fakty. Nie znaleziono ani hełmu królewskiego, ani zbroi, ani ciała, choć natrafiono na zwłoki innych rycerzy, a także papieskiego legata Cesariniego. Wielu żołnierzy uciekało w popłochu, umierali z głodu i wycieńczenia lub byli zabijani przez ścigających resztki armii królewskiej sipahiów z Rumelii, dowodzonych przez Dawuda Paszę.

„Z wyjątkiem Wołochów nikt z nas nie wiedział, gdzie idzie – pisał Andre de Palatio – każdy szedł w kierunku, gdzie gnał go strach lub raczej prowadziło

przeznaczenie... I tak długotrwałe głodowanie, częste zimno i błędzenie było przyczyną śmierci więcej naszych ludzi aniżeli miecz Turków”[99].

Wszystkie dalsze wiadomości o królu i jego losie są niepewnym domysłem, niesprawdzonym i luźnym przypuszczeniem. Krzyżują się sprzeczne wersje zarówno polskie, jak węgierskie i tureckie. Czy wpadł do przykopów, najeżonych ostrzami, czy dotarł do obozu sułtana i tam został zabity, czy – jak pisał Hunyady – ranny w twarz grotem włóczni, wydostał się z pola walki, może dzięki dwóm rączym rumakom, które przed bitwą otrzymał od władcy wołoskiego Włada II Palownika zwanego Drakulą? Czy może spowitego w płaszcz franciszkański wywieziono go, rannego, w kierunku Dobrudży i potem leczył się długo w zamczysku serbskiego księcia Stepana Wukcica? Taki rozwój wydarzeń sugerują noty watykańskie.

Wersji jego śmierci jest bez liku. Król miał osunąć się na ziemię i zginąć pod ciosem janczara imieniem Kodża Khizr, który uciął mu głowę i – zatknąwszy na dzidę, zaniósł sułtanowi. Ponoć gdy Turek chciał uciąć królowi głowę, ten zawołał: „Gospodar Murad”, ale Khizr nie zlitował się... Z tureckich źródeł wynika ponadto, że walka ta trwała bardzo krótko. O tym, co podaje Palatio względnie Długosz, że król walczył godzinami i wzywał na pomoc Węgrów – nie ma mowy, tak jak i o namawianiu króla do ucieczki. Nie było na to wcale czasu[100].

Ale co ważniejsze, nie ma opisu śmierci króla u Kallimacha. To o tyle ważne źródło, że powstało na podstawie relacji Grzegorza z Sanoka, który był cały czas u królewskiego boku – od roku 1440 po Warnę. On przeżył ten bój, przez następne ćwierćwiecze był arcybiskupem lwowskim; gościł u siebie dwukrotnie Kallimacha, który tak przedstawił ostatnie chwile Warneńczyka: „(...) koń jego silnie w bok raniony upadł i króla samego na prawą rękę zrzucił. Nadbiegli wnet janczarowie i mnóstwem strzał prawie zasypali go, a nie zabili”[101].

Nie zabili. Na temat śmierci króla Jan Długosz wypowiada się kilkakrotnie, aby w konkluzji stwierdzić: „(...) rzucił się w najgęstszy tłum nieprzyjaciół i przez niejaki czas dzielnie wytrzymywał walkę; aż w końcu otoczony (...) tłoczącymi się tłumami barbarzyńców, legł śmiercią bohatera. (...) Obskoczony bowiem dookoła (...), kiedy go odstąpili i pierzchnęli Węgrzy z Janem Hunyadym, po wytepieniu wszystkich wkoło siebie Polaków, mężnie położył głowę”[102].

A zatem opinia Długosza o śmierci króla jest jednoznaczna. Tymczasem w innym miejscu rozbudowanego opisu bitwy warneńskiej czytamy nie bez zdziwienia: „Kiedy noc położyła kres walce, króla Władysława już nie było (...), ale nie znalazł się nikt, kto by go widział, że go zabito, albo w niewolę wzięto”[103]. Tajemnicze okoliczności śmierci Władysława Warneńczyka sprawiły, że posiadamy wiele

różnych przekazów na temat miejsca jego grobu.

Co działo się z królem potem, o tym świadczyli tylko Turcy, bo nikt z chrześcijan więcej już Władysława nie zobaczył. Miał przeciwko sobie wielki czworobok janczarów, którzy umocnili się i otoczyli wielbłędami, płoszącymi konie rycerstwa. Wypadki potoczyły się błyskawicznie i nie jest pewne, czy janczarowie rozstąpili się, by tym pewniej oskrzydlić, czy też, wytrzymawszy uderzenie, otoczyli całe rycerstwo, walcząc wręcz.

W pamiętnikach, których autorem był serbski żołnierz, czytamy, że podobno zwłoki króla znalazł pewien janczar imieniem Kukry, a zwrócił na nie uwagę ze względu na szczególnie piękną zbroję, pióra na szyszaku i inne ozdoby. On to jakoby uciął głowę i zaniósł sułtanowi, nieświadom, czyje to zwłoki. Wątpliwości wyjaśnili dworzanie Władysława pojmami w jasyr, którzy stwierdzili, że:

„(...) zaiste, głowa to króla Władysława, pana naszego. Sułtan królewską głowę wyjąwszy z szyszaka, rozkazał ją obedrzeć i rozlicznymi ziołami pachnącymi z bawełną skórą napełnić, ażeby nie popadła zepsuciu, włosy rozczesać kazał i przystojnie utrefić; tak że się zdawała, jakby gdyby żywa była, i kazał tę głowę na drzewcu osadzić i po wszystkich miejscach nosić”<sup>[104]</sup>.

Głowę naszego króla, osadzoną na spisie, miano pokazywać przez dwa tygodnie w Konstantynopolu, zanim na polecenie sułtana Murada II nie zakonserwowano jej wschodnim sposobem w miodzie i nie odesłano do Brussy w Azji. Tamtejsi chrześcijanie mieli ją z czasem – jako relikwię – przenieść do pobliskiej kaplicy, wzniesionej na szczycie bityńskiego Olimpu<sup>[105]</sup>. Nie wiadomo jednak, czy istotnie obnoszona jako zwycięskie trofeum po Konstantynopolu głowa należała do Warneńczyka, ponieważ według osmańskich kronik miała ona jasne blond włosy. A Długosz przecież pisał, że „król włosy miał czarne, brwi gęste, gdy zmarszczył czoło – zbiegające się nad oczami”.

Jan Hunyady, przebijający się z resztkami wojska, widział tę głowę zatknietą na włóczni, jednak „nie rozpoznał głowy króla”. Nie zachował się żaden współczesny portret władcy. Wiemy tylko, że uważano go za podobnego do ojca. Cerę miał śniadą, ciemne oczy i czarne włosy. Zapewne odziedziczył także piękne rysy swojej matki, królowej Sonki. Napisano bowiem o nim, że „był wdzięczny w wejrzeniu”<sup>[106]</sup>.

Zachowany do naszych czasów przekaz ikonograficzny w tak zwanym *Modlitewniku Władysława* trudno uznać za odzwierciedlenie faktycznego wyglądu króla. Pieczęć majestatyczna przedstawia władcę z twarzą ozdobioną niewielką bródką i wąsami, ale źródła pisane tego szczegółu nie zanotowały. Na znanym powszechnie portrecie pędzla Matejki Warneńczyk prezentuje się jako piękny

młodzieniec, jednak zbyt wiele jest w szczegółach elementów symbolicznych (kopia), czy zgoła renesansowych (ozdobna siatka nałożona na włosy), a ponadto wizerunek ten jest tworem wyobraźni mistrza Jana<sup>[107]</sup>.

Co zastanawiające – wbrew ówczesnemu zwyczajowi – nie upominano się o zwłoki króla, by je pochować w Krakowie na Wawelu. Jedynie kronikarz Herburt zanotował, że po pewnym czasie udało się do Turcji polskie poselstwo z zaleceniem odszukania grobu Władysława, ale wyprawa ta zakończyła się niepowodzeniem. Nie wspominają o tym inni, ani Długosz, ani Kallimach. Wśród historyków panuje przekonanie, że najprawdopodobniej ciało władcy zaginęło bez śladu bezpośrednio po bitwie i zostało pochowane w zbiorowej mogile bądź wrzucone wraz z innymi do wód Jeziora Dewneńskiego<sup>[108]</sup>.

Historia z odciętą głową Warneńczyka ma cechy prawdopodobieństwa. Turcy (a także inne wschodnie ludy, wymieńmy Tatarów prezentujących głowę Henryka Pobożnego po bitwie pod Legnicą) często traktowali tak pokonanych wrogów. O ile jednak głowa pokonanego wroga świadczyła o rozmiarach zwycięstwa, to zwłoki nie miały już większego znaczenia.

Ale wiadomość o głowie królewskiej, zatkniętej na włóczni w drugim dniu bitwy, czyli 11 listopada, należy chyba do legendy, gdyż nikt z wojujących jej nie widział, nie rozpoznał, ani nie wykupił. A było to w zwyczaju – na przykład za głowę hetmana Stefana Żółkiewskiego wdowa zapłaciła dwieście tysięcy złotych talarów okupu.

Wiemy, że po bitwie zwłoki poległych (najczęściej odarte z ozdób, kosztowności, pozbawione zbroi, które Turcy wysoko cenili i podziwiali) spoczyły w kilku wspólnych mogiłach (być może oddzielnych dla chrześcijan i dla mahometan). Możliwe, że ten sam los spotkał zwłoki króla Władysława. Jest to, jak się wydaje, jedyne możliwe do przyjęcia stanowisko<sup>[109]</sup>.

Głowa Władysława zaginęła, bo nie była głową naszego króla? Legenda jego śmierci była najwygodniejsza dla niego samego, a także dla jego zwolenników i wrogów. Dawała mu aureolę bohaterskiej śmierci za wiarę, stając się drogocennym kamieniem w koronie dynastii jagiellońskiej i dodając tak potrzebnego prestiżu. Kampania 1444 roku była postrzegana w całej Europie jako doniosłe wydarzenie, na jej wynik oczekiwano na wielu dworach, a wieści spod Warny były przyjmowane rozmaicie. Przerażenie mieszało się z niedowierzaniem.

Pojawiły się też różne listy i pisma, które przekonywały o ocaleniu króla Władysława. Długosz tak o nich pisał: „Jeszcze chodziły pogłoski, jakoby król Władysław ocalał i wielu poważnych ludzi upewniało się w listach, że się udał on do Konstantynopola, to do Wenecji, do Wołoch, Siedmiogrodu, na koniec do Albanii

i Serbii, a im pożądanse były te wieści, tym łatwiej zyskiwały wiarę (...), lecz kiedy potem o jego życiu ucichły wieści, uchwalono, aby w celu wywiadzenia się o nim rozesać gońców”<sup>[110]</sup>.

Z Krakowa wysłano posłów na Bałkany, żeby na miejscu pytali o losy władcy. Z podobną misją swoich przedstawicieli wysłało miasto Lwów. Wszyscy posłowie po kilku tygodniach wrócili do kraju. Wniosek mógł być tylko jeden: król Władysław nie żyje. Kilka miesięcy później arcybiskup gnieźnieński i prymas Wincenty Kot mówił:

„(...) nikt nie pragnie jego [tj. króla Władysława – przyp. aut.] życia i nie wzdycha bardziej od nas. My [Polacy] wzdychamy jako ci, dla których jego śmierć jest nie tylko przykra, ale także bardzo szkodliwa. Ale upłynięcie całego roku, w którym nie zjawił się nikt, kto by go widział żywego, skłania nas do przekonania, że on raczej zginął, niż że żyje”<sup>[111]</sup>.

Zbiegowie z pola bitwy warneńskiej przynosili różne wieści. Pewien Wenecjanin informował w końcu lutego 1445 roku, że kardynałowie Condulmer i Loredano – dwaj dowódcy floty papiesko-weneckiej, która miała wspierać działania armii królewskiej – są w Konstantynopolu, i tu dotarły do nich wiadomości od króla Władysława i legata Cesariniego, którzy przebywali gdzieś na Wołoszczyźnie<sup>[112]</sup>.

Nadzieje, że król ocalał, odradzały się także wówczas, gdy – niekiedy po wielu miesiącach – do kraju wracali kolejni uczestnicy warneńskiej bitwy. Kiedy w domu pojawił się Grzegorz z Sanoka (jeden z pierwszych polskich humanistów, późniejszy arcybiskup lwowski), uważano, że może jeszcze wrócić król Władysław. Skądinąd warto było być posłańcem dobrej nowiny. Gdy na dworze litewskim Kazimierza Jagiellończyka (młodszeo brata króla) pojawił się kupiec, mówiący, że spotkał się niedawno z Władysławem, został sownie obdarowany przez szczęśliwego księcia<sup>[113]</sup>.

Losami króla zajmowano się również w korespondencji prywatnej, w dziełach okolicznościowych, a także w ustnych przekazach i pieśniach. W literaturze historycznej znany jest na przykład apokryficzny list pisany jakoby w Rzymie (w rzeczywistości w Polsce) w 1445 roku, który ze znajomością rzeczy przedstawia przebieg wojny. Jednocześnie autor listu obwinia Wenecjan, że ich zdrada przyczyniła się do klęski, podkreśla też, że wojska chrześcijańskie uciekły z pola walki, lecz król nie poległ i dzięki pomocy Greków ocalał, przebywa w Konstantynopolu i szykuje się do powrotu<sup>[114]</sup>.

Dość wspomnieć, że nie wszyscy uwierzyli w śmierć króla w bitwie pod Warną. To dlatego między innymi aż trzy lata zwlekano z koronacją jego młodszego brata, Kazimierza Jagiellończyka, na króla Polski. Pogłoski, że król żyje, że nie zginął pod

Warną, długo krążyły po kraju. Dawał im wiarę także Zbigniew Oleśnicki – jak to stwierdza Jan Dąbrowski w opracowaniu *Władysław na Węgrzech*. I w Rzymie, i w Wenecji nie wierzono w śmierć króla. 29 maja 1445 roku został nawet z Florencji wysłany list do Władysława, z wyrazami radości z powodu jego ocalenia.

Eneasza Sylwiusza Piccolominiego, cesarskiego sekretarza i nieprzejednanego przeciwnika Polski i króla Władysława, drażniły takie wieści. Jeszcze w końcu czerwca 1445 roku w liście do kanclerza królowej Zofii (matki Warneńczyka) beszał swojego adresata niesamowicie, a za tym parawanem zarzutów dotyczących rzekomych niedoskonałości kanclerza odsądzał od czci i wiary króla Władysława[115].

Mimo warneńskiej klęski, nie tylko w Polsce, ale w całej Europie zrodziła się wokół niego wspaniała, wielowątkowa legenda, której mogliby mu pozazdrościć najwięksi wodzowie i królowie. Nie czas, aby tu omawiać wszystkie jej wątki, tkane złotymi nićmi. W 1452 roku sporego rozgłosu nabrała sprawa niejakiego Jana z Wilczyny, który utrzymywał, że jest ocalonym z bitwy królem. Spotkała go zresztą za to bardzo przykra kara[116].

Również w innych krajach Europy od czasu do czasu pojawiali się samozwańcy Warneńczycy. Oto według *Starych latopisów czeskich* we wsi Stadice, uchodzącej w tradycji za miejsce pochodzenia dynastii Przemyślidów, pojawił się niejaki Jakub, podający się za władcę Czech. Uważał on siebie za króla-odnowiciela nowych, sprawiedliwych Czech i utrzymywał, że jest także królem Władysławem Jagiellończykiem[117].

Spośród różnorodnych hochsztaplerów, którzy wykorzystując ciszę i pustkę po Warneńczyku, zjawiali się w różnych krajach, także oczywiście w Polsce, oznajmiając, że po latach powrócili – jako zaginiony król – określonymi drogami spod Warny, można wymienić niejakiego Rychlika. Pojawił się w Poznaniu dopiero w 1459 roku. Na sejmie wielmoże „okazali” Mikołaja Rychlika matce króla Władysława – Zofii Holszańskiej, która nie rozpoznała w awanturniku swego syna.

Los Rychlika został przesądzony. Dostojnicy uznali go za oszusta i postanowili ukarać. Zrobiono mu papierową koronę, zaś kat ustawił go pod pręgierzem i dwa razy dziennie chłostał różgami. Po kilku dniach Mikołaj został wtrącony do lochu. Chociaż za zbrodnię obrazy majestatu (bo tak należało ocenić wybryk Rychlika) prawo przewidywało karę śmierci, tym razem – poza szyderstwami i różgami – sąd skazał go jedynie na dożywocie[118].

Garść szczegółów dorzuca kronikarz czeski Paweł Zidek z Ołomuńca: „A pan wojewoda Łukasz poznał wnet, że to nie król, ale łgarz i chciał go stracić, lecz



panowie starsi tegoż kraju nie dopuścili do tego (...), a potem chowali go w więzieniu pocziwie aż do śmierci, aby nikt o nich nie mówił, że króla swojego zabili”[119].

Można przypuszczać, że takich przypadków było znacznie więcej, tylko wieść o nich nie przetrwała. W liście do Mikołaja Lasockiego biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki wspominał o spotkaniu z Litwinem, który twierdził, że władcę widziano u pewnego greckiego księcia. Rok po bitwie, w październiku 1445 roku, palatyn węgierski Wawrzyniec oznajmił, że otrzymano list wysłany przez króla Władysława, który schronił się na Cyprze, ale zapowiada swój rychły powrót na Węgry. Ambroży z Moraw dowodził natomiast, że Władysław podróżuje po świecie, żeby zebrać ogromne wojska przeciwko Turcji[120].

W 1466 roku króla naszego miał spotkać w pustelni koło Santiago de Compostela podróżujący po Europie magnat czeski Lew z Rozmitalu. Był on szwagrem króla czeskiego Jerzego z Podebradu. Zdarzenie, do którego doszło w lesie za miastem Canta la Pietra, opisał po czesku jeden z uczestników, Sasek z Międzygórzy. Mieszkał tam pustelnik, o którym miejscowa ludność mówiła, że jest polskim królem. Miał walczyć z poganami mimo ślubowania im pokoju. Został pobity i teraz pokutuje za swoje winy. Gdy się doń zbliżyli, powiedział mu pan Lew, z jakiej są krainy, i zapytał, skąd on tu przybył. Na to odrzekł pustelnik:

„«Co może komu zależeć, skąd i kim jestem?»».

A był w orszaku pana Lwa pewien Polak, który prosił, by pustelnik obnażył swe stopy, bo król Władysław miał na jednej nodze mieć sześć palców.

Pustelnik długo nie chciał na to przystać, ale wreszcie zdjął obuwie. Polak, patrząc na jego stopy, zobaczył sześć palców na jednej z nich, ukląkł, objął go za nogi i zawołał:

«Ty jesteś naszym panem i królem, który został pokonany przez Turków!».

Pustelnik odpowiedział:

«Dziwię się, że klękasz przede mną i obejmujesz moje kolana, aczkolwiek wiesz, iż nie jestem tego godzien. Jestem człowiekiem grzesznym, zapomnij o mnie. Może Bóg mi przebaczy». – I z tymi słowy wszedł do chaty.

A Polak powiedział panu Lwu:

«To istotnie jest nasz polski król, z postawy i oblicza go rozpoznałem. Pamiętam go od dzieciństwa».

Pustelnik był już stary” – dodawał autor pamiętnika. „Mocno zbudowany, twarz miał podłużną, śniady na obliczu, nos wyrazisty, włosy czarne i długie, oraz wąsy i brodę” – co zgadza się z opisem Długosza[121].

Pozostawmy dociekliwym, w jaki sposób zdołano dostrzec ten znak szczególny.

Najważniejsze, że na nic zdały się zapewnienia samego pustelnika, że nie jest Władysławem. Podróżnicy wiedzieli lepiej. Szkopuł w tym, że w momencie spotkania pustelnik ów liczył sobie około 70 lat (król w tym czasie miałby 43 lata), a także zaprzeczał, że jest królem Polski. Ale najwięcej rozgłosu nabrała romantyczna legenda łącząca postać naszego króla z tajemniczym „Kawalerem św. Katarzyny”, który pod nazwiskiem Henryka Allemano pojawił się w 1454 roku na Maderze i tam przeżył dwadzieścia lat.

Leopold Kielanowski, wykładowca Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, wydobył z Archiwum Akt Dawnych w Lizbonie odpis dokumentu z 17 maja 1457 roku, zgodnie z którym król Alfons V obdarował tajemniczego kawalera ziemią na Maderze. Nazwisko Allemano, nadane rycerzowi przez infanta Henryka Nawigatora, nie oznaczało koniecznie Niemca, a w dworskiej i uniwersyteckiej terminologii krajów śródziemnomorskich odnosiło się do każdego przybysza spoza Alp czy Renu. „Natio allemana” w Bolonii lub Montpellier obejmowało często Polaków, niekiedy Węgrów i z reguły Skandynawów. Na podkreślenie, że ktoś jest Niemcem, używano nazwy Germanus lub Teutonus[122].

Ba, to nie koniec sensacji. „Napisałem zatem do archiwum Ponta Delgada na wyspie St. Miguel na Azorach – relacjonował Leopold Kielanowski – z zapytaniem o dokumenty, odnoszące się do pobytu na Maderze rycerza św. Katarzyny. Po miesiącu otrzymałem odpowiedź wraz z wyciągami z dwóch aktów. (...) Były tam znane już szczegóły przybycia na wyspę”[123].

Według legendy młody polski król uniknął śmierci na placu boju. Ranny, po bitwie, w habicie franciszkanów, których spora gromada pomagała w wojennej potrzebie, miał dostać się najpierw na dwór księcia Stefana Wukcicia w Bośni (niedawnego sprzymierzeńca), a stąd – na górę Synaj. Tutaj miał zostać przyjęty do świeckiego zakonu św. Katarzyny. Już jako kawaler św. Katarzyny w lipcu 1454 roku zjawił się w gronie portugalskich przyjaciół w Lizbonie. Od króla Alfonsa otrzymał na kolonizowanej właśnie Maderze leżącą nieopodal Funchal posiadłość Madalena do Mar.

Gubernator Madery, João Gonçalves Zarco, traktował go jak udzielnego księcia, z honorami przyznawanymi tylko panującemu. Podczas ślubu z senhorinhą Annes, dziedziczką słynnego rycerskiego rodu, świadkiem ze strony pana młodego był sam król Alfons. W żadnym jednak dokumencie nie mówi się o nim jako o polskim królu, jakby szanując i chroniąc tajemnicę. Tylko strzępy dawnych, a dotąd żywych legend raz po raz świadczą o królewskim pochodzeniu rycerza.

Ponoć obraz *Spotkanie św. Joachima ze św. Anną* znajdujący się w Muzeum Sztuki

Sakralnej w Funchal ma przedstawiać tę parę. Obraz ten znajdował się niegdyś na ołtarzu kościółka św. Magdaleny, jest niewielki – mierzy zaledwie 50 na 45 centymetrów. Ów św. Joachim na łańcuchu u pasa nosi kształtną torbę z ciemną ozdobą, niby herbem. Włosy i zarost ma siwe, w oczy rzuca się wyraźny orli nos, wysoki, wyrazisty łuk brwi.

Leopold Kielanowski miał okazję zapoznać się z notatkami nestora historyków sztuki na Maderze, Edvarado Periry. Ten słynny genealog portugalski utrzymywał, że obraz: „Jest portretem fundatora kościoła św. Magdaleny – legendarnego rycerza św. Katarzyny i jego żony, sinhory Annes. Jeśli pod tym imieniem krył się król polski, Władysław III, to w tym obrazie jego właśnie wizerunek przekazywany jest potomności. (...) Nie są to rysy portugalskie, to wyraźnie twarz spotykana w Europie Środkowej”[124].

Najstarszy dokument pisany głoszący, że pod imieniem Henryka Allemano lub Rycerza św. Katarzyny ukrywał się polski książę królewskiej krwi, który zawinił klęsce warneńskiej, pochodzi z 1584 roku. A więc pierwsze pisane źródło o pobycie króla Władysława na tej wyspie odnotowało ów fakt w sto lat po jego przybyciu w 1452 roku. Jest to zapisek w księgach klasztornych franciszkanów, mających siedzibę na Wyspach Azorskich[125].

Wynika z niego, że miał on dwoje dzieci, syna Zygmunta i córkę Barbarę. Syn – podobnie jak ojciec – zginął na morzu, gdy według pisanej legendy udawał się do Polski, a pierworodny Barbary otrzymał na chrzcie świętym imię Mikołaj. Są to imiona w owej epoce niespotykane w Portugalii, zwłaszcza Zygmunt, przyjęty przez Jagiellonów po Zygmuncie Luksemburczyku.

Panna młoda nie mogła mieć podczas zaślubin z rycerzem mniej niż szesnaście lat, zatem ślub mógł się odbyć dopiero w latach 60. XV wieku. Rycerz dobiegał czterdziestu lat i był o dwadzieścia starszy od małżonki: ta różnica wieku jest widoczna na portrecie. Syn urodził się zapewne w pierwszych latach po ślubie. Córka musiała być znacznie młodsza, bo jej ślub – jak podają maderskie kroniki – odbył się dopiero w 1488 roku, a więc po śmierci ojca. Wdowa wyszła powtórnie za mąż za Juano Rodrigesa de Freitas rodem z Algarve, który jako młodzieniec przybył na wyspę z Rycerzem[126].

W 1474 roku dotarli na Maderę franciszkanie z Polski, którzy rozpoznali w tajemniczym Henryku Allemano króla Władysława (miał sześć palców u stopy, rozmawiali z nim w nieznanym nikomu języku). Po tej wizycie Henryk Allemano (vel Władysław Warneńczyk) pojechał do Algarve na wezwanie króla portugalskiego. Wszystko wskazuje na to, że odmówił powrotu do Polski.

W drodze powrotnej z Algarve na Maderę, minąwszy wejście do zatoki Funchal, jego statek przepływał obok wzniesienia Cabo Girao. Wtedy z klifu oderwał się blok skalny, uderzył w statek i zabił pasażera. Tak oto król, który cudem uszedł śmierci od tureckich mieczy pod Warną, został dziwnym trafem strącony ze swojego statku przez spadający z nieba blok skalny.

„Czy było to zdarzenie prawdziwe, czy śmierć upozorowana?” – zastanawiał się Manuel Rosa. „Incydent z Cabo Girao wygląda na sztuczkę obliczoną na przekonanie świata, że rycerz świętej Katarzyny zginął, a zatem przepadły wszelkie nadzieje Polski na powrót Władysława na tron. Wieść o tym przedziwnym wypadku kazałaby te nadzieje zdecydowanie porzucić. Dzięki takiemu manewrowi Henryk Niemiec mógł dalej żyć w pokoju i realizować bez przeszkód ślub pielgrzymowania”<sup>[127]</sup>.

Potwierdzeniem tego byłby dokument z archiwum krzyżackiego. List brata Nicolau Florisa z Lizbony do Wielkiego Mistrza Zakonu, Ludwiga von Erlichshausena, może stanowić dowód, że był to polski król. „Wasza Dostojność, do napisania tego listu skłoniła mnie konieczność natury nie osobistej, lecz publicznej. (...) Jesteście szczególnym przyjacielem króla Władysława, niegdyś najdostojniejszego władcy i pana z Bożej łaski królestw Polski i Węgier. Chcę oznajmić, że król Władysław żyje obecnie na wyspie królestwa Portugalii, a ja jestem jego towarzyszem i współpustelnikiem”<sup>[128]</sup>.

Odnalezienie grobu Henryka Allemano jest już dzisiaj niemożliwe. Stary kościół, gdzie miały spoczywać jego szczątki, zniszczyła lawina skalna z otaczających go gór i na tym miejscu w 1955 roku wzniesiono nowy przybytek. „Były zakrystian, stary João – pisał Leopold Kielanowski – prowadzi nas do kościelnego prezbiterium i pokazuje miejsce, gdzie w czasie przebudowy kościoła znalazł pod ołtarzem kości.

«Była tam czaszka i piszczele» – mówi.

«Tak – uzupełnia ksiądz Manuel. – Rozszerzaliśmy stare prezbiterium, gdy w 1950 r. powódź uszkodziła kościół i znaleziono wówczas szkielety».

«Włożyłem je do worka i zaniósłem na cmentarz» – dodaje João. Nie mogę tego spokojnie słuchać. Ależ to mogły być kości króla! Wiemy, że po dramatycznej śmierci na morzu tutaj złożono jego doczesne szczątki!

Ksiądz Manuel wyjaśnia spokojnie:

«Przez długie wieki różne rody Madaleny grzebały swoich zmarłych w podziemiach kościoła lub wokół jego murów. Innego cmentarza wtedy nie było».

Usprawiedliwia się tym niejako, że wówczas, w 50 r. nie przyszło mu na myśl, że kości te mogą mieć historyczne znaczenie. Zakopano je w poświęconej ziemi i dosyć”<sup>[129]</sup>.

Rodzi się pytanie, jakie kręgi polityczne mogły być zainteresowane celowym fałszowaniem informacji na temat rzeczywistych wydarzeń pod Warną? Przede wszystkim mogły to być grupy polityków węgierskich związanych z Władysławem Jagiellończykiem, a przeciwnych pogrobowcowi, za którego plecami dostrzegano Habsburgów. Świadczy o tym wiele faktów.

Otóż nie kto inny jak Hunyady, którego przecież o brak orientacji trudno podejrzewać, w liście pisanym 23 listopada do panów węgierskich zapewnił, że król uszedł żywy z bitwy. Dzisiaj nie mamy wątpliwości, że pismo to jest fałszywką, sporządzoną celowo, by powstrzymać partię prohabsburską na Węgrzech przed pospieszными działaniami na rzecz pogrobowca[130].

Fakt, że poszukiwania miejsca pochówku Warneńczyka rozpoczęto dopiero w XIX stuleciu, wynikał z kilku przyczyn. Najważniejsza z nich to ta, że znaczenie wykopalisk jako źródeł dla badań historycznych utrwaliła oświeceniowa koncepcja historii. Po wtóre, teren, na którym rozegrała się bitwa, wchodził w skład państwa tureckiego, które na tego rodzaju poszukiwania nie wyrażało zgody[131].

W 1836 roku natrafiono na pewne niezwykle cenne znalezisko, którym miała być szabla należąca do króla Władysława. Wprawdzie nie była ona opatrzona żadnym napisem, ale identyfikacji dokonano w oparciu o „kościaną rękojęść, na której wyrzeźbiony był biały orzeł z krzyżem na piersiach”[132]. Wieść głosiła ponadto, że niewiadomymi drogami szabla ta znalazła się w zbrojowni w Carskim Siole pod Petersburgiem.

Wiekowy, ponad 90-letni Turek, strażnik mahometańskiego cmentarza w pobliżu Warny, opowiadał, że na polu dawnej bitwy znajduje się grób, pogrzebany jest w nim chrześcijański król, który przebył Dunaj z wielkim wojskiem. Zginął on z rąk tureckich i ucięto mu głowę, lecz on bez głowy dotarł do miejsca, w którym teraz spoczywa, i tu ostatecznie padł[133].

Wśród Bułgarów przetrwała legenda o pochowaniu króla Władysława w jednej z niezachowanych do naszych czasów cerkwi Warny. Kallimach zaś w swoim dziele *O królu Władysławie i klęsce warneńskiej* (ogłoszonym drukiem w 1519 roku) podaje dość nieprawdopodobną historię o wzniesieniu przez Turków na miejscu, w którym znaleziono ciało polskiego króla, kolumny „do dziś stojącej”. Wiele hałasu wywołała sensacyjna wiadomość, jaką w 1909 roku przekazano z Bułgarii: o odkryciu przez prostą chłopkę bułgarską, Teodorę Ilijewę, grobu Warneńczyka.

Podobno we śnie objawił jej się święty Jan Chrzciciel z poleceniem rozkopania grobowca zwanego „Pasza-boba-tekesi” lub „Kesik-nasz”, mieszczącego się w obrębie starego tureckiego cmentarzyska, gdzie miały spoczywać zwłoki

chrześcijanina, „człowieka bez głowy”. W grobowcu rzeczywiście znaleziono szkielet ludzki bez czaszki. Początkowo rozeszła się informacja o odnalezieniu grobu świętego Jana Chrzciciela. Potem jednak zaczęto dowodzić, że jest to grób Warneńczyka. Wówczas na nowo ożyła legenda o ostatnim krzyżowcu Europy<sup>[134]</sup>.

A na Wawelu sarkofag młodego króla pozostaje pusty, jakby w ten sposób ziściła się wróżba pewnej cygańskiej wróżki, która przepowiedziała władcy, że za złamanie przysięgi złożonej w Szegedzie nie powróci nigdy do rodzinnego kraju.

---

96 J. Kochanowski, *Fragment bitwy z Amuratem u Warny*, [w:] *Dzieła polskie*, Warszawa 1989, s. 552.

97 F. Ziejka, *Wieczna pamiątka między chrześcijanami... (Z dziejów legendy Władysława Warneńczyka, ostatniego krzyżowca Europy)*. Wykład na Papieskim Wydziale Teologicznym we Wrocławiu z okazji nadania godności doktora honorowego, 7 października 2003 r., s. 1–2.

98 L. Kielanowski, *Odyseja Władysława Warneńczyka*, Londyn 1991, s. 13.

99 Cyt. za: E. Potkowski, *Warna 1444*, Warszawa 1990, s. 199.

100 Z. Święch, *Klątwy, mikroby i uczeni*, t. 3, *Ostatni krzyżowiec Europy*, Kraków 1995, s. 85.

101 F. Kallimach Buonaccorsi, *O królu Władysławie, czyli o klęsce warneńskiej*, tłum. M. Gliszczyński, Warszawa 1854, s. 225.

102 *Jana Długosza kanonika krakowskiego dziejów polskich ksiąg dwanaście*, t. IV, tłum. K. Mecherzyński, Kraków 1869, ks. XII, s. 671.

103 Ibidem, s. 673.

104 Konstantin iz Ostrovice, *Pamiętniki Janczara przed rokiem 1500 napisane*, Sanok 1857, s. 81.

105 F. Ziejka, op. cit., s. 3.

106 U. Borkowska, *Dynastia Jagiellonów w Polsce*, Warszawa 2012, s. 496.

107 K. Olejnik, *Władysław III Warneńczyk (1424–1444)*, Kraków 2007, s. 266.

108 F. Ziejka, op. cit., s. 3.

109 K. Olejnik, op. cit., s. 253.

110 *Jana Długosza...*, ks. XII, s. 1–2.

111 P. Węcowski, *Życie po życiu Władysława Warneńczyka*, „Focus Historia”, 2011, nr 5, s. 62.

112 E. Potkowski, op. cit., s. 205.

- 113 P. Węcowski, op. cit., s. 61.
- 114 K. Olejnik, op. cit., s. 231.
- 115 I. Zarębski, *Stosunki Eneasza Sylwiusza z Polską i Polakami*, Kraków 1939, s. 11–12 i 16–20.
- 116 F. Ziejka, op. cit., s. 2.
- 117 E. Potkowski, op. cit., s. 209.
- 118 P. Węcowski, op. cit., s. 61.
- 119 Cyt. za: K. Olejnik, op. cit., s. 232.
- 120 P. Węcowski, op. cit., s. 62–63.
- 121 L. Kielanowski, op. cit., s. 62–63.
- 122 Ibidem, s. 20–21.
- 123 Ibidem, s. 22.
- 124 Ibidem, s. 34.
- 125 Ibidem, s. 48.
- 126 Ibidem, s. 61.
- 127 M. Rosa, *Kolumb. Historia nieznaną*, tłum. M. Szafrńska-Brandt, Poznań 2012, s. 396–397.
- 128 Ibidem, s. 410.
- 129 L. Kielanowski, op. cit., s. 56.
- 130 K. Olejnik, op. cit., s. 226.
- 131 Ibidem, s. 253.
- 132 J.I. Kraszewski, *Wizerunki książąt i królów polskich*, Warszawa 1888, s. 202.
- 133 K. Olejnik, op. cit., s. 237.
- 134 F. Ziejka, op. cit., s. 4.

*Czy nasz rodak odkrył Amerykę?*





Czy Polak, Jan z Kolna, żeglując z polecenia króla duńskiego, Chrystiana I, dotarł szesnaście lat przed Kolumbem do wybrzeży kontynentu amerykańskiego? Długo napotykanie w piśmiennictwie polskim wzmianki o odkryciu przez niego Labradoru poprzestawały na powtarzaniu poglądów Joachima Lelewela z połowy XIX wieku. Mało wie się u nas o tym, że obok polskiej legendy istnieje wersja skandynawska, której bohaterem jest niejaki Jon Skolp lub Skolv (norweski lub duński odkrywca Nowego Świata).

W przeciwieństwie do nauki dla literatury i sztuki postać Jana z Kolna stanowiła wdzięczne pole do popisu. Wspomnieli o nim poeta kaszubski Hieronim Derdowski w utworze *Kaszube pod Widnem*, Deotyma (Jadwiga Łuszczewska) w *Panience z okienka*, a dwie autorki: Teresa Papi i Stefania Tatarówna uczyniły jego wyprawę tematem nowelek. Rzecz o Janie z Kolna popęlniła nawet literatka Wanda Wasilewska, a także Stefan Żeromski w *Wietrze od morza*, który tak opisywał swojego bohatera:

„Był to człowiek wzrostu wielkiego, w barach szeroki, twardy w karku, o grubym brzuchu, a kolanach i stopach potężnych. Latem i zimą w koszuli na piersiach rozpiętej, z gołą głową, którą włos długi, gęsty i bujny porastał, w skórzniach po same pachwiny i lekkim na ramionach kaftanie, lubował się w deszczach i mrozie, a oddychał wielkimi płucami naprawdę szeroko dopiero wśród wichrów Północy”[135].

Postać naszego bohatera nieco mniejszym powodzeniem cieszyła się wśród artystów, ale warto tu zanotować, że pomnik Jana z Kolna, dłuta Aleksandra Żurakowskiego, uzyskał nagrodę w konkursie „podobizn znakomitych Polaków”. Zmniejszone kopie tego dzieła ozdobiły wnętrza wybudowanych przed ostatnią wojną naszych największych transatlantyków pasażerskich, motorowców „Piłsudski” i „Batory”. Ba, kilka dekad temu jacht gdyńskiego przedsiębiorstwa rybołówstwa dalekomorskiego „Dalmor” nosił nazwę „Jan z Kolna”[136].

Doliczono się około dwudziestu wersji tego nazwiska: Scolvus, Scoluus, Scoluo, Scolus, Scolnus, Scolno i tym podobne. Niemożliwe jest ustalenie, która z nich jest oryginalna, bez dotarcia do pierwotnego źródła, na którym opierali się autorzy z XVI i XVII wieku, a które dziś nie jest znane. Pierwsze wiadomości o tej postaci pochodzą prawdopodobnie z nieustalonych źródeł, portugalskiego lub hiszpańskiego, dotąd

nieodnalezionych i prawdopodobnie zaginionych.

Najstarsza pisemna wzmianka pochodzi z 1553 roku i mówi: „Ziemia Labrador. Jest ona otoczona wyspami i na jednej wysokości i w tej samej temperaturze mieszkają Bretończycy, świetnie przystosowani do życia na tej ziemi. Dotarli tam także ludzie, których wiódł Jan Scolno oraz Anglicy z Sebastianem Cabotem”[137].

Joachim Lelewel z nazwiska Scolnus wywiódł nazwisko „Skolny”, następnie „Szkolny”, a w ostatecznej formie „Jan z Kolna”, i pod tym mianem postać ta utrwaliła się na dłuższy czas. Mazowieckie Kolno w XV wieku przeżywało swój rozkwit, bogacąc się na handlu drewnem i zbożem, gdyż leżało na trasie Warszawa–Królewiec. Z Kolna do Gdańska rzekami Pisą, Narwią i Wisłą płynęły liczne towary, co potwierdzają rejestry komory celnej we Włocławku.

Kolno, będąc miejscem, gdzie odbywały się sądy komisarskie między księciem mazowieckim a Krzyżakami, miało wówczas również kontakty zagraniczne. Północno-wschodnie Mazowsze w XV wieku prowadziło bardzo ożywiony handel drewnem z kupcami gdańskimi, czego dowodem są liczne przypadki odnotowania spornych spraw między mieszkańcami tych ziem z gdańszczanami. Lepsze gatunki drewna, półobrobione i zmienione w deszczułki, czamer, klepki, wanty czy maszty, zwożono do bindug na rzekach, skąd spławiano dalej do Gdańska. Gorsze gatunki przerabiano na miejscu na smołę i popiół drzewny – i także spławiano.

Gdańsk w drugiej połowie XV wieku był znaczącym portem morskim, a ponad szesnaście tysięcy marynarzy obsługujących około sześćset statków gdańskich pochodziło z różnych stron Europy. Wśród „wilków morskich” byli również Mazowszanie. Statki gdańskie zawijały do odległych portów. Wiadomo o wyprawie gdańskiego statku do Islandii w 1435 roku. Gdańszczanin Bertold Ruramer w 1438 roku po zawiązaniu spółki z Olafem Nielsonem, rycerzem norweskim, wydzierżawił Islandię od władcy Norwegii[138].

Skandynawscy autorzy zarzucali Lelewelowi, że dokonał zmiany nazwiska z pobudek patriotycznych, ale sami postępowali tak samo, opierając się nawet na podobnej hipotetycznej podstawie lingwistycznej. Z uwagi na to, że pewna część wybrzeża Norwegii nazywana była Skolp, duński autor Sofus Larsen zmienił nazwisko Jana na „Skolpa” i stworzył nową postać Jona Skolpa, tym razem już bezapelacyjnie Skandynawa[139].

Skandynawski autor pochodzenia islandzkiego, Trygvi J. Oleson, w wydanej w 1964 roku książce *Early Voyages and Northern Approaches. 1000–1632*, przypisuje żeglarzowi narodowość, a jakże – islandzką – i nazywa go „Jonem Skulasonem”. Inny autor, Hjalmar R. Holand, przekonywał, że Skolp i Haus Pothorst byli

prawdopodobnie tą samą osobą. Jeszcze dalej posunął się w swoich hipotezach autor peruwiański Luis Ulloa, który utożsamiał Scolvusa z Kolumbem.

Z cytowanych w dużym skrócie wypowiedzi różnych autorów oraz na podstawie wspomnianych na wstępie starych źródeł z XVI wieku wyciągnąć można następujące konkretne wnioski. Około roku 1476 żeglarz w służbie duńskiej o imieniu Jan, lecz o nieustalonym nazwisku i narodowości, miał dotrzeć do północnego wybrzeża Ameryki w nieokreślonym bliżej miejscu – nie wiadomo, czy były to Ziemia Baffina, Cieśnina Hudsona, a może Labrador?[140].

Oprócz wzmianek o tym fakcie w literaturze XVI- i XVII-wiecznej oraz na globusach i mapach tej epoki, żadnych innych dokumentalnych danych na temat tej podróży nie ma. Z tych względów niektórzy współcześni autorzy kwestionują w ogóle zarówno samą wyprawę, jak i nawet istnienie żeglarza. Niezaprzeczalne również pozostaje to, że kilku autorów z XVI i XVII wieku nazwało żeglarza Polakiem, i faktu tego bagatelizować nie można.

Z pisarzy, którzy wymienili Jana z Kolna jako Polaka i na których oparł się Leleweł, wymienić trzeba przede wszystkim François de Belleforest a napisaną przez niego w 1560 roku historię powszechną świata *L'histoire universelle du monde*:

„Aby się nie zdawało, że zbyt pochlebiam swoim i daję szcztka w nos historii, która domaga się traktowania zgodnego z prawdą, należy pokrótce ukazać, komu należy się sława odkrycia tego kraju borealnego [Labradoru]; nie przysługuje ona Hiszpanowi, Portugalczykowi ani Francuzowi, gdyż Polak to Jan Scolnus dotarł tam już w Roku Pańskim 1476, o wiele wcześniej nim królowie katolicy czy portugalscy wysłali Kolumba bądź Vespucciego w podróż do obcych krain; ów polski pan, przepłynąwszy Morze Norweskie oraz Wyspy Grenlandzkie, Thile [Thule] i inne nieznanne, dotarł do cieśniny, która zwie się [Cieśniną] Arktyczną i leży dokładnie naprzeciw Cieśniny Magellana [która...] w krajach astralnych”[141].

Belleforest był jednak raczej kompilatorem, a źródło, na którym zapewne się opierał, nie jest znane. Jeszcze mniej wartościowe są ponoć późniejsze prace kilku innych pisarzy z końca XVI i z XVII stulecia, nazywających Jana z Kolna Polakiem, jak *Rerum danicarum historia* Pontanusa czy *Descriptionis Ptolomaeicae augmentum* Flamanda Corneliusa Wytflieta:

„Najbardziej odległa część kontynentu Indii została odkryta jako pierwsza, kiedy to na prawie wiek przed wyprawami Portugalczyków i Hiszpanów odkryli po raz pierwszy tę część ziemi rybacy fryzlandcy, wyrzuceni tam przez burzę morską, a wkrótce potem około 1390 roku z rozkazu króla Fryzlandii Zichini przebadali ją bracia Mikołaj i Antonio Zenio [Zeno], patrycjusze weneccy. Zaszczyt ponownego

odkrycia tej ziemi przypadł Janowi Scolnus, Polakowi, który żeglując w roku 1476, 86 lat po jej pierwszym zbadaniu, wypłynął poza Norwegię, Grenlandię, Fryzlandię, wpłynął na owo Morze Północne i dopłynął pod samym kręgiem polarnym do owych ziem Labradoru i Estotilandii”[142].

Wyprawa Pinniga i Pothorsta z roku 1476 jest faktem. Jej celem mogło być odnalezienie północno-zachodniej drogi do wschodniej Azji, zapewne jednak poszukiwali dojścia do Grenlandii. Do Labradoru ekspedycja ta raczej nie dotarła. Oczywiście w tej wyprawie mógł brać udział Polak z pochodzenia, jednakże wyprowadzenie tego dowodu z samego nazwiska żeglarza tego nie dowodzi.

Podawane nazwisko łacińskie „Scolnus” raczej jest błędne, jeśli żeglarz ten był rzeczywiście Polakiem, Janem z Kolna. W takim przypadku za granicą nie nazywano by go nazwą powstałą na gruncie fonetyki polskiej (z Kolna – Skolna – Scolnus), a raczej: Joannes de Colno lub Joannes Colnensis. Dlatego za poprawną formę należy przyjąć „Scolvus”[143].

Według polsko-amerykańskiego historyka Jacka K. Furdyna, który opublikował wyniki swych badań w źródłowym artykule o odkryciu Labradoru przez Johna Scolvusa, po analizie istniejących źródeł i opracowań od XVI do XVIII wieku oraz przedstawieniu wyprawy i omówieniu wszystkich *pro* i *contra* w sprawie narodowości Scolvusa: „Wyprawa, wysłana przez duńskiego króla, po przebyciu wód arktycznych, dotarła ostatecznie do Nowego Świata w rejonie Labradoru. Była ona kierowana przez niejakiego Jana Scolvusa vel Scolnusa, Polaka”[144].

Sprawa Jana z Kolna odżyła na dobre z okazji sensacyjnego znalezienia tak zwanej mapy Vinlandu, mającej stanowić kartograficzny dowód odkrycia Ameryki przez wikingów na kilkadziesiąt lat przed Kolumbem. Osoba legendarnego żeglarza-odkrywcy zaprzętnęła uwagę przede wszystkim amerykańskiej Polonii. Z inicjatywy przewodniczącego Najwyższej Izby Kontroli stanu Massachusetts, Josepha Alecksa, którego ojciec urodził się w pobliżu mazowieckiego Kolna, powstał obraz przedstawiający – widzianą oczyma bostońskiej malarki Rosalind Whitemore – scenę dotarcia Jana z Kolna do Ameryki[145].

Interesującą wersję pochodzenia słynnego żeglarza przedstawił osiadły w Boliwii Olgierd Szwarz. Otóż autor ten, opierając się na dziełach hiszpańskich i mapie z XVI wieku, napisał: „(...) wymarzone ziemie atlantyckie były znane żeglarzom europejskim przed Kolumbem do tego stopnia, że król Danii Chrystian I wysłał w 1476 roku Polaka Jana z Kolno z wyraźnie określonym zadaniem ponownego nawiązania przerwanej od dłuższego czasu komunikacji z Grenlandią; odbycie tej wyprawy stwierdza mapa Michała Loka z 1582 roku i mówią o niej Gomara

i Herrera”[146].

Angielski antykwariusz, geograf i jeden z największych ówczesnych autorytetów w dziedzinie odkryć, Michael Lok, nie wymienił narodowości wspomnianego żeglarza. Argumentacja Olgierda Szwarca i wysnuty przez niego wniosek bazują więc na źródłach hiszpańskich, dotąd raczej mało wykorzystywanych przez badaczy dziejów Jana z Kolna. Otóż według Szwarca hiszpańskie słowa „Polaco Juan de Koluo” (wymawiać: Kolło) wskazują na pochodzenie żeglarza nie z mazowieckiego Kolna, tylko z wielkopolskiego Koła!<sup>36</sup>

Niektórzy powtarzali informację Lelewela, że rodzina żeglarzy z Kolna była znana w Gdańsku i służyła w tamtejszej flocie. Ba, Waław Słabczyński przytacza – potwierdzający według niego te wywody – fakt, że za Stefana Batorego zbuntowanymi gdańszczanami dowodził Jan z Kolna. W rzeczywistości był to Hans Winkelbruch pochodzący z Kolonii, nazywany też Hans von Köln, co dawno temu spolszczono błędnie na Jan z Kolna[147].

Formy Scolvus i Scolnus z punktu widzenia paleografii są równoprawne i bardzo łatwo przejść z jednej na drugą. Zwłaszcza że „v” najczęściej pisano dwiema grubymi pionowymi kreskami z cieniutkim łącznikiem u dołu jako „u”. Małe „n” pisano identycznie, tylko łącznik znajdował się u góry. Stąd mimo tego, że formę Scolvus źródła wymieniają częściej, nie ma pewności, czy jest ona tą jedyną poprawną.

Druga wersja nazwiska jest mniej skomplikowana – to Norweg Jon Skolv. Zasadniczo bazuje ona wprost na brzmieniu źródłowym i nie powinniśmy się dziwić, że badacze tematu zwykle uznają ją za jedynie słuszną. Trzeci wariant to Jon Skolvssen lub Skolvsson, Duńczyk albo Norweg. Jak widać, jest to efekt nieznaczonej modyfikacji poprzedniego, bardziej dostosowujący brzmienie nazwiska do warunków skandynawskich[148].

Niektórzy badacze wysnuli jeszcze dalej idące wnioski. Na tyle dalekie, by utożsamić Scolnusa z samym Kolumbem. Zgodnie z tym twierdzeniem Juan Baptista Colom (Jan Chrzyciel Kolom), Katalończyk, był pilotem wyprawy Pininga i Pothorsta. Colom to oczywiście nazwisko Kolumba, które Duńczycy mieliby przekręcić na Solum. Równie „naukowe” są podstawy do stwierdzenia, że Joannes Scolnus był Polakiem, panem na Podhorcach (obecnie na Ukrainie).

Twierdzenie to Tadeusz Kowaleczko opiera na osobie poety Jerzego Skopa z Podhorców żyjącego w pierwszej połowie XVIII wieku. Autorowi wydanego w Chile opracowania *Johannes Skolpus señor en Podhorce Polonus, predescubridor de America* nie przeszkadzało, że ów Skop wywodził się z chłopstwa ani że Podhorce od 1440 roku były własnością Podhoreckich herbu Belina. Podobnie postąpił z nazwiskiem Pining,

który raz został w źródłach nazwany „Punnus”. Kowaleczko odniósł to do swego Skopa, twierdząc, że to efekt przekręcenia polskich słów „pan na”.

Pothorst oczywiście w tym wypadku odnosi się do Podhorców. A zatem trzech podróżników – Scolnus, Pining i Pothorst – miało stanowić jedną osobę – Skopa, pana na Podhorcach. By pokazać słabość tej hipotezy, wystarczy osoba Pininga, jak najbardziej historyczna, ponieważ Dietrich Pining, urodzony w Hildesheim (Hanower) w Niemczech, był kaprem i gubernatorem Islandii w latach 1478–1490. Zmarł około 1491 roku[149].

Roztrząsając skomplikowany problem narodowości naszego bohatera, musimy cały czas pamiętać, że w społeczeństwie średniowiecznym takie pojęcie praktycznie nie istniało. Rozróżniano poddaństwo – przynależność państwową, czasem określano kraj pochodzenia lub język ojczysty danego człowieka. O narodowości, jako przynależności do danej grupy etnicznej, możemy mówić dopiero od XIX stulecia. Skoro jednak pojawia się w źródłach określenie Norweg czy Polak, musimy się nim zająć.

Gdyby jakiegokolwiek źródło mówiłoby o nim *per* Mazowszanin (w 1476 roku Mazowsze było niepodległym państwem), ten jeden argument starczyłby zamiast długich wywodów na potwierdzenie naszego Kolna jako miejsca pochodzenia żeglarza Jana. Żadne znane źródło tak go jednak nie określiło. Wydawałoby się, że tym samym nie ma mowy o jego kolneńskim pochodzeniu, ale tak nie jest. Jeśli ktokolwiek wstępował na służbę króla Danii, był przez ludzi z innych państw identyfikowany jako Duńczyk. Czasem może tylko wypominano mu pochodzenie. Jak zatem widzimy, ta identyfikacja nie przesądza o rzeczywistym pochodzeniu Jana.

Istotniejsze wydaje się to, dlaczego nazwano Jana Polakiem, a nie Mazowszaninem. Rok 1526, gdy Mazowsze zostało wcielone do Polski i obsadzone polskim wojskiem oraz urzędnikami, był przełomową cezurą. Prawie pół wieku później, gdy jasne już było, że jest to zmiana trwała, trudno pisać o Mazowszanach. Wspominający Jana Scolnusa w 1570 roku Belleforest posłużył się aktualną sytuacją polityczną, w najlepszym razie traktując Mazowsze jak starożytną Kartaginę – państwo, którego nie ma i nie będzie[150].

Na terenie obecnej Polski mamy osiem miejscowości o nazwie Kolno. Joachim Lelewel pisał po prostu, że familia mazowiecka z Kolna była familią marynarzy dobrze znaną w marynarce gdańskiej. Czesław Brodzicki w monografii na temat Kolna podaje jako dowód list Jana Zamoyskiego do nuncjusza Lauro z 1577 roku, mówiący o zdobyciu latarni w Gdańsku przez oddział pod dowództwem „praecipus

Fon Colno”[151].

Problem w tym, że gdańska rodzina Kolnerów, na którą Lelewel się powołał, bynajmniej nie wywodziła się z Kolna, ale z niemieckiej Kolonii. Owo „von Coln” oznaczało właśnie „z Kolonii”. Nie inaczej było i w 1577 roku. Wystarczy zestawić kilka dokumentów w różnych językach, by zauważyć, że „praecipus Fon Colno” był przez Polaków nazywany Janem z Kolna, ale niemieckojęzyczni gdańszczanie pisali o nim Hans von Koln. Nie jest to zresztą postać enigmatyczna i jego pochodzenie z Kolonii jest powszechnie znane[152].

Słabość powyższej argumentacji nie wyklucza możliwości, że chodziło o Kolno w Polsce. Niektórzy uczeni pisali, że z teoretycznego punktu widzenia pochodzenie odkrywcy z Kolna mazowieckiego jest bezzasadne i raczej należy wskazać Kolno pomorskie. Szkopuł w tym, że nie może chodzić o to miasto, bo przed 1945 rokiem nie leżało w granicach Rzeczypospolitej. Chyba że przez Kolno pomorskie rozumiano wieś Kolno na ziemi chełmińskiej. Wymienione po raz pierwszy w dokumencie z 1222 roku było siedzibą grodu[153].

Pod rządami Krzyżaków straciło na znaczeniu, lecz odzyskane na mocy pokoju toruńskiego w 1466 roku wchodziło w skład Polski. Krótki okres dzielący to wydarzenie od wyprawy z 1476 roku zdaje się zaprzeczać możliwości wywodzenia się żeglarza Jana właśnie stamtąd. Jak zauważa Karol Stachelski, wieś stanowiła uposażenie biskupów chełmińskich, a poddani Kościoła cieszyli się mniejszą swobodą niż ludność innych wsi, i byli znacznie mniej mobilni.

Opierając się na realiach 1476 roku, trzeba przyjąć, że w rachubę wchodzić może jeszcze jedno Kolno – w Wielkopolsce. To niewielka wieś, choć szczycąca się rodziną wielmożów polskich, z Dobrogostem z Kolna herbu Nałęcz na czele. Ten w 1422 roku stracił na rzecz Krzyżaków zamek Drabim, ale już w 1428 roku otrzymał kasztelanię kamieńską. Zasłużył się w 1431 roku w wojnie, gromiąc improwizowanym oddziałem rycerstwo inflanckie i biorąc do niewoli dwóch komturów.

Brał czynny udział w polityce – był obecny podczas wystawiania przywilejów w Jedlnej i Piotrkowie, zaś w 1432 roku w Poznaniu przyrzekał wierność potomkowi Jagiełły. Jego syn, również Dobrogost z Kolna, był w latach 1442–1450 podsędkiem poznańskim. Nie byłoby w tej teorii nic szczególnie dziwnego, gdyby z tej zasłużonej rodziny wywodził się kolejny dowódca – w tym przypadku morski. Jednak jest pewne „ale”.

Po pierwsze, szlachta polska niechętnie patrzyła na służbę na morzu, z której w Rzeczypospolitej nie można było spodziewać się żadnych honorów. Po drugie, Jan Scolnus był w 1476 roku pilotem, a więc doświadczonym żeglarzem-praktykiem, a nie

jedynie dowódcą. Trudno przypuszczać, aby osoba wysoko urodzona podejmowała się z własnej woli ciężkiej służby na niższych stanowiskach na morzu[154].

Scolv miał dopłynąć jeszcze dalej w kierunku północno-zachodnim, wiadomość o tym pochodzi jednak z czasów po odkryciu Ameryki – najwcześniejsza z nich z 1537 roku. Jeżeli odpowiada ona prawdzie, Scolv mógł dotrzeć tu do miejsca, w którym pół tysiąclecia wcześniej kończył się horyzont geograficzny Normanów przy wybrzeżach wschodnich Ziemi Baffina. Tutaj od drugiej połowy XVI wieku – najstarsze źródło kartograficzne mówi o tym w 1566 roku – szukano wejścia do legendarnej cieśniny Anian, mającej oddzielać Amerykę od Azji i stanowić północno-zachodnią drogę do Chin[155].

Jedno z późniejszych źródeł podaje Jona Scolva jako odkrywcę cieśniny Anian. Jest to jednak dopisywanie fikcyjnych wydarzeń do późniejszych realiów geograficznych. Podobnie przedstawia się historia owej rzekomej wspólnej wyprawy duńsko-portugalskiej, w której czterech wymienieni żeglarze mieli uczestniczyć. Wiadomość o niej pochodzi z czasów po odkryciu Ameryki, z listu, który w 1551 roku wystosował ówczesny burmistrz Kolonii, Klaus Grip, do króla Danii Chrystiana III.

Jest w nim mowa o szyprach: Dietrichu Piningu i Hansie Pothorście, „którzy zostali wysłani z kilku statkami przez dziada W. K. Mości, króla Chrystiana I, na prośbę króla Portugalii (Alfonsa V) w celu odkrycia nowych wysp i ziem na północy”[156]. List ten donosi, że wyprawa dotarła do nieodległych od Islandii wschodnich wybrzeży Grenlandii, a zatem na wody dobrze poznane jeszcze przez Normanów; nie precyzuje jednak, jaki był udział Portugalii w tym przedsięwzięciu.

Farley Mowat, autor książki o wyprawach wikingów, ujmuje ich łącznie jako uczestników wspólnej wyprawy, datowanej przez niego na około 1476 rok; pod tą datą pisze: „Wspólna skandynawsko-portugalska ekspedycja do ziem zachodnich pod wodzą Pininga i Pothorsta, którym towarzyszył Joao Vaz Cortereal, pilotowana przez Johanna Scolvussa”[157]. Wymienieni uczestnicy wyprawy są postaciami historycznymi, żeglarzami z drugiej połowy XV wieku pływającymi po wodach atlantyckich.

Dietrich Pining pochodził z Hildesheimu, zaś Hans Pothorst z Hamburga – obaj pływali w służbie króla Danii. Joao Vaz Cortereal był jedną z ważniejszych postaci wśród portugalskich osadników na Azorach i ojcem żeglarzy, o których osiągnięciach z przełomu XV i XVI wieku głośno w literaturze dotyczącej dziejów morskich odkryć geograficznych. O podobnej działalności Joao Vaz Cortereala nic natomiast w pełni wiarygodnego powiedzieć nie można. O Piningu wiadomo, że w latach 1478–1491 działał w Islandii, o Pothorście – że dopłynął do południowego krańca Grenlandii –



przyłądka Farvel[158].

Scolvus żył i działał, ale z pewnością nie miał jednak nic wspólnego z jakimkolwiek Kolnem ani z rodziną Colnerów gdańskich, nie pochodził ani z Kolna na Mazowszu kurpiowskim, ani z żadnego innego Kolna na Pomorzu lub w Wielkopolsce. Nie sposób stwierdzić z całą pewnością, jakiej był narodowości, choć żeglarz z Danii lub Norwegii (nie zapominajmy, że oba kraje łączyła wówczas unia personalna) mógł być Polakiem z pochodzenia.

„Muszę się przyznać – pisał Bolesław Olszewicz, który jeszcze przed II wojną światową podjął trud prześwietlenia legendy Jana z Kolna – że była chwila, w której wydawała mi się możliwa identyfikacja Scolvusa z Janem Skalskim, który odegrał wybitną rolę w czasie wojny trzynastoletniej z Zakonem Krzyżackim na Pomorzu, a w r. 1463, wspólnie z gdańszczaninem, Jakóbem Vochsem, najeżdżał wybrzeża duńskie. Dalsze badania wykazały nieprawdopodobieństwo tego przypuszczenia”[159].

Mieszany skład narodowościowy załóg okrętów na Bałtyku w wieku XV, dowództwo wyprawy z 1476 roku w ręku Niemców, wreszcie ówczesne – nie zawsze zresztą pokojowe – stosunki Polski oraz Gdańska z Danią wspierałyby tę hipotezę, gdyby nie fakt, że większość najstarszych źródeł zwie Scolvusa Duńczykiem. Zdaniem Bolesława Olszewicza prawdopodobnie był jednak Norwegiem. Dla naszych rozważań ciekawa jest idea, że w dziele Wytliefa z 1597 roku omyłkowo napisano „Johannes Scolvus Polonus” zamiast „Johannes Scolvus pilotus”.

Pomyłkę tę wykorzystał w XIX wieku Joachim Lelewel, by stworzyć postać polskiego żeglarza Jana z Kolna, który w XV wieku, przed Kolumbem, dotarł do Ameryki. Tłumaczenie, że z przekręcenia słowa „pilotus” miało powstać określenie „Polonus”, nie wytrzymuje krytyki paleograficznej – trudno sobie wyobrazić pomylenie przez kogokolwiek litery „i” z „o”, a już tym bardziej „t” z „n”[160].

Wymagało to dodatkowego „poprawienia” źródeł, zgodnie używających pisowni „Scolvus”, na „Scolnus”. W ten sposób narodził się fikcyjny polski żeglarz-odkrywca. Oszustwo było podwójne, bo podczas gdy w innych przypadkach realnej osobie przypisano fikcyjne odkrycie, tym razem mamy do czynienia z fikcyjnym odkryciem przypisywanym fikcyjnej osobie. Jak słusznie konstatawał Kazimierz Ślaski, „postać nieustraszonego żeglarza polskiego istniała tylko w wyobraźni ludzkiej. Legendy mają jednak twardy żywot”[161].

- 135 S. Żeromski, *Wiatr od morza*, <http://literat.ug.edu.pl/~literat/wiatr/0014.htm>; dostęp: 1.12.2015.
- 136 J. Pertek, *Polacy na morzach i oceanach*, t. I, Poznań 1981, s. 66.
- 137 Cyt. za: C. Brodzicki, *Kolno na Mazowszu*, Warszawa 1982, s. 294.
- 138 Ibidem, s. 297.
- 139 W. Słabczyński, *Polscy podróżnicy i odkrywcy*, Warszawa 1998, s. 237.
- 140 Ibidem, s. 239.
- 141 Cyt. za: Cz. Brodzicki, op. cit., s. 295.
- 142 Ibidem.
- 143 B. Olszewicz, *O Janie z Kolna, domniemanym polskim poprzedniku Kolumba*, [w:] „Przegląd Geograficzny”, 1933, t. XIII, z. 2–4, s. 61.
- 144 J.K. Furdyna, *Scolvus' Discovery of Labrador*, [w:] „Polish American Studies”, 1952 nr 3–4, s. 76.
- 145 J. Pertek, op. cit., s. 68–69.
- 146 N. Leon, *Historia General de Mexico*, tłum. O. Szwarz, Mexico 1919, s. 152.
- 147 Z. Brocki, *Jan z Kolna – wodzem gdańskim?*, „Literey”, 1974, nr 3, s. 5.
- 148 K.J. Stachelski, *Mityczny Jan z Kolna*, „Zeszyty Kolneńskie”, 2006, nr 1, s. 11.
- 149 Ibidem, s. 12.
- 150 Ibidem, s. 13.
- 151 C. Brodzicki, op. cit., s. 329.
- 152 K.J. Stachelski, op. cit., s. 13.
- 153 Ibidem.
- 154 Ibidem, s. 14.
- 155 A. Piskozub, *Optywanie Ziemi*, Gdańsk 1994, s. 167.
- 156 K. Ślaski, *Poprzednicy Kolumba*, Gdańsk 1969, s. 179.
- 157 F. Mowat, *Wyprawy wikingów. Dawni Normanowie w Grenlandii i Ameryce Północnej*, tłum. W. Niepokólczycki, Warszawa 1972, s. 419.
- 158 A. Piskozub, op. cit., s. 167.
- 159 B. Olszewicz, op. cit., s. 60.
- 160 K.J. Stachelski, op. cit., s. 12.

161 K. Ślaski, op. cit., s. 179.

*Czy husarze mieli skrzydła na plecach?*



Jáchym Topól, znany czeski pisarz, powiedział, że Polsce „zazdrości morza i husarii”. Jednak istniejąca przez niemal trzy wieki, bo w latach 1500–1775, husaria polska prawie nie przypominała tej znanej nam, skrzydlatej. Husarz był nieco niczym dzisiejszy popkulturowy Batman. Jego wizerunek pojawiał się na plakatach propagandowych w okresie wojny polsko-bolszewickiej, a po jej zakończeniu także na grobach obrońców Polski poległych w walce. Od 1925 roku skrzydła husarskie stanowią ważny element dekoracji Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie<sup>[162]</sup>.

Należy pamiętać, że już w momencie powstawania niepodległego państwa polskiego uskrzydłony husarz był postacią powszechnie rozpoznawaną, utożsamianą z rycerzem walczącym za wiarę i ojczyznę. Nic dziwnego, że Charles Ogier, autor *Dziennika podróży do Polski 1635–1636*, zachwycał się polską jazdą:

„Próżna byłaby praca opowiadać okazałość i piękność rycerstwa tego (husarii), mówić bowiem o zbrojach jego, o wysokich kopiach z długimi chorągiewkami, o tygrysiach skórach, o pysznych koniach, kulbakach, rzędach, strzemionach, cuglach świecących się od złota, haftów i drogich kamieni byłoby przyćmić ich piękność. Jest to jazda, jakiej nie ma na świecie; żywości jej i przepychu bez widzenia własnymi oczami pojąć niepodobna”<sup>[163]</sup>.

Husarze pobierali prawie symboliczny żołd. Służyli czasem nawet bez najmniejszej zapłaty, uważając, że obrona Rzeczypospolitej to ich obowiązek. Stworzyli na swój użytek specyficzny etos. Wszyscy uważali się za równych sobie. To „panowie bracia” bądź „towarzysze”, o czym pisał Jędrzej Kitowicz. Nie służyli nigdy pod kimś, lecz z kimś – zatem z hetmanem czy z pułkownikiem.

Nieraz też cytowali słowa Cyncerona: „Dobro Rzeczypospolitej niech będzie najwyższym prawem”. Przypominano również słowa Horacego: „Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę”. Taka inskrypcja widniała na grobie hetmana Stanisława Żółkiewskiego w kolegiacie w Żółkwi. Husarze odbierali porządne wychowanie patriotyczne. Włoch Sebastiano Cefali pisał: „Jest starodawnym zwyczajem u tej (polskiej) szlachty mawiać, że piersi ich są twierdzami Polski”<sup>[164]</sup>.

Znakomita konstatacja, ale służba w husarii nie należała do tanich. Koń kosztował sporo, tyle co wieś, a husarz potrzebował kilku. Także skóra rysia perskiego czy geparda była droga, podobnie jak pióra do skrzydeł husarskich. Jedno pióro ze strusia równało się cenie kilku krów.

Mitów narosłych wokół skrzydeł husarii jest mnóstwo. Pierwszym jest ten, że tylko ona ich używała. W rzeczywistości robiła to nie tylko husaria, lecz także polska lekka jazda. Jednak w początkowym okresie swego istnienia husaria nie miała skrzydeł. Dopiero w drugiej połowie XVI wieku przyszedł ze Wschodu zwyczaj przystrojania się piórami.

W dodatku w wielu szczegółach swego uzbrojenia i oporządzenia nasza jazda wzorowała się na kawalerii tureckiej, zwłaszcza husarze – na wyborowych jeźdźcach tureckich zwanych *deli* (słowo to znaczy „waleczny, szalony”). *Deli* ozdabiali swe tarcze piórami, co nadawało im wygląd skrzydeł. Husarze pojawili się w Europie po przegranej bitwie na Kosowym Polu w roku 1389. Wtedy to część Serbów opuściła zajęta przez Turków ojczyznę i ruszyła szukać zajęcia.

Na początku XVI wieku niektórzy z nich zaciągnęli się do polskiej służby jako zaciężna jazda. Określano ich mianem „usar” lub „gusar”. Często zwano ich racami, a pierwszą bitwą, w której wzięli udział, było starcie z Tatarami pod Kleckiem w 1506 roku. Osiem lat później Konstanty Ostrogski dysponował pod Orszą już 800 husarzami. Racowie uczestniczyli w pościgach i walkach z Tatarami oraz Turkami, jednak nie tworzyli osobnych oddziałów.

Nie tylko Turcy, lecz także Tatarzy, z którymi Polacy zetknęli się wcześniej, zdobili ramiona skrzydłami. Wpływ mody tatarskiej na polską modę wojskową był znaczny, ponieważ naśladując wojowników tatarskich, Polacy porzucili kusze i zaczęli używać łuków refleksyjnych. Inna rzecz, że Polacy dobrze znali pierzasty, wyrafinowany strój *deli* i ich paradni jeźdźcy kopiowali go [165].

Niemal wszyscy następnii badacze husarii zgodzili się bez zastrzeżeń z tezą o przejściu przez husarzy skrzydeł i skór od owych szalonych jeźdźców. Ta kwestia ma jednak charakter dyskusyjny. *Deli* bowiem, przystrojeni w pióra i skóry, walczyli zwykle jako harcownicy (przed bitwą, w obliczu gotowych wojsk), w oszołomieniu haszyszowym – stąd zwani byli szaleńcami. Mieli związek z derwiszami, a ich lamparcie skóry kojarzyły się ze strojem perskiego bohatera Rustema. Jako harcownicy są wiernie przedstawieni na osmańskich miniaturach batalistycznych, ale ich strój znacznie różni się od husarskiego [166].

Opis z roku 1665 poświadcza, że husarze na zbroi mieli skóry tygrysią lub lamparcią, spiętą pazurami na lewym ramieniu, a z tyłu dwa skrzydła sępie, które w pędzie czyniły wielki szelest. Były one wszak niewielkie, w niczym nie przypominały wielkich skrzydeł husarskich znanych nam z XIX-wiecznych obrazów. Mało tego, w pierwszej połowie XVII stulecia ksiądz Szymon Starowolski pisał, że husarze „na głowę zaś tak swoją, jak końską kładą pióra” [167].

Nic o skrzydłach. Powód jest prosty: nie wszyscy ich używali – w Polsce robili to tylko niektórzy pocztowi, szeregowi husarscy. Towarzysze – podoficerowie – ich nie nosili. Ponadto w czasach świetności nie były to znane nam z filmów i muzeów wysokie, wygięte nad głową skrzydła. Takie husaria nosiła dopiero w epoce swojego zmięczenia – w XVIII wieku.

„Skrzydła, używane w jakiejkolwiek postaci, nie były cechą charakterystyczną wyłącznie husarii – twierdzi Witold Głębowicz – gdyż były one także stosowane w lekkiej jeździe. Rzeczywistym wyróżnikiem husarzy było uzbrojenie ochronne w postaci zbroi płytowej, zredukowanej do ochrony tułowia i rąk, szyszaka oraz uzbrojenie o charakterze ofensywnym w postaci kopii, szabli i koncerza oraz karabinka lub pistoletów”[168].

Jak widać, skrzydła do dziś budzą spory. Dysponujemy zarówno źródłami pisanymi, jak i ikonograficznymi, które potwierdzają ich użycie, ale jedni historycy argumentowali, że nie da się w nich jeździć, nie można wsiąść na konia. Drudzy – że były stosowane, bo ich szum płoszył wierzchowce przeciwnika, zatrzymywał tatarskie arkany, a nawet odciążał konia. Prawda jest dosyć prozaiczna – po założeniu półzbroi husarskiej ważącej od dwunastu do szesnastu kilogramów dodatkowy kilogram w postaci skrzydła jest prawie niewyczuwalny[169].

„W powszechnej opinii – zauważa Witold Głębowicz – husaria to rodzaj jazdy wyróżniającej się skrzydłami przypiętymi do naplecznika zbroi. Taki pogląd został ugruntowany przez literaturę, dzieła sztuki i filmy. Dzięki publicystom i artystom plastykom skrzydlaty husarz stał się symbolem potęgi wojska polskiego, które przez wieki broniło kraju przed Turkami, Tatarami, Szwedami i Rosją. Już od dziecka każdy Polak wie, do czego były husarzowi potrzebne skrzydła: po pierwsze, by chronić go przed arkanem zarzuconym przez Tatara (jest to teoria zbudowana na założeniu, że husarze głównie uciekali, gdyż w starciu twarzą w twarz łatwiej można byłoby się zasłonić szabłą, niż liczyć na ochronę z piór); po drugie, by straszyć swym szumem konie przeciwnika (co jest o tyle ciekawe, że wcześniej musiałyby znieść znacznie większy hałas wytworzony przez zbroje, ogień broni palnej i pęd koni); po trzecie – by uniemożliwić przeciwnikowi właściwą ocenę wielkości husarzy (co ignoruje zapiski zawarte w dawnych regulaminach, które nakazywały otwierać ogień z broni palnej dopiero wtedy, gdy widoczne stały się białka oczu przeciwnika) i po czwarte, by husarze byli podobni aniołom (na co rzeczywiście brak argumentu przeciwnego, w związku z czym można by przyjąć to za prawdę).

Jak widać, już ten krótki przegląd teorii na temat skrzydeł husarskich ukazuje skalę problemu stojącego przed badaczami historii uzbrojenia. Dawniej uczeni

niemal bez wyjątku przyjmowali rzeczywiste, bojowe zastosowanie skrzydeł przez naszą husarię, co znajdowało swe odzwierciedlenie w malarstwie XIX i pocz. XX wieku. Na wszystkich powstałych w tym czasie obrazach husarze są strojni w skrzydła i to niezależnie od okazji, pory dnia czy roku. Po prostu husarz i jego skrzydła to była nierozdzielna całość, niemogąca bez siebie nawzajem istnieć” [170].

Spotyka się jednak zdania, co podkreślają autorzy monografii na temat husarii, Jerzy Cichowski i Andrzej Szulczyński, że skrzydła należały do wielkiej rzadkości i występowały tylko w niektórych chorągwiach. Na poparcie tej opinii przytacza się fakt, że w listach przypowiednich nie wymieniano skrzydeł jako wyposażenia obowiązkowego oraz że spośród zachowanych zbroi husarskich tylko część ma zaczepy umożliwiające przypięcie skrzydeł.

Polemizując z takim stanowiskiem, trzeba podkreślić, że skrzydeł nie można traktować na równi z kopią czy zbroją, te bowiem stanowiły podstawowe elementy uzbrojenia husarii pozwalające jej na wykonywanie zasadniczych zadań bojowych, skrzydła natomiast nie były obowiązkowe i dlatego w listach przypowiednich pozostawiano ich posiadanie swobodnej decyzji towarzyszy, pisząc: „Pióra i inne ozdoby dla okazałości i postrachu nieprzyjaciela, zależnie od upodobania każdego” [171].

Ze skrzydłami związany jest jednak jeszcze jeden mit – często rysuje się lub pokazuje je przymocowane do pleców husarzy. Tak były noszone dopiero w XVIII wieku, kiedy opisywana formacja stała się wojskiem paradnym i pogrzebowym. W XVI i XVII wieku często występowało pojedyncze skrzydło, i to w dodatku mocowane do zbroi pocztowego, a nie towarzysza. W wielu przypadkach przytwierdzano je nie do naplecznika zbroi, ale do tylnego łęku kulbaki. Umieszczano je także na tarczach albo u lewego boku jeźdźca [172].

Używano ich jednak rzadko. Brało się to stąd, że takie elementy wyposażenia jak utrudniające marsz kopie czy skrzydła trzymano na wozach. A ponieważ husaria, zwłaszcza w wojnach na kresach południowo-wschodnich, często poruszała się komunikiem – czyli bez opóźniających marsz taborów – ruszała też do boju, obywając się bez kopii i skrzydeł. A więc walczyła jak pancerni [173].

Innym mitem jest to, że noszono je zawsze parami. W rzeczywistości część husarzy w ogóle skrzydeł nie używała, a ci, którzy to robili, mieli do wyboru szeroką gamę różnych postaci skrzydeł i miejsc ich zamocowania. Nieporozumienia narosły także wokół celu użytkowania tego elementu wyposażenia. Mitem jest również teza, że skrzydeł używano wyłącznie poza polem bitwy.

Skrzydła na plecach komplikują nieco wsiadanie i zsiadanie z konia, zwłaszcza



jeśli ich dolna część jest zbyt długa. Czy szumią w czasie szarży? „Bywałem świadkiem – pisze Jacek Komuda – kiedy atakowało nawet 60 wierzchowców. Szumu nie było”[174]. Prawdopodobnie jednak nawała skrzydlatych jeźdźców mogła płoszyć konie nieprzyjaciela, ponieważ wzmiankują o tym niemal wszyscy cudzoziemcy, którzy widzieli na własne oczy taką jazdę.

Pod koniec XVII wieku François Paulin Dalerac, francuski dworzanin Jana III Sobieskiego, tak o nich pisał: „Usarze to najpiękniejsza jazda w Europie przez wybór ludzi, piękne konie, wspaniałość stroju i dzielność broni. W bitwie zachęcają się okrzykiem”[175]. Zdaniem profesora Mirosława Nagielskiego wróg czuł wobec husarzy większy respekt i z reguły ustępował, unikając boju, niezależnie od tego, czy nacierali z szumem skrzydeł i łopotem proporców u kopii, czy bez[176].

Podziw szwedzkiego króla Gustawa Adolfa wzbudził widok husarzy, którzy w bitwie pod Gniewem, uniesieni zapałem bojowym, skakali na koniach ze stromego wzgórza w dół jak w przepaść. Wszystko po to, aby uderzyć w piechotę szwedzką, która chroniąc się przed szarżą husarii, opuściła szanice na wzgórzu i zeszła do jego podnóża, licząc, że stromizna nasypu uniemożliwi polskim kawalerzystom dotarcie do nich. „O gdybym miał taką jazdę – miał wówczas powiedzieć – z moją piechotą obozowałbym tego roku w Konstantynopolu”[177].

Husarze uważali się za bezpośrednich spadkobierców tradycji polskiego rycerstwa i podporę Rzeczypospolitej. Nadzwyczajna pewność siebie, przekładająca się na wysokie morale, była kluczowym czynnikiem pozwalającym husarzom przez dwa wieki odnosić niezwykle sukcesy. Tak istotę fenomenu skrzydatego rycerstwa polskiego tłumaczył przywoływany przed momentem Dalerac:

„Historia Polski obejmuje szczegól, że gdy pewien król pragnął się cofnąć przed nieprzyjacielem następującym nań z przemagającą siłą, husarze przeszkodzili temu, oświadczywszy wyniośle, że nie ma powodu obawiać się, kiedy jest pod ich osłoną, gdyż jeżeliby niebiosy zapaść się miały, toby je podtrzymało na ostrzach kopii”[178]. Zwyczaj stosowania skrzydeł musiał być bardzo powszechny, skoro znalazł się odpowiedni zapis w regulaminie dla husarii litewskiej z 1746 roku mówiący:

„*Superaddity* (dodatki) husaryi, że *solita antiqua* (starożytnym obyczajem) skrzydeł dla pocztowych, przy blachach tylnych *tenebuntur* (zatrzymują)”[179]. Tak zdobne i bogato wyekwipowane „(...) chorągwie husarskie nie były zażywane do innych ekspedycji tylko na asystencję jakiemuś wjazdowi pańskiemu na starostwo lub województwo albo pogrzebowi podobnemu, dlatego pancerni husarzew nazywali żołnierzami pogrzebowymi”[180].

Istotnie husaria stała się wojskiem paradnym, pogrzebowym, występującym na

uroczystościach żałobnych magnaterii oraz bogatszej szlachty, czemu dał wyraz ksiądz Jędrzej Kitowicz: „Choraągwie husarskie nie były zażywane do innych ekspedycji tylko na asystencję jakiemu wjazdowi pańskiemu na starostwo lub województwo albo pogrzebowi podobnemuż; dlatego pancerni husarżów nazywali żołnierzami pogrzebowymi; asystowali także pierwsi i drudzy koronacjom obrazów cudownych”<sup>[181]</sup>.

Ksiądz Stanisław Orzechowski wymienił je w opisie wesela Zygmunta Augusta, gdzie szło „rycerstwo (...) z wyniosłymi skrzydłami strusimi na barkach”, a historyk i poeta Maciej Strykowski – w opisie koronacji Henryka Walezego w 1573 roku, gdzie szedł oddział „z orlim skrzydłem na tarczy i hełmie (...). Konie miały dwa skrzydła orle od przednich nóg do głowy, podobne skrzydło jedno na hełmie, drugie na tarczy (...). Inni tarcze pokryte strusimi piórami”<sup>[182]</sup>.

Dopiero w XVIII stuleciu husarzom wyrosły „prawdziwe” wysokie skrzydła. Miały one formę zakrzywionych na jednym końcu drewnianych listew, w które wsadzano orle pióra. Skrzydła mocowano do zbroi, na plecach jeźdźca, lub do siodła. Miały wystawać nawet do pół metra ponad głowę husarza. To właśnie ten obraz wszedł do naszej mitologii narodowej, stanowiąc w oczach każdego niemal Polaka element rozpoznawczy husarii. Ponownie oddajmy głos księdzu Kitowiczowi:

„Zamiast strusich piór szeregowi usarscy mieli z tyłu do zbroi przyśrubowane drewno od pasa nad wierzch głowy wysokie, nad też głowę zakrzywione, piórami długimi od końca do końca rzędem natchnięte, rozmaitymi kolorami wraz z piórami malowane, gałąź laurową lub palmową naśladujące, co czyniło dziwnie piękny widok, lecz takiego lauru nie wszystkie choraągwie używały”<sup>[183]</sup>.

W przepisach dotyczących uzbrojenia i oporządzenia husarii wydanych przez Stefana Batorego po raz pierwszy zostały sformułowane cele, w jakich husaria używała skrzydeł (a w zasadzie dokładnie rzecz ujmując piór – słowo „skrzydła” się nie pojawia): okazałość, czyli uświetnienie wizerunku, oraz trwoga, jaką swą postacią miał budzić polski jeździec.

„Jak widać – podkreśla Witold Głębowicz – nikt tu nie wspomina, by miały one chronić husarza przed wzięciem na arkan czy też płoszyć konie swym szumem. W istocie okazuje się, że skrzydła miały oddziaływać na psychikę wroga, miały odbierać husarzowi wymiar rzeczywisty i przenosić go w świat istot skrzydlatych, niemal nadprzyrodzonych. Ich działanie miało być takie, jak obecnie czarnych mundurów jednostek antyterrorystycznych i kominiarek zakrywających twarz, w wyniku czego walczący stają się nie ludźmi, a niezidentyfikowanymi istotami uosabiającymi siłę i moc”<sup>[184]</sup>.

Niektórzy autorzy z XVII wieku podkreślają nie tylko ozdobny charakter, lecz także praktyczną rolę skrzydeł. Na przykład Ogier: „Na barkach ich sterczą wyniosłe skrzydła dla postrachu nieprzyjaciół”, Cefali: „Mają zwyczaj przypinać dwa skrzydła sępie, które w pędzie czynią wielki szelest”, Dalerac: „Powiadają, że szum tych skrzydeł przestrasza konie nieprzyjaciela i pomaga do rozbicia ich szeregów”[185].

Zwiedzający Polskę w roku 1593 Fynes Moryson miał podobną opinię na ten temat: „Nie tylko żołnierze, lecz także ambasadorowie i ich świta mają skrzydła orła albo skórę tygrysa lub lamparta, albo inny podobny ornament, zakrywające zad konia, albo dla piękności, albo by wyglądać bardziej srogo, ponieważ wszyscy mają konie tak przykryte, jedni mniej, inni bardziej bogato”[186].

Niemal dokładnie wiek później potwierdzał to Bernard O'Connor, irlandzki lekarz, który wówczas praktykował w Polsce: „Zarówno husarze, jak i towarzysze, i ich konie wyglądają przerażająco, będąc wszędzie przystrojeni skrzydłami bocianów, żurawi, indorów itd. i mając zbroje pokryte skórami lampartów, tygrysów, niedźwiedzi, lwów itd., a wszystko to czynią, aby być bardziej przerażającymi dla wroga”[187].

I nie tylko oni sądzili, że skóry i pióra nadawały husarzom straszny wygląd. Zbigniew Morsztyn, poeta epoki baroku, głosił w jednym ze swych utworów:

*Niech jeno sarmackiego obaczą junaka,  
Gdy wąs z pomietą brodą ukaże z szyszaka,  
Gdy w lamparcim łupieżu i w zupełnej zbroi,  
I z orlim skrzydłem straszny jako diabeł stoi,  
Dopieroż zwarszy konia, gdy z kopiją skoczy –  
Będzie mąż, jeśli mu kto pojrzy śmieie w oczy*[188].

W 1575 roku poseł wenecki Hieronim Lippomano, który z racji pełnionej funkcji żywo interesował się polską wojskowością, zauważał: „W czasie wojny używają [Polacy] wszystkich sposobów, aby się zdawało, że ich jest więcej niżeli w istocie, a dla przestraszenia nieprzyjaciela ubierają konie w pióra, przypinają sobie skrzydła orle, a na barkach zawieszają skóry lamparcie i niedźwiedzie”[189]. Pamiętając, że Wenecja dysponowała wtedy najlepszą w Europie służbą dyplomatyczną, nie mamy powodów wątpić w rzetelność tej relacji.

Dzięki sławie, która towarzyszyła tej formacji, na sam ich widok nieprzyjaciele uciekali, tak było pod Lubarem 16 września 1660 roku, gdzie: „Wyprowadzono wojsko

[polskie] wszystko w pole, z regimentami i z działami; które gdy z góry poczęło się było okazować, nieprzyjaciel w pole wychodzić począł był z taboru swego na prawe skrzydło: ale obaczywszy usarskie chorągwie, jako językowie [jeńcy] powiadali, począł się powracać nazad do taboru swego”[190].

Z pewnością nie same skrzydła, lecz wszystkie części stroju bojowego husarza, jak łopoczące proporce, rozwiane skóry dzikich zwierząt, mogły wywierać psychiczne wrażenie na nieznającym tego zjawiska wrogu i straszyć konie nieprzyjacielskiej jazdy. W związku z tym Gembarzewski twierdził, że „skrzydła, a zwłaszcza skóry lamparcie, rozwiewające się w powietrzu podczas szybkiego biegu konia, sprawiały widok jakiejś nadprzyrodzonej istoty, szerzącej popłoch wśród koni nieprzyjacielskich, a zatem stanowiły one czynnik bojowy i nie były jedynie ozdobą”[191].

Mit husarza w boju z wielkimi skrzydłami podważył z końcem XX stulecia znakomity znawca broni profesor Zdzisław Żygulski (junior). Przeanalizował on wszystkie dostępne źródła literackie, ikonograficzne i doszedł do szokującego wniosku, obalającego kolejny narodowy mit: husarz nie nosił skrzydeł i nonsensem jest stwierdzenie, że to skrzydła swoim szumem miały płoszyć nieprzyjacielskie konie, a ich rola polegała na psychologicznym oddziaływaniu na przeciwnika oraz że miały chronić przed cięciem od tyłu.

Znawca tematu Radosław Sikora zauważa, że husaria z pewnością używała skrzydeł na paradach. Natomiast od dawna toczy się debata na temat tego, czy były one wykorzystywane w boju. Po latach studiów nad tą tematyką, wbrew sceptycznym opiniom niektórych historyków, nie ma dzisiaj wątpliwości, że skrzydła noszono także w walce. Liczba i jakość przekazów źródłowych, które mówią o bojowym zastosowaniu skrzydeł, jest po prostu zbyt duża i są zbyt wiarygodne, aby można je było wszystkie odrzucić. Skrzydła zatem były, ale mniejsze, bowiem gdyby miały tak wielkie rozmiary, husarz nie mógłby swobodnie ruszać szablą.

Ponadto na polu bitewnym panował nieopisany jazgot bębnow i okrzyków, zatem nikt nie byłby w stanie słyszeć szumu husarskich skrzydeł. Skąd zatem wzięły się w naszej świadomości historycznej? Obraz husarzy z wielkimi skrzydłami utrwalili w polskich umysłach nasi wielcy malarze dziewiętnastowieczni. To wówczas nastąpiła pełna mitologizacja niezawodnej husarii. Propagowano teorię, że furkoczące skrzydła powodowały na polu bitwy szum, a nieprzyjaciel, słysząc go, wiał, gdzie popadnie[192].

Nie można jednak przeceniać i zbytnio podkreślać roli skrzydeł jako czynnika bojowego. O ile bowiem sama powszechność przyozdabiania się skrzydłami (przez

długi czas w większości chorągwi husarskich) nie może budzić wątpliwości, o tyle ich rzeczywista przydatność w boju nasuwa pewne zastrzeżenia. Wydaje się bowiem, że skrzydła – choć lekkie – mogły być w pewnym stopniu uciążliwe podczas walki. Niemniej używanie ich, przynajmniej w niektórych bitwach, potwierdza ówczesna ikonografia[193].

Rzeczywisty, bojowy wizerunek husarii był jednak inny. Na ile różnił się od tego odświętnego, najlepiej widać na obrazie autorstwa Petera Snayersa przedstawiającym bitwę pod Kircholmem, stoczoną w 1605 roku. Husaria jest na nim pozbawiona skrzydeł. Nie jest to niewątpliwie przeoczenie malarza, gdyż wszystkie pozostałe szczegóły uzbrojenia i przebiegu bitwy są ukazane bardzo wiernie[194].

Pewne wiadomości o miejscu umocowania skrzydeł mamy dopiero z opisu pocztu, który 22 czerwca 1596 roku wyjechał z Zygmuntem III na spotkanie kardynała Enrico Gaetaniego, posła papieża Klemensa VIII. Relacja sporządzona przez kardynała nie pozostawia wątpliwości co do miejsca mocowania skrzydeł – zawiera jednoznaczne stwierdzenie, że skrzydła z piór ptasich przytwierdzone były do siodła. Nadal jednak nie wiemy, czy skrzydła wyglądały tak jak prezentowane w muzeach skrzydła husarskie, to jest, czy były to drewniane listwy z wpiętymi w nie piórami, czy też twory o nieco bardziej zoomorficznym charakterze.

Jedynymi przekazami ukazującymi jeźdźców ze skrzydłami przymocowanymi w inny sposób są ryciny Abrahama Bootha do dzieła *Journael van de Legati, gedaen de Jaren 1627 en 1628*, wydane w Amsterdamie w 1632 roku. Na tych grafikach można dostrzec naszych kawalerzystów ze skrzydłami o ptasiej formie przymocowanymi do pleców na wysokości ramion. Skrzydła te są zresztą niezbyt duże, złożone z kilku rzędów piór. Jak się wydaje, autor sportretował tu wcale nie husarzy, lecz jeźdźców polskiej lekkiej jazdy w ekwipunku paradnym, takim, w jakim występowali jako asysta poselstw i uczestnicy oficjalnych pochodów i uroczystości. Wskazuje na to brak uzbrojenia ochronnego u sportretowanych żołnierzy[195].

W formie najbardziej groteskowej skrzydła przybierały kształt ptasi i wyrastały niemal z ramion żołnierza. Zawsze zresztą były przedstawiane parami, tak by nawiązanie do „anielskiej” natury naszych husarzy było jeszcze bardziej czytelne, zwłaszcza dla widza żyjącego w niewoli pod zaborami. Husaria w legendzie ukształtowanej w końcu XIX stulecia jawiła się jako wojsko o nieziemskiej sile. Pamiętano o wszystkich jej zwycięstwach, ignorowano porażki.

Pierwsze rysy na husarii jako formacji niepokonanej pojawiły się podczas starć znakomitego polskiego hetmana Stanisława Koniecpolskiego z genialnym królem szwedzkim Gustawem Adolfem. Skandynawski „rozbójnik Europy” zreformował

armię, kładąc nacisk na siłę ognia, w tym „skórzanej artylerii” – lekkich dział łatwych do przenoszenia. Według badań historyka Jerzego Teodorczyka szarże husarii zaczęły się załamywać w gęstym ogniu piechoty szwedzkiej, tak jak pod Gniewem w 1626 roku[196].

„Samą husarią – przekonuje profesor Mirosław Nagielski – wojny nie można było wygrać. Nawet podczas odsieczy wiedeńskiej wielki strateg Sobieski, zanim dał rozkaz do potężnej szarży, w której wzięła udział cała jazda z husarią na czele, dokonał kosztem sporych strat rozpoznania bojem stanowisk wojsk tureckich przez dwie rotę husarskie i pancerną Stanisława Potockiego, przygotował zatem dla całej jazdy pozycje wyjściowe do generalnej szarży. Z kolei pod Warszawą – jak wynika z najnowszych badań – na Szwedów ruszyła, aby dokonać rozpoznania bojem, tylko jedna chorągiew husarska – litewska. I oto reszta jazdy patrzyła, czy się jej uda przełamać szyk wroga. Nie udało się i nikt za nią nie ruszył. Bez współdziałania z innymi rodzajami wojska nawet husaria bywała bezradna. I to w polu, nie mówiąc już o zdobywaniu i utrzymaniu terenu, o który toczyła się wojna. Widzimy to po Orszy, podczas dalszych zmagania z Moskwą. Nie przekreśla to oczywiście wiekopomnych zwycięstw z rozstrzygającą rolą husarii, takich jak pod Kircholmem i Kłuszynem”[197].

Słabość polskiego wojska obnażył potop szwedzki w 1655 roku. Ani Stefan Czarniecki, ani nawet Jan Kazimierz z armią silniejszą niż szwedzka nie byli w stanie przeciwstawić się w lipcu 1656 roku ziejącym ogniem regimentom Karola X Gustawa. Dopiero Jan Sobieski jako ostatni pokazał możliwości polskiej jazdy w walkach z Tatarami i Turkami, jej ukoronowaniem była szarża husarii pod Wiedniem w 1683 roku[198].

Echa wyprawy wiedeńskiej rozeszły się po Europie jak długa i szeroka. Papież, przyjmując zdobytą chorągiew Mahometa, kazał ku czci zwycięzcy wybić złoty medal i na murach Bazyliki św. Piotra umieścić na cały miesiąc herb Sobieskich i godła Rzeczypospolitej. Na setkach rysunków, sztychów, obrazów, na płaskorzeźbach i miniaturach przedstawiono pędzących skrzydlatych rycerzy i na ich czele bohaterskiego wodza. Husaria, która pod Wiedniem odniosła swoje ostatnie wielkie zwycięstwo, przechodziła do historii i legendy jako niepokonana jazda[199].

Ale czy to prawda? Po pierwsze, w dawnej literaturze prawie wyłączną zasługę wiedeńskiej wiktorii przypisywano jeździe, tymczasem obecnie historycy podkreślają rolę piechoty i artylerii, które wyparły wroga ze zboczy górskich i na drodze wiodącej wzdłuż Dunaju, dopiero to umożliwiło przeprowadzenie szarży i ostateczne rozgromienie przeciwnika. Batalia wiedeńska jeszcze raz potwierdziła

rosnące role piechoty i artylerii na polach bitewnych Europy[200].

Dopóki husaria zwyciężała, dopóty Rzeczpospolita zadziwiała świat, a kryzys husarii zapoczątkował upadek Korony i Litwy zakończony rozbiorem. Rzeczpospolita zaczęła wypadać z wielkiego wyścigu militarnego. Ościenne mocarstwa wystawiały dobrze wyszkolone dwustutysięczne i większe armie z poboru, podczas gdy polski sejm dopiero w Konstytucji 3 maja 1791 roku uchwalił powołanie stutysięcznej armii. Dla Rosji Katarzyny II stało się jasne, że czas kończyć z odwiecznym przeciwnikiem, póki jest jeszcze tak słaby[201].

W polskich muzeach przechowywanych jest zaledwie kilka egzemplarzy skrzydeł, przy czym zgromadzone są raptem w pięciu zbiorach: w Muzeum Wojska Polskiego, Muzeum Narodowym i na Zamku na Wawelu w Krakowie oraz Bibliotece PAN w Kórniku i w Klasztorze na Jasnej Górze. Żadne z nich nie ma jednak pewnej proveniencji, wiedza na temat ich pochodzenia i historii sięga maksymalnie pierwszej połowy XIX wieku. Na podstawie przeglądu zachowanych zbroi husarskich i skrzydeł Witold Głębowicz wyciągnął następujące wnioski:

- Niemal na pewno wszystkie zbroje z uchwytnymi do pary skrzydeł są albo falsyfikatami, albo też zostały wyposażone w te uchwyty w XIX wieku.

- Wszystkie pary skrzydeł znajdujące się w zbiorach polskich są według wszelkiego prawdopodobieństwa, graniczącego niemal z pewnością, falsyfikatami wykonanymi w XIX wieku.

- Nie można wykluczyć, że przynajmniej część zbroi zaopatrzonej w uchwyt lub uchwyty do mocowania pojedynczego skrzydła jest autentyczna. Ich datowanie zamyka się pomiędzy końcem XVII wieku i latami 60. XVIII wieku. Wśród nich można wyróżnić dwa sposoby mocowania skrzydeł: pierwszy polegał na przynitowaniu do naplecznika dwóch uchwytników z blachy w kształcie litery U i wsuwaniu w nie skrzydła, drugi zaś na zastosowaniu pojedynczego uchwytnika w formie tulei przynitowanego do dolnej folgi naplecznika. Pierwszy ze sposobów raczej wykluczał bojowe zastosowanie takiego skrzydła, usztywniającego korpus husarza (który siedział, tak jakby połączył kij od szczotki), krępował bowiem ruchy, zwłaszcza możliwość obrotu i pochylenia się; drugi ze względu na słabość zamocowania na pewno mógł służyć jedynie do parady. Inne sposoby mocowania skrzydła występują w pojedynczych przypadkach, jako – prawdopodobnie – przystosowywanie posiadanych zbroi do aktualnych potrzeb wynikających z mody.

- Brak zachowanych zbroi z jakimikolwiek uchwytnymi z pierwszej połowy XVII wieku może wskazywać na to, że w tym czasie skrzydła, jeśli ich używano, były troczone nie do zbroi, ale do siodła. Tezę taką potwierdza siedemnastowieczna

ikonografia, ukazująca husarzy z czarnymi skrzydłami umieszczonymi na tylnym łąku siodła. Skrzydła te są niskie, nie wychodzą ponad głowę husarza, na dodatek pióra są w nich bardzo rzadko powtykane, tak że nie tworzą jednej płaszczyzny.

– Podwójne skrzydła, w postaci pary umieszczonej symetrycznie po bokach siodła, lub znacznie rzadziej na plecach husarza, występowały jedynie sporadycznie i to, jak się wydaje, wyłącznie w sytuacjach odświętnych, gdy nie trzeba było wykonywać jakichkolwiek manewrów bronią, a udział husarii ograniczał się wyłącznie do jej obecności. Do boju skrzydeł używano sporadycznie, pojedynczych i zawsze troczonych do siodła. Zapewne także często zredukowano je do symbolicznych „skrzydełek” w postaci szkofii (ozdób z piór umieszczanych na szyszakach).

– Powszechnie znany, ukształtowany przez patriotyczne malarstwo, wizerunek husarzy wyposażonych w parę skrzydeł nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością uchwyconą w źródłach historycznych i zachowanych zabytkach. Obraz ten zaczął żyć własnym życiem i obecnie właśnie on powszechnie uważany jest za jedyny prawdziwy. Do dziś wszelkie rekonstrukcje wyglądu husarzy – czy to dla potrzeb filmu, czy oświaty – oparte są na tym obrazie, powstałym w okresie zaborów i utrwalonym w międzywojniu.

– Rozstrzygające dla wyjaśnienia wielu wciąż nasuwających się wątpliwości byłoby przeprowadzenie eksperymentu badawczego, polegającego na porównaniu właściwości skrzydeł różnego typu, montowanych na wszystkie znane sposoby. Przejazd doświadczonego jeźdźca dałby wiele więcej niż dotychczasowe rozważania teoretyczne na temat szumu wywoływanego jakoby przez skrzydła czy też możliwości zarzucenia arkanu. Doświadczenie takie nie tylko odpowiedziałyby na pytania o bojową użyteczność skrzydeł, lecz także pozwoliłyby wyeliminować z obiegów, naukowego i muzealnego, wszystkie falsyfikaty[202].

Husarskie skrzydła to efekt naszej narodowej mitomanii. Pozostałość pamięci o Kircholmie, Kłuszynie i wreszcie Wiedniu. Dwa razy husaria przegrała, i to z kretesem: w 1626 roku ze Szwedami w bitwie pod Gniewem oraz w roku 1652 pod Batohem, gdzie zginął Marek Sobieski, brat późniejszego zwycięzcy spod Wiednia. Po tej ostatniej bitwie Bohdan Chmielnicki kazał wymordować husarzy, chcąc zniszczyć polskiego ducha.

„Mimo że wysokich skrzydeł nigdy w boju nie było – konstatuje profesor Michał Rożek – to husaria była podziwiana w całej Europie, a kanon mody, który ustalili husarze, przekroczył granice Rzeczypospolitej Obojga Narodów, stając się popularnym tak w Moskwie, jak i we Florencji. Dziś spotykamy w muzeach zbroje husarskie – oczywiście z wysokimi skrzydłami. Cóż, z mitem się trudno rozstać.



Nieraz bywa trwalszy od faktów, które mogą być w potocznym rozumieniu historii źródłem ciężkiego szoku”[203].

Legenda husarii, skrzydlatej jazdy, jest tak silna, że już nikt i nic jej nie obali, nawet gdyby udowodniono, że ma tyle wspólnego z rzeczywistością, ile podanie o smoku wawelskim. Nawet naukowcy, mający przecież świadomość, jak było naprawdę, do dziś biorą udział w jej utrwalaniu w kraju i za granicą. Przykładem może być wystawa *Kraj skrzydlatych jeźdźców. Sztuka w Polsce 1572–1764*, pokazywana w latach 1999–2000 w USA i Polsce, która utrwaliła tradycyjny wizerunek husarii jako jazdy ze skrzydłami na plecach, a nawet z postaci skrzydlatego jeźdźca uczyniła symbol oryginalności i odrębności polskiej sztuki[204].

Mit Polski jako „kraju skrzydlatych jeźdźców” jest nadal żywy i taki już pewnie zostanie na zawsze. Jak bowiem twierdził Albert Einstein: „Łatwiej jest rozbić atom, niż obalić mit”.

---

162 W. Głębowicz, *Legenda skrzydlatych husarzy*, „Inne Oblicza Historii”, 2006, nr 5, s. 16.

163 M. Rożek, *Smakowite obyczajowości*, Kraków 2011, s. 246.

164 Ibidem, s. 248.

165 Z. Żygulski (junior), *Husaria polska*, Warszawa 2000, s. 24.

166 Ibidem.

167 M. Rożek, op. cit., s. 246.

168 W. Głębowicz, op. cit., s. 8.

169 J. Komuda, *Potęga polskiej husarii*, „Historia Do Rzeczy”, 2015, nr 1, s. 9.

170 W. Głębowicz, op. cit., s. 6.

171 J. Cichowski, A. Szulczyński, *Husaria*, Warszawa 1977, s. 111–112.

172 J. Komuda, op. cit., s. 9.

173 M. Nagielski, *Mit uskrzydłony*, „Historia Do Rzeczy”, 2015, nr 1, s. 12.

174 J. Komuda, op. cit., s. 9.

175 M. Rożek, op. cit., s. 246.

176 M. Nagielski, *Mit uskrzydłony*, „Historia Do Rzeczy”, 2015, nr 1, s. 12.

177 <http://www.national-geographic.pl/historia/husaria-czyli-najlepsza-jazda-swiata>; dostęp: 20.11.2015.

178 Ibidem.

179 B. Gembarzewski, *Husarze: ubiór, oporządzenie i uzbrojenie: 1500–1775*, Warszawa 1939, s. 43.

180 J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Gdańsk [b.d.w.], s. 151.

181 Ibidem.

182 Oba cytaty w tym akapicie za: B. Gembarzewski, op. cit., s. 8.

183 J. Kitowicz, op. cit., s. 154.

184 W. Głębowicz, op. cit., s. 8.

185 Wszystkie przypisy w tym akapicie za: J. Cichowski, A. Szulczyński, op. cit., s. 113.

186 *Shakespeare's Europe. Unpublished chapters of Fynes Moryson's Itinerary Being a Survey of the Condition of Europe at the end of the 16th Century*, tłum. K. Michałowicz, Londyn 1903, s. 83.

187 *The History of Poland in Several Letters to Persons of Quality...*, tłum. K. Michałowicz, Londyn 1698, List VI, s. 9–10.

188 Z. Morsztyn, *Na Historyję Sarmacką IMć Pana Józefa Naronowicza Narońskiego, inżyniera i matematyka Kurfirtza IMci*, [w:] *Muza domowa. Wydanie krytyczne spuścizny poetyckiej*, Warszawa 1954, t. II, s. 105.

189 *Relacje nuncjuszów apostolskich i innych osób o Polsce od roku 1548 do 1690*, Berlin–Poznań 1864, t. I, s. 260.

190 Cyt. za: R. Sikora, *Fenomen husarii*, Warszawa 2013, s. 11.

191 B. Gembarzewski, op. cit., s. 11–12.

192 M. Rożek, op. cit., s. 250.

193 J. Cichowski, A. Szulczyński, op. cit., s. 114.

194 W. Głębowicz, op. cit., s. 10.

195 Ibidem.

196 J. Teodorczyk, *Bitwa pod Gniewem (22 IX – 29 IX – 1 X 1626). Pierwsza porażka husarii*, „Studia i Materiały do Historii Wojskowości”, 1966, t. XII, cz. 2, s. 116–117 i 121–123.

197 M. Nagielski, op. cit., s. 12.

198 J. Besala, *Potęga polskiego oręża*, „Newsweek Historia”, 2015, nr 1, s. 73.

199 M. Hryniewicz, *Bitwa pod Wiedniem*, Warszawa 1983, s. 66.

200 L. Podhorodecki, *Wiedeń 1683*, Warszawa 1980, s. 156.

201 J. Besala, op. cit., s. 73.

202 W. Głębowicz, op. cit., s. 19.

203 M. Rożek, op. cit., s. 250.

204 W. Głębowicz, op. cit., s. 19.

*Czy to Jeremi Wiśniowiecki leży w krypcie  
klasztora Świętego Krzyża?*



Usytuowany na Łyscu, zwanym Łysą Górą, pobenedyktyński klasztor, ze względu na przechowywane w nim relikwie drewna Krzyża Świętego, jest celem pielgrzymek z całej Polski. Słynie z licznych legend, wśród których jest zmyślna bajda o sabatach czarownic na Łysej Górze, czarownic na pewno mniej brzydkich, mniej starych, niż naszym przodkom wmawiali nabożni zakonnicy, by spotwarzyć cudzą kipiącą namiętność w pogańską noc Kupały.

Jest opowieść o pełzającym tutaj na górę, na kolanach, zamienionym w kamień świątobliwym pielgrzymie, a także wielce awanturnicza historia o Barbarze Rusinowskiej, zbójniczce, i nie mniej ciekawa o dwóch mnichach, którzy skradli, a potem – rzecz ludzka – na hulankach przepuścili zbierane z istic benedyktyńską cierpliwością klasztorne skarby[205].

Nie jest znana dokładna data fundacji klasztoru – spory na ten temat trwały już w XIV wieku. Tradycja benedyktyńska, utrwalona przez opata Jana Katarzynkę w monografii *Powiest Rzeczy Istej*, a powtórzona przez Jana Długosza w *Dziejach Polski*, przypisuje ją Bolesławowi Chrobremu, który miał to uczynić w 1006 roku. Natomiast opat Maciej z Pyzdr, żyjący w drugiej połowie XV wieku, umieścił notatkę na marginesie *Rocznika świętokrzyskiego dawnego*, że klasztor na Łysej Górze został założony w 1020 roku.

Nie jest jasna również kwestia pochodzenia i dotarcia na Łysiec relikwii drewna Krzyża Świętego. We wspomnianym *Roczniku świętokrzyskim dawnym* mówi się o świętym Emeryku, synu króla węgierskiego Stefana I, który miał podarować tę relikwię braciom świętego Benedykta. Symbolem benedyktynów łysogórskich jest podwójny złoty krzyż, którego górne ramię jest krótsze od dolnego. Nosi on nazwę „krzyża arcybiskupiego” lub „krzyża patriarchalnego”, a od XVII wieku „krzyża jerozolimskiego” i jest nierozłącznie związany z kultem i symboliką relikwii drewna Krzyża Świętego. Nieco inną historię przybytku można przeczytać na tafli z czarnego marmuru w klasztornym krużganku:

„Kościół na Łysej Górze z nastaniem wiary do Polski R.P. 966 przez Mieczysława i Dąbrówkę małżonków pierwszych polskich chrześcijańskich monarchów na miejscu osławionej bałwochwalni Trzech bożyszcz, ku czci Trójcy Przenajświętszej został wzniesiony, aby gdzie dla potrójnego czarta: Świst, Poświst, Pogoda bluźniono, tam wieczyście Bóg w Trójcy św. jedyny Ojciec, Syn i Duch św. chwałę

bezustanną odbierał. Najpierw osiedli tu 6 z Dąbrówką przybyli Benedyktyni, później w r. 1006 Bolesław Chrobry syn poprzednich władców, pierwszy król polski powiększył kościół, klasztor i uposażenie: gdy zaś pierwsi zakonnicy ponieśli męczeństwo, innych 12 Benedyktynów z Kassynu sprowadził. Św. Emeryk syn św. Stefana króla Węgierskiego za wolą Bożą i rozkazem anielskim, drzewo żywota, Krzyż krwią Chrystusa skropiony temu miejscu darował”.

Współcześni historycy przyjmują węgierskie pochodzenie relikwii. Ono tłumaczy też, dlaczego uformowano relikwie w krzyż o podwójnych ramionach. Stefan I, uzyskawszy bowiem od papieża tytuł „króla apostolskiego”, prócz herbu rodowego pieczętował się podwójnym krzyżem, podobnie jak arcybiskupi. Odtąd królowie węgierscy posługiwali się tym znakiem. Pacyfikał króla Ludwika Węgierskiego, znajdujący się w nadwornej kaplicy w Burgu Wiedeńskim, również ma kształt podwójnego krzyża.

Niektórzy starają się wytłumaczyć formę krzyża o dwóch ramionach, nawiązując do hiszpańskiego miasta Caravaca. Tam bowiem szczególnie czczono krzyż o podwójnych ramionach. W XVII i XVIII wieku uznawano krzyż Caravaca za cudowną obronę w czasie zarazy. Jeszcze dziś akcję zwalczania epidemii sygnuje się „karawaką”. Benedyktyni, chcąc podkreślić, że drewno święte jest prawdziwą obroną i nadzieją w chorobach, nadali relikwiom kształt krzyża „karawaka”.

Święty Krzyż cieszył się wielką estymą polskich królów. Przywileje nadawali mu: Bolesław Wstydlivy, Władysław Łokietek i Kazimierz Wielki. Największym czcicielem relikwii był Władysław Jagiełło, który z Nowej Słupi pielgrzymował tu pieszo siedem razy. Odwiedził sanktuarium między innymi w drodze do Krakowa na chrzest i koronację, modlił się przez dwa dni przed bitwą pod Grunwaldem. Siedmiokrotnie pielgrzymował też Kazimierz Jagiellończyk. Cześć relikwiom oddawali również inni władcy Polski: Jan Olbracht, Zygmunt Stary, Zygmunt III Waza, Władysław IV, Jan Kazimierz, Michał Korybut Wiśniowiecki.

Wśród pielgrzymów byli liczni kardynałowie i biskupi, przedstawiciele słynnych rodów: Oleśnickich, Odrowążów, Kmitów, Radziwiłłów, Szydłowieckich, Tęczyńskich, Bogoriów, Siennickich. Nie skąpili oni bogatych darów. Do dziś ofiarność tę przypominają herby umieszczone w sklepieniach krużganków. Obecny zespół klasztorny, zamieszkały przez misjonarzy oblatów Maryi Niepokalanej, składa się z kościoła przylegającego od północy do klasztoru; razem tworzą czworobok zabudowań z krużgankami obiegającymi prostokątny wirydarz oraz dobudowanymi w XVII wieku od zachodu dwoma skrzydłami.

W XVI wieku opactwo świętokrzyskie przeżywało smutny okres upadku. Dobra

klasztoru zdewastowali Tatarzy. Po dwuwiekowej przerwie nowe najazdy tatarskie nękały Polskę. Wyprawy organizowane przez chanat krymski często pozostawały w związku z wojnami polsko-tureckimi. Dotychczasowi możni opiekunowie skłaniali się do ruchów dysydenckich. Starał się temu zaradzić biskup krakowski kardynał Jerzy Radziwiłł. W 1592 roku zyskał w Rzymie władzę wizytowania opactw benedyktyńskich w swojej diecezji.

Podczas jego pobytu w 1593 roku wyszło na jaw, że opat Maciej Lisiecki nieprawnie objął urząd, został więc usunięty. Na jego miejsce Radziwiłł wyjednał u króla w 1595 roku mianowanie nowego opata Michała Maliszewskiego, który rokował kontynuowanie odnowy życia zakonnego. Natomiast zapowiedzią renowacji zabudowań opactwa świętokrzyskiego było wzniesienie przez Mikołaja Oleśnickiego na początku XVII wieku kaplicy grobowej na miejscu dawnego kapitulacza. Wybór miejsca nie był przypadkowy.

Oleśnicy od najdawniejszych czasów byli związani ze Świętym Krzyżem i tu grzebali swoich zmarłych. W XV wieku w tym miejscu pochowana została matka kardynała, Dobrochna z Roźnowa, i jej mąż Jan, który zmarł w 1436 roku, a także ich syn Jan, marszałek królestwa, i Dobiesław z Oleśnicy, wojewoda sandomierski. Interesująca nas najbardziej kaplica Oleśnickich została wybudowana na zrębie gotyckiego kapitulacza przez Mikołaja Oleśnickiego, wojewodę lubelskiego. Dokładnej daty rozpoczęcia budowy nie można ustalić.

Ojciec Wojciech Rufin, benedyktyn świętokrzyski, w swojej monografii *Historia o Drzewie Krzyża Świętego na Górę Łysą przeniesionym* wydanej w 1611 roku pisał: „Mikołaj Oleśnicki (...) tymi czasy kaplicę znacznym kosztem dał budować”<sup>[206]</sup>. Budowę rozpoczęto więc przed rokiem 1611, a ukończono w 1620. Jak wynika z napisu nagrobnego na Świętym Krzyżu, Mikołaj Oleśnicki był synem innowierców Jana i Zofii Spinkówny, który powrócił na łono Kościoła katolickiego.

Za sprawą jezuitów powstał wówczas prąd powrotu do katolicyzmu, czyli tak zwana kontrreformacja. Znaczną rolę odegrał też król Zygmunt III, ponieważ w obsadzaniu urzędów i królewskich faworyzował katolików. W tym kontekście zmiana wyznania przez Mikołaja Oleśnickiego nie stanowiła wyjątku, żeby przypomnieć tylko Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Sierotkę, Jana Chodkiewicza czy Olbrachta Łaskiego.

Prawosławie porzucił również Jeremi Wiśniowiecki, zwany często Jarema, który urodził się w 1612 roku jako syn Michała starosty owruckiego i Raisy, córki Jeremiego Mohyły, hospodara mołdawskiego. Po matce Wołoszce odziedziczył bladą cerę i krucze włosy. Miał duże i spokojne oczy, w których, jak mówiono, czały się gromy.

Wcześniej został osierocony, dlatego opiekę nad nim sprawował stryj Konstanty.

Otrzymał staranne wykształcenie, studiował też za granicą. Nie był jednak mówcą ani mężem stanu. Mówił o sobie, że jest stworzony do wojny, a nie do perory. Był dobrym żołnierzem i świetnym wodzem. Talent organizatorski pokazał w administrowaniu udziałnym niemal księstwem na Zadnieprzu. Prowadził liczne wyprawy wojenne na własną rękę. W roku 1646 został mianowany wojewodą ruskim. W latach 1648–1651, czyli w pierwszym okresie wojny z Bohdanem Chmielnickim, przewodził stronnictwu wojennemu.

Los nie pozwolił mu zostać hetmanem wielkim, co było marzeniem jego życia. Wsławił się w wojnie z Kozakami i zyskał wielki mir wśród szlachty w kraju i za granicą. Godny wzmianki jest jego testament, który pisał, będąc pewnym, że prędzej czy później jego rodzina odzyska Zadnieprze. Wskazują na to ponadto ogromne datki na rzecz Kościoła na terenie tych ziem.

Sam fakt pisania testamentu w przededniu rozprawy z Zaporozcami świadczy o tym, że Jeremi nie zamierzał się na wojnie oszczędzać. Ciekawe, że w jego przypadku testament został po śmierci utajniony i nie wszedł nigdy w życie, a odnalazł go (a raczej jego odpis) dopiero w latach międzywojennych profesor Władysław Tomkiewicz. Ostatnia wola sporządzona w posiadłości Zamoyskich w Krzeszowie rozpoczynała się słowami:

„Pewny i niepewny kres żywota ludzkiego. Pewny, albowiem cunctis diebus [przez wszystkie dni] oczekiwany, donec veniat immutatio [aż nadejdzie śmierć]. Niepewny, albowiem, kiedy ma nieuchwytny dzień mortalitatis [przemijania] terminować, quisque caret voto suo [któż uniknie swego przeznaczenia]. Mając ja tedy na pamięci takowy Stwórcę mego dekret i powszechnej pladze skazitelności podległym się bacząc, ponieważ mi solum superest sepulchrum [pozostaje tylko grób], wstępuję do niego z takowym prawdziwemu Bogu i kościołowi rzymskiemu oświadczeniem: credo, quod Redemptor meus vivit et ego surrecturus sum in novissima die et in carne mea videbo Deum salvatorem meum [wierzę, że mój Odkupiciel żyje, a ja zmartwychwstanę w dniu ostatnim i we własnym ciele ujrzę Boga mego zbawcę]”[207].

Dalej polecał, a czego – jak już wiemy – nie wykonano: „Zaznaczam, aby ciało moje w wiszniowickim nowo wymurowanym kościele miało swoje repozytorium”[208]. Zaraz po ukończeniu testamentu książę zaczął zaciągać wojsko za pożyczone pieniądze. W czasie tej kampanii odznaczył się odwagą graniczącą z brawurą. Gdy Jan Kazimierz postanowił zawrócić do Warszawy, wraz z nim wycofało się pospolite ruszenie i część rot prywatnych magnaterii. Jeremi oraz Marcin Kalinowski zostali



wyznaczeni do dalszej walki i wraz z około 16 000 jazdy oraz 8000 piechoty ruszyli na Ukrainę.

13 sierpnia 1651 roku na naradzie dowódców w namiocie księcia Jeremiego postanowiono uderzyć na Chwastów, opanować go, a następnie podjąć wspólne działania z wojskiem litewskim. Książę „w ten czas zdrów i wesoły był, napijając się z Imciami według potrzeby. Nazajutrz, w poniedziałek, z pragnienia zjadł ogórków, potem miodu się napił, z czego żołądek zapsował i w gorączkę wpadł” [209].

Jeremi na początku lekceważył swoje dolegliwości, gdy jednak okazało się, że stan jest poważny, Jan Zamoyski kazał go przewieźć do zamku pawłockiego i tam oddał pod opiekę swojego lekarza Cunasiusa. Choroba, mimo zabiegów lekarza, zamiast ustępować, pogłębiała się. Wysoka gorączka, ostre biegunki szybko wycieńczały organizm chorego. Po sprowadzeniu spowiednika chciał przyjąć komunię na klęczkach. Nie miał jednak siły, by zejść z łoża ani nawet klęczeć o własnych siłach.

Książę skonał 20 sierpnia o godzinie jedenastej. Jako że śmierć poprzedziła krótka, zaledwie tygodniowa choroba, zaczęto podejrzewać otrucie. Głównym winowajcą miał być hetman wielki koronny Mikołaj Potocki, od dawna mający z Wiśniowieckim na pieńku. Antagonizm między hetmanem, a zarazem kasztelanem krakowskim, a wojewodą ruskim istniał od dawna. Potockiego musiało niepomniernie drażnić, że wojsko, które często okazywało mu lekceważenie, wypominając Korsuń, taką czcią i miłością otacza jego rywala.

Po Beresteczku sława i popularność Jeremiego, i tak od czasu Zbaraża zaćmiewająca wszystkie niegdysiejsze sukcesy hetmana, dochodziła szczytu. W decydującym dniu beresteckiej bitwy, kiedy Wiśniowiecki poprowadził do szturmowania lewego skrzydła, Potocki w ogóle nie brał udziału w walce, gdyż nie domagał. Aby uspokoić wojsko, które twierdziło, że Jaremę otruto arszenikiem, zarządzono przeprowadzenie sekcji zwłok.

Nie zachował się niestety protokół z sekcji, jedynie przekaz pośredni. Zanotowano, że Wiśniowiecki był osobą otyłą, a organy wewnętrzne (zwłaszcza jelita i serce) miał mocno otłuszczone: „Naleziono w nim niesłychanie tłustość wielką; kiszki tak łojem oblane, jako u wieprza nie mogą być tłustsze, serce tak tłustość oblała, że szpilką nie było gdzie tknąć, i płuca bardzo zniszczały” [210].

Oficjalnie nie udało się zatem ustalić przyczyny śmierci, ale wykluczono otrucie. Żydowski kronikarz Natan Hannover zapisał jednak bez cienia wątpliwości w swoim dziele *Jewein Mecula, tj. Bagno Głębokie*: „W owym czasie zazdrościli panowie bardzo ks. Wiśniowieckiemu coraz to większych godności i zaszczytów i dali mu do picia truciznę. I umarł książę Wiśniowiecki” [211].

Obecnie przyjmuje się, że prawdopodobną przyczyną śmierci kniazia mogło być zatrucie pokarmowe lub – co znacznie bardziej prawdopodobne – cholera lub choleropodobna biegunka, zwłaszcza że w tym czasie notowano wypadki zarazy wśród żołnierzy. Głód, trudy marszu sprzyjały epidemii, która zaczęła zbierać obfite żniwo: „Rzadka to chorągiew, żeby kilkunastu towarzystwa leżeć nie mogło na swoje gorączki”[212].

Z kronikarskiego obowiązku należy podać, że są też tacy, którzy twierdzą, że Jarema uległ otruciu arsenem, którego sekcja nie mogła wykryć, ponieważ jego ślady nauczono się rozpoznawać dopiero w XIX wieku. W swych ostatnich słowach książę żałował, że Bóg nie dał mu umierać na koniu, podczas bitwy. Ale ostatnią drogę przebył w towarzystwie swoich żołnierzy, gdy 22 sierpnia odbyła się smutna ceremonia pożegnania księcia przez wojsko.

Jeremi umierał, gdy był już blisko odzyskania swych zadnieprzańskich dóbr, jednak żaden z Wiśniowieckich tam nie wrócił, choć próbował tego dokonać Michał Korybut podczas kampanii ukraińskiej 1660 roku. Największy magnat Rzeczypospolitej umierał jako zadłużony bankrut. Odchodził człowiek, którego wizja rozwiązania sprawy kozackiej mogłaby zmienić historię. A co najbrutalniejsze, umierał, dokonawszy pierwszego kroku na drodze do odzyskania swego majątku – odbiwszy Wiśniowiec.

We wrześniu 1653 roku zrujnowana i zadłużona żona Jaremy, Gryzelda Konstancja Zamoyska, przybyła na Święty Krzyż wraz ze zwłokami męża, które od sierpnia 1651 roku spoczywały w kościele w Sokalu. Składała w opactwie ciało męża na czas nieokreślony, czyli do momentu, gdy nadarzy się okazja zorganizowania odpowiedniego dla jego statusu społecznego pogrzebu.

Jednak w momencie, gdy ta okazja się pojawiła, a mianowicie gdy jej syn został królem, nie została wykorzystana. Być może przyczyna tkwi w tym, że do tego czasu Święty Krzyż wielokrotnie złupiono – choćby podczas „potopu” przez trzy lata w opactwie stali szwedzko-siedmiogrodzcy żołdacy, którzy: „Ciała panów w grobach obnażyli, folwarki i wsie spustoszyli”[213].

Na domiar złego w klasztorze, z rozkazu Niemca w służbie szwedzkiej, pułkownika Paula Wirtza, pozostała załoga wojskowa z zadaniem odszukania skarbu. W klasztorze od wieków przez wielu naszych królów i magnatów gromadzone były wielkie skarby w złocie, srebrze i drogich kamieniach, aby mogły być użyte wtedy, gdy ojczyzna będzie w potrzebie. O miejscu ich przechowywania wiedzieli tylko zaprzysiężeni zakonnicy.

Z relacji wydanej w 1690 roku, autorstwa ojca Marcina Kwiatkiewicza,

zatytułowanej *Święty Krzyż na Świętej Górze Świętokrzyskiej Łysice nazwanej*, wiemy, że poddano torturom trzech zakonników. Ojcu Adrianowi Dobrskiemu – oprócz tego, że go przypiekali ogniem i zdarli skórę z rąk – to jeszcze wtłoczyli mu na głowę obręcz dębową i poobijali klinami. Ojca Teofila Kaczanowskiego przecięto na pół, a bratu diakonowi Jackowi Piotrkowskiemu rozłupano na pół głowę.

Wejście do skarbu było zamurowane w podziemiach kościoła, drugie wejście było pod podłogą spichlerza w folwarku Słupia Stara, gdzie wyryto na stragażu: „A.D. 1794”. Stamtąd miał się ciągnąć pod ziemią loch aż pod kościół świętokrzyski. Rzeczywiście przy starej bibliotece znajdował się sekretny skarbczyk, o którym wiedzieli tylko wtajemniczeni. Przypadkowo wejście do niego odkrył murarz ze Słupi nazwiskiem Trepka, gdy przeprowadzano remont.

Zdradził tajemnicę władzom austriackim, które 8 kwietnia 1796 roku ogołociły skarbczyk i wywiozły jego zawartość do Wiednia. Benedyktyni wytoczyli proces, który wygrali, ale kosztowności nie odzyskali. Na mocy decyzji władz skarby zdeponowano w banku wiedeńskim. W takich okolicznościach jest zatem prawdopodobne, że w 1670 roku nie było już co, zwłaszcza kogo chować. To tłumaczyłoby fakt, że Michał Korybut ograniczył się do ufundowania nagrobka o treści: „Jeremi postrach Kozaków – ksiązę, z nominacji papieskiej i cesarskiej, na Wiśniowcu – Michała pierwszego Króla polskiego ojciec – w roku pańskim 1653 złożony”.

Na początku XX wieku wraz z wydaniem *Ogniem i mieczem* wzrosło zainteresowanie osobą Jeremiego. W 1936 roku opactwo na Świętym Krzyżu objęli księża misjonarze oblaci Maryi Niepokalanej. Przypomniano sobie wtedy o zwłokach księcia, postanowiono otworzyć kryptę Oleśnickich i udostępnić ją zwiedzającym. Ponieważ nie dysponowano żadnymi dokumentami określającymi, która z trumien zawiera ciało sławnego magnata, uznano za właściwą trumnę złożoną na honorowym, centralnym miejscu w krypcie[214].

Te zwłoki umieszczono w szklanej trumnie i wyeksponowano. Od tego czasu urosły one do roli drugiej, obok kawałka krzyża Chrystusowego, relikwii narodowej. Jednak w ich autentyczność wątpił już w latach międzywojennych Władysław Tomkiewicz, pisząc: „Gdy w końcu XVIII wieku pożar zniszczył opactwo świętokrzyskie, ślad po szczątkach Jeremiego zaginał. Być może, iż ogień je w popiół zamienił, a zdarzyć się może, iż traf lub przypadek odkryć je zdoła”[215].

W 1806 roku zwłoki z krypty zakonnej pod spalonym kościołem ekshumowano i złożono w jednej zbiorczej trumnie. W opuszczonych zabudowaniach urządzono więzienie, najpierw dla księży demerytów (zdrożnych), a od 1884 roku ciężkie

więzienie karne, które działało do września 1939 roku. Przebywało tam sporo znanych osobistości, na przykład przywódca ukraińskich nacjonalistów Stepan Bandera czy syn białoruskiego urzędnika pocztowego, as przemytników, szpieg, bandyta i „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” w jednej osobie, kryminalista, a potem poczytny pisarz, Sergiusz Piasecki.

W czasie okupacji w 1941 roku Niemcy urządzili w klasztorze obóz jeniecki, w którym sześć tysięcy radzieckich jeńców zmarło śmiercią głodową. O strasznych warunkach, jakie w nim panowały, świadczy fotografia, na której widnieje napis wykonany przez Niemców: „Kanibalizm będzie karany rozstrzelaniem!” [216]. Jeśli chodzi o weryfikację tożsamości kniazia Wiśniowieckiego, problemem jest brak dowodów rzeczowych: zbroja, ubiór, sygnet zostały zrabowane już przez Szwedów w 1655 roku, a jedyną pewną i namacalną pamiątkę po Jaremie, cytowaną powyżej tablicę fundacji Michała Korybuta, zniszczyły niemieckie bomby 6 września 1939 roku.

Dlatego też 10 września 1980 roku profesor Jan Widacki, ówczesny kierownik Zakładu Kryminalistyki Uniwersytetu Śląskiego, przeprowadził badania zwłok z kaplicy. Do współpracy jako obducenta zaprosił wybitnego specjalistę Zdzisława Marka, a także Jerzego i Andrzeja Koniecznych. Powyższa ekipa, zaopatrzona we wszelkie pozwolenia zarówno władz świeckich, jak i kościelnych, w obecności księdza Jana Jastrzębskiego, przedstawiciela klasztoru, przystąpiła do otwarcia trumny z domniemanymi zwłokami księcia Wiśniowieckiego.

Okazało się, że zwłoki w stanie całkowitego strupieszenia nie były ubrane, poprzykrywane za to różnymi kawałkami tkanin, także między innymi połówką damskiego gorsetu. Głowa spoczywała na złożonym żupanie koloru ceglatego. Zawartość trumny skatalogowano. Przede wszystkim ze zwłok i z trumny pobrano próbki do dalszych badań laboratoryjnych. Wszystkie czynności były rejestrowane. Analizy laboratoryjne trwały dość długo, dopiero w roku 1981 można było je opracować i wyciągnąć wnioski. Wyniki badań przedstawił Jan Widacki w artykułach zamieszczonych w „Przekroju” w numerach 1898 i 1899.

Z ustaleniem płci nie było kłopotu, ponieważ strupieszenie zwłok pozwalało na rozpoznanie worka mosznowego i prącia. Zwłoki były rozkawałkowane – od tułowia oddzielona była głowa i lewa ręka w obrębie stawu barkowego. Wzrost zmarłego oszacowano na od stu sześćdziesięciu do stu sześćdziesięciu trzech centymetrów. Skóra pobrudzona była miejscami czarną substancją, mogła to być smoła.

Głowę zawieziono do Zakładu Radiologii Szpitala Wojewódzkiego w Kielcach, gdzie wykonano radiogramy. Na ich podstawie ustalono, że wiek zmarłego to od

pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu lat. Nie zachował się do naszych czasów portret Wiśniowieckiego, który mógłby uchodzić za pewny, dlatego skorzystanie z metody superprojekcji nie wchodziło w grę.

Zbadano także próbki ciała metodą chronometrii radiowęglowej, aby ocenić, kiedy mężczyzna zmarł. Instytut Fizyki Politechniki Śląskiej w Gliwicach oszacował pierwszą z dwóch dostarczonych próbek na 275 lat (plus minus 90), drugą na 305 (plus minus 80). Tak więc mężczyzna ten istotnie żył w czasach Wiśniowieckiego, jednak końcowe wnioski naukowców jednogłośnie wykluczały możliwość potwierdzenia, czy są to szczątki kniazia Jaremy.

Oto kilka ważniejszych argumentów przemawiających przeciw ich autentyczności:

Zwłoki z krypty nie były poddawane sekcji zwłok (jak wiemy skądinąd, Jarema został poddany temu zabiegowi już w Pawołoczy).

Denat miał około 163 centymetrów wzrostu, podczas gdy w XVII wieku średnia wzrostu była znacznie mniejsza, a kronikarze wspominają Jeremiego jako osobę niską: „Dzielny to był pan bardzo i lubo przy małym wzroście”.

Wiek denata na podstawie radiogramów określono na 50 do 55 lat, podczas gdy Jeremi zmarł w wieku 39 lat.

Brakuje jakichkolwiek źródeł wskazujących na to, że akurat zwłoki znajdujące się w centrum krypty Oleśnickich należą do Jeremiego Wiśniowieckiego. Ponadto w krypcie brakuje zwłok opata Sierakowskiego. a znaleziono w niej jego kartusz trumienny. W krypcie panował ogólny bałagan w trumnach, co jest zapewne wynikiem działań kolejnych łupieżców.

Wszystko wskazuje na to, że zwłoki Jaremy nie zostały pochowane w krypcie Oleśnickich, ale w krypcie głównej kościoła (nagrobek ufundowany przez Michała Korybuta został uszkodzony przez pożar, a przeciw kaplica Oleśnickich i krużganki nigdy się nie paliły. Stąd przypuszczenie, że najprawdopodobniej przeniesiono tablicę ze spalonego kościoła).

Jak to zwykle w tego rodzaju sprawach bywa, obie koncepcje mają swoich zaciekle zwolenników i przeciwników. Za tym, że zwłoki ze Świętego Krzyża to szczątki Jeremiego Wiśniowieckiego, ma przemawiać to, że:

Trumna zrobiona jest z grubych, smolnych desek, obita na zewnątrz smołowanym, grubym płótnem i czarnym sukniem stosownie do życzenia zmarłego. Wszystko okrywała na wierzchu ołowiana blacha, co wskazuje, że przygotowano ją do dalekiego transportu. Forma trumny niezwykle – „sarkofag”.

Współcześni Wiśniowieckiemu, którzy dobrze znali księcia, zapisali: „Statury był

miernej, oczy żywe, twarz czerwona, okrągły stan”. Oględziny ciała i jamy brzusznej wykazały, że zwłoki należały do człowieka otylego.

Nieznany świadek pożegnania zwłok Jeremiego przez wojsko zapisał: „Prowadzili ciało w trumnę włożone, smołą zalane, ubrane w żupan atlasowy, karmazynowy, fereznię aksamitną włosianego koloru, kołpak aksamitny koloru pomarańczowego”[217]. Karmazynowy żupan znaleziono w trumnie pod głową nieboszczyka zwinięty jako poduszka i pozbawiony zapięć. Jest to ślad rabunku dokonanego przez Szwedów. Wynik analiz pobranych próbek wskazuje, że na dnie trumny znajdowała się smoła drzewna i ślady smoły pozostały na ciele. Szczególnie na rękach zmarłego.

Najważniejszy argument to analiza radiowęglowa  $^{14}\text{C}$  wykonana w Politechnice Śląskiej[218].

Po dokonaniu przeliczeń okazało się, że najbardziej prawdopodobne jest, iż połowa aktywności życiowej człowieka, którego próbki badano, przypadała na czas od 1630 do 1640 roku. W latach tych mieścił się tylko Jeremi Wiśniowiecki, którego połowa życia przypada na rok 1630. Werdykt ten wyklucza Mikołaja Oleśnickiego czy opata Sierakowskiego. Pewne wątpliwości budzą opinie radiologów oceniających zdjęcia czaszki.

Do ich wniosków należy podchodzić z rezerwą, bo zdjęcia robiono po 330 latach od śmierci, a w tym czasie mogły nastąpić zmiany w układzie kostnym albo u księcia zachodziły swoiste odchylenia od normy. Nie ma zatem stuprocentowej pewności co do autentyczności (lub jej braku) mumii spoczywającej w sercu Gór Świętokrzyskich, choć badania DNA rozwiązałyby wszelkie wątpliwości.

Obecnie pośrodku krypty Oleśnickich ustawiona jest trumna w kształcie sarkofagu wykonana z grubych desek pokrytych impregnowanym płótnem i obitych czarnym sukniem ozdobionym złożonymi guzami. Dawniej na zewnątrz okrywała ją jeszcze ołowiana trumna, z której pozostały tylko resztki. Płaskie wieko trumny przyozdabiało sześć wazonów. Całość spoczywała na ołowianych lwich łapach.

Jeremi nie doczekał prawdziwego pogrzebu i zapewne go nie doczeka, a warto pamiętać, że w 2001 roku minęło 350 lat od jego zgonu. Nie odprawiono wtedy na Świętym Krzyżu nawet mszy za jego duszę, a obchody rocznicy przesunięto z 19 na 26 sierpnia, aby nie wchodzić w konflikt z... pokazami wytopu żelaza na dorocznej imprezie zwanej Dymarkami Świętokrzyskimi.

A przecież jak w wywiadzie dla „Życia Warszawy” słusznie zauważył biograf kniazia Jan Widacki: „Z legendami się nie walczy. Legendy się wyznaje...”.

---

205 Z. Nosal, *Święty Krzyż*, Łódź 1970, s. 3–4.

206 J. Jastrzębski, *Klasztor Świętego Krzyża na Łyścu*, Kielce 1989, s. 8.

207 W. Tomkiewicz, *Testament Jeremiego Wiśniowieckiego*, „Miesięcznik Heraldyczny”, 1930, t. IX, nr 4, s. 67 i nn.

208 J. Jastrzębski, op. cit., s. 63.

209 J. Widacki, *Jeremi Wiśniowiecki. Książ Jarema*, Katowice 1984, s. 246.

210 J. Molenda, *Tajemnice polskich grobowców*, Warszawa 2008, s. 127.

211 Ibidem.

212 J. Widacki, op. cit., s. 248.

213 J. Jastrzębski, op. cit., s. 15.

214 W krypcie znajdowały się ponadto szczątki fundatora kaplicy Mikołaja Oleśnickiego i jego żony, a także ciało zmarłego w opinii świętości opata Stanisława Sierakowskiego oraz nieznanego powstańca z 1863 roku.

215 W. Tomkiewicz, *Jeremi Wiśniowiecki (1612–1651)*, Warszawa 1933, s. 380.

216 W. Kalwat, *W krainie legend*, „Mówią Wieki”, 2005, nr 4, s. 55.

217 A. Grabowski, *Starożytności historyczne polskie, pisma i pamiątki do dziejów dawnej Polski*, Kraków 1840, t. I, s. 286–287.

218 J. Jastrzębski, op. cit., s. 64–65.

*Czy w niedzickim zamku ukryto skarb  
Inków?*





Kilka dekad temu zrobiło się w Polsce głośno o odkryciu inkaskiego kipu na zamku w Niedzicy przez Andrzeja Benesza, potomka krewnego peruwiańskiego przywódcy Tupaca Amaru II. Historia to dawna i niedawna zarazem, ale zdążyła zaistnieć jako komiks w miesięczniku „Relax”, a także na stronach książki z młodzieżowego cyklu opisującego przygody Pana Samochodzika. Legendę o inkaskim skarbie z zamku nad Dunajcem nagłośnił pod koniec lat 50. ubiegłego wieku w „Dzienniku Polskim” Jalu Kurek. Tematem tym zainteresował się również tłumacz, scenarzysta i publicysta „Tygodnika Powszechnego” Jan Józef Szczepański, pisząc powieść *Kipu*.

Historia inkaskich uciekinierów pojawiła się nawet w oficjalnym toaście Aleksandra Kwaśniewskiego, który wygłosił 10 września 1998 roku na powitanie prezydenta Peru Alberto Fujimoro. Po początkowych uprzejmościach prezydent Rzeczypospolitej powiedział, że już kiedyś: „(...) Polska gościła Peruwiańczyków. Miało to miejsce około dwustu lat temu, gdy rodzina jednego z przywódców antyhiszpańskiego powstania, Tupaca Amaru II, musiała szukać schronienia w Europie. Zamek w Niedzicy w południowej Polsce stał się domem księżniczki Uminy. Do dzisiaj krąży legenda o dokumencie ukrytym w ścianach zamku, który opisuje drogę do domniemanego skarbu Inków. Ciekawostką jest, że ćwierć wieku temu jeden z potomków księżniczki Uminy był marszałkiem polskiego sejmu”[219].

Zacznijmy jednak od początku. W połowie XVIII wieku mieszkała na Podolu rodzina Berzeviczych, drobnej szlachty spokrewnionej z potężnym rodem węgierskim. Młody Sebastian urodził się w 1698 roku. W młodości dom rodzinny na Wołyniu nie dał mu pewnego dachu nad głową: bogata posiadłość została spalona podczas napadu rabunkowego jakiejś bandy, poraniona matka wkrótce zmarła, ojciec – nieobecny podczas ataku – kilka lat później zaginął bez wieści.

Sebastian był wychowywany przez babkę. Wraz z uzyskaniem pełnoletności się niespokojnym duchem i utracjuszem, uwielbiającym wszelkie peregrynacje. Imał się najrozmaitszych zajęć, przede wszystkim wojaczki. Podpisywał się podobno Benesz de Berzeviczy[220]. Przeżywszy nieszczęśliwą miłość do córki bogatego sąsiada, wyruszył w poszukiwaniu zapomnienia i przygód na Daleki Wschód.

Stąd, po wielu przygodach, zaciągnąwszy się na korsarski statek pod banderą hiszpańską, trafił do Ameryki Południowej. Według innych – i jak się wydaje pewniejszych – relacji dotarł bezpośrednio do Peru przez Panamę, wypływając

z hiszpańskiego portu w Kadyksie. Równie sprzeczne informacje dotyczą daty jego pojawienia się w Nowym Świecie. Mniej wiarygodne źródła podają, że miał wówczas sześćdziesiąt dwa lata; inne, że trzydzieści, czyli przybyłby do Ameryki w 1728 roku.

Tam, podobno podając się za angielskiego lorda, omamił szykujących się do rebelii Inków, obiecując im pomoc. Jego urok osobisty zadziałał również na pewną inkaską księżniczkę, którą wkrótce poślubił. Niestety, umarła przy porodzie córki, nazwanej – ponoć po rodzicielce – imieniem Umina. Została ona żoną Andresa – bratanka przywódcy, który wywołał ostatnie powstanie Indian przeciwko hiszpańskiemu okupantowi. Był nim José Gabriel Condorcanqui, potomek ostatniego króla Inków Tupaca Amaru I.

Odwet hiszpańskich władz za rebelię był bezwzględny, a ich okrucieństwo przewyższało wszystkie dotychczasowe czyny. Hiszpanie postanowili konsekwentnie wytępić wszystkich, którzy mogliby w przyszłości legitymować się pochodzeniem od inkaskiej szlachty. Sebastian w porę zorientował się, co się święci. W 1783 roku zabrał Uminę, jej męża oraz kilku Indian i zorganizował ucieczkę z Peru do Włoch. Hiszpański wywiad po kilku latach wytropił zbiegów w Wenecji, gdzie przebywali do 1796 lub 1797 roku, kiedy to zginął zaszytowany i wrzucony do jednego z kanałów mąż Uminy, wówczas jedyny legalny spadkobierca inkaskiej korony i skarbów.

W jaki sposób iberyjska „Securitate” mogła wpaść na ich ślad? Wyjaśnia to odkrycie Aleksandra Rowińskiego, który natknął się w bibliotece Museo Settecento Veneziano na meldunek potwierdzający czarno na białym ścisłą współpracę hiszpańskiej i weneckiej inkwizycji. Pewien szpieg „donosił uprzejmie”, że sekretarz ambasadora Hiszpanii, Doloe Don Ignazio, służył dwóm panom. Informacje przesyłał nie tylko na dwór Karola IV, lecz także przekazywał je słynnemu... Giacomo Casanovie. Jeżeli Hiszpanie poszukiwali zbiegłych z Peru przedstawicieli inkaskiej szlachty, od weneckich szpicli bez problemu mogli otrzymać wiadomości na ich temat.

Autor książki *Pod klątwą kapłanów* znalazł potwierdzenie takiego przypuszczenia, czytając donos jednego z 1530 ówczesnych konfidentów: „Wczoraj wieczorem zabito jednego z Peru, z tych, jacy tu są, został pchnięty sztyletem i wrzucony do kanału. Napastnicy rozbiegli się”. Inny meldunek mówił: „Jutro powie mi Meisels, dokąd udał się Polak Berzeviczy z ludźmi. Byli na Burano i tam dostali statek”<sup>[221]</sup>. Burano to skromna rybacka wysepka, o której mówi się potocznie „wyspa z krzywą wieżą”. Uciekinierzy rzeczywiście zdecydowali się zmienić klimat.

Przenosiny do Polski miały się dokonać – według popuszczającego wodze fantazji

Jana Józefa Szczepańskiego – za sprawą przeora augustiańskiego klasztoru w Krakowie, który poznał rodzinę w Rzymie, przebywając tam w interesach zakonnych. Ponoć najpierw zaproponował gościnę u siebie, lecz po tym jak Umina urodziła pogrobowca imieniem Antonio, rzucił pomysł schronienia się u hrabiego Józefa Horvatha de Paloczaj w Niedzicy[222].

Sebastian mógł też osobiście spotkać się podczas weneckiego karnawału ze spiskim bon vivantem i tam dać mu zadatek na remont lub wykup zamku, gdyż był w stanie wyłożyć pieniądze na popadającą w ruinę była siedzibę swego rodu. Była, ponieważ budowniczym zamku na początku XIV wieku był Kokosz Berzeviczy, który nosił tytuł magister, meister, co oznaczało: pan, rycerz. Pominiemy losy fortecy. Dziadkowi Sebastianowi Berzeviczy wyobraźni nie brakowało, więc prawdopodobnie szybko znaleźli wspólny język z hrabią de Paloczaj.

Poza tym przybysze z Peru dysponowali sporymi zasobami finansowymi, jako że do Niedzicy przybyli ponoć orszakiem kilku powozów i furmanek. Pewnego dnia Sebastian wraz z gospodarzami wybrał się na polowanie. Wykorzystując sytuację, na zamek wtargnęli wysłannicy króla Hiszpanii i zasztylowali Uminę. Na szczęście jej syn Antonio został w porę ukryty. Według jednych inkaska księżniczka została pochowana w srebrnej trumnie gdzieś na polach pomiędzy Niedzicą a Sromowcami, a zgodnie z innymi źródłami spoczęła pod kaplicą w rzeczonyj srebrnej trumnie, a pod całun włożono dokument sporządzony pismem węzełkowym *kipu* – testament Tupaca Amaru II, a może wskazówkę, jak dotrzeć do skarbu.

Aby ustrzec wnuka przed hiszpańskimi siepaczami, stary wagabunda w obecności przybyłych z nim inkaskich arystokratów oraz swego bratanka Waclawa Benesza Berzeviczego z Morawskiego Krumlowa sporządził testament-dokument adopcji. Działo się to 21 czerwca 1797 roku, w dniu największego święta Inków – Święta Słońca. Dokument spisywał proboszcz z Frydmana, Sebastian tłumaczył zdania z języka keczua na polski, a ksiądz przekładał je na łacinę. Ten język bowiem obowiązywał w oficjalnych dokumentach i był zrozumiały na całym świecie.

Następny wykonawca woli Inków został zaprzysiężony przed krucyfiksem w zamkowej kaplicy, składając podpis pod dokumentem, którego jeden z paragrafów brzmiał: „Szczególnie obliguję się za zamysłem i życzeniem Prześwietnej Rady Antoniowi Inkasowi wiernie wyjawić powierzoną mi w onym jedynie celu tajemnicę Testamentu Inkasów, a konfirmacyi pod dyktat zapisuję. Pierwszej od Inkasa Tupaka Amaru w Titikaka, dalej za sprawę Jego Pradziada pod Wiga zatopionej i ultimo przez Prześwietną radę Emisaryuszy Inków złożonych tu nieużytych sum. I tem w razie dojście do leciech pełnych rzeczonygo Antonia tak się obliguję to

przedłożyć, by Go częścią tajemnicy, a wielką i słuszną sperandą całość tem łącniej dla testamentu odczytania, a spadku uzyskania do ojczyzny Jego zawieźć”[223].

Kilka miesięcy później Sebastian Benesz de Berzeviczy skończył swój żywot w klasztorze Augustianów w Krakowie, dokąd został przewieziony zraniony podczas pojedynku o dziewczynę. Miał wtedy dziewięćdziesiąt dziewięć lat! Tymczasem Antonio zdążył znaleźć się w Morawskim Krumlowie, gdzie 10 czerwca 1798 roku został zarejestrowany w księdze metrykalnej jako Antonin, syn Wacława Benesza, wówczas ojca już dziewięciorga dzieci, który niemal w tym samym czasie nabył parcelę w centrum miasta, gdzie postawił okazały dom.

Jak wytłumaczyć to nagłe wzbogacenie się klepiącego do tej pory biedę krawca? Wyjaśnić chyba nie trzeba... W dodatku przybrany ojciec porzucił profesję krawca i został kościelnym. Czym tłumaczyć jego decyzję? Zastanawiające jest, że pod metryką Antonina podpisał się sam proboszcz Lux należący do zakonu... Augustianów.

„Przypadek to, że w najważniejszych momentach dziejów Sebastiana i jego bliskich pojawiają się augustianie? – zastanawiał się Aleksander Rowiński. – Jeśli przyjąć, że Sebastian z augustianami wszedł w komitywę w Wiedniu, Rzymie lub Wenecji, wtedy związek zaistniałych wydarzeń rysuje się nader przejrzysto. Augustianie kanałami komunikacyjnymi swoich klasztorów czuwają nad decyzjami Sebastiana. Oni dbają, by skromny mistrz krawiecki Benesz nabył działkę w dobrym punkcie miasta, by postawił tam dom i aby jego nagłe powodzenie miało jakąś podkładkę w oficjalnych papierach”[224].

Zgodnie z przykazaniem testamentu po dojściu do pełnoletności Antonin dowiedział się jednak o swoim inkaskim pochodzeniu. Nic jednak z tego nie wynikło, ponieważ – jak biadał Wacław Benesz w jakimś liście czy też innym zapisku: „Tak się przejął Francją i zniemczył, że o starych dziejach rodu, właściwym nazwisku i tytułach ani słuchać nie chce”[225]. Antonin Benesz był mistrzem krawieckim jak jego nomen omen przyszywany rodzic. 4 maja 1826 roku ożenił się z Polką, Barbarą Rubinowską.

Zmarł 20 marca 1877 roku na cukrzycę, ale jego grób już nie istnieje, ponieważ prochy na skutek likwidacji cmentarza w 1906 roku zostały zebrane ze wszystkimi pozostałymi i złożone w zbiorowej mogile. W ten sposób cała historia idzie powoli w zapomnienie, tym bardziej że Antonin nakazał, przekazując dokumenty i pamiątki rodzinne najstarszemu synowi Ernestowi, nigdy do tej sprawy nie wracać.

Jednak on, inżynier nafciarz, zainteresował się swoim rodowodem. Mówiło się nawet w rodzinie o jego podróży do Ameryki Południowej, by odkryć rodzinne

korzenie. Jego badania przeszłości Beneszów-Berzeviczych napotkały jednak na zdecydowany i skuteczny sprzeciw żony Niemki. Syn Ernesta, Janusz, zawodowy wojskowy, nie zajmował się historią rodu.

Dopiero jego wnuk, Andrzej, urodzony w 1918 roku, rozpoczął genealogiczne śledztwo. To on odkrył, że zmiana nazwiska z Berzeviczych na Beneszów dokonała się pod koniec XVII wieku za sprawą Czeszki, Barbary de Krawar, która – chcąc się otrząsnąć z klątwy nękającej rodzinę – porzuciła męża, przeniosła się ze Spiszu do Niemiec i tam zaczęła używać nazwiska Benesz, a później narzuciła je jako przydomek swoim dzieciom. Znamienne zdarzenie miało miejsce w roku 1934, kiedy to pojawili się w mieszkaniu jego rodziców w Bochni dwaj ludzie podający się za pełnomocników żyjącej w Peru linii rodziny Benesz-Berzeviczych i zaproponowali wykupienie wszystkich archiwaliów dotyczących rodziny.

Ojcu Andrzeja nie uśmiechało się grzebać w starych szpargałach, a młody Benesz – dopiero co wraz z ukończeniem szesnastu lat dopuszczony do rodzinnej tajemnicy – nie wyraził zgody na przekazanie jakichkolwiek papierów. Z przekazów rodzinnych późniejszy student prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim dowiedział się, że tajemniczy „testament Inkasów” znajduje się w archiwum kościoła Świętego Krzyża.

Udał się tam i po trzydziestu minutach znalazł to, czego szukał. Gdzie? Pod okładką starego mszału. Profesor etnografii, Anna Kowalska-Lewicka, która w 1948 roku wróciła z Peru i zajmowała się tą sprawą, nie kryje swoich wątpliwości:

„Byłam później w tym archiwum; był to pokój zawalony po sufit. Na półkach, w szafach, na podłodze, wszędzie leżały stosy papierów, a on w pół godziny trafił na ten jeden dokumencik, który był mu potrzebny! – kręci głową z niedowierzaniem. – Z księdzem umówił się, że zrobi odpis, a oryginał odda. Nie oddał. Natomiast «wydębił» od niego – a może od kurii, nie pamiętam już dokładnie – potwierdzenie z pieczęcią, że odpis jest autentyczny. Z tymi dokumentami pojechał do Niedzicy”[226].

Na temat wiarygodności wspomnianego testamentu – mimo potwierdzenia własnoręcznym podpisem przez ówczesnego proboszcza, księdza doktora Andrzeja Mytkowicza, oraz pieczęcią – toczy się zażarta dyskusja pomiędzy tymi, którzy negują autentyczność parafialnych papierów, a tymi, którzy w nią wierzą bez żadnych zastrzeżeń. Niepodważalnym argumentem dla tych pierwszych jest fakt, że w pomnikowym *Słowniku języka polskiego* Lindego, który zawiera około sześćdziesięciu tysięcy haseł wydobytych z druków z lat 1550–1800, nie znajdziemy słów „emisariusz”, „uciekinier” czy „koncesja”[227].

Nie może być to jednak argument ostateczny, gdyż słowo to występuje

w tłumaczeniu aktu. Z faktu, że ksiądz Mytkowicz go użył, nie wynika, że w oryginale pojawiło się podobne. Mogło być zastosowane słowo *legatus* albo *missus*, lub *nuntius*. Przekładu dokonano przecież pobieżnie i z grubsza, ponieważ daleko mu do pietyzmu w oddaniu nazw i znaczeń. Ksiądz Mytkowicz nie miał pewnie ani czasu, ani powodu do zastanawiania się nad historycznymi niuansami.

Wręcz przeciwnie, proboszczowi-translatorowi przede wszystkim musiało zależeć na tym, aby treść dokumentu została oddana wiernie i zrozumiale dla jemu współczesnych. „Nie potrafił mi powiedzieć, gdzie jest oryginał – przyznawała Anna Kowalska-Lewicka. – Chciałam go zobaczyć, bo paleograf na podstawie analizy próbki papieru, znaków czerpanych, kaligrafii mógłby mi powiedzieć, czy to ta epoka i czy to rzeczywiście oryginał, czy falsyfikat”[228].

Pierwsza wskazówka, na jaką natrafił Andrzej Benesz, mówiła o miejscu przechowywania dokumentów w klasztorze Augustianów, gdzie zmarł Sebastian. Dokumenty rodzinne trafiły do kościoła Świętego Krzyża w Krakowie prawdopodobnie w roku 1828, ponieważ ówczesnym proboszczem był jeden z krewnych. Benesz po znalezieniu cytowanego dokumentu wysłał w czerwcu 1946 roku pismo do Wojewódzkiego Urzędu Konserwatorskiego w Krakowie z prośbą o zgodę na „podniesienie partii paru znanych mi stopni schodów na zamku w Niedzicy”[229].

Pozwolenie uzyskał, po czym rankiem 31 lipca 1946 roku mógł wreszcie pojechać do Niedzicy, gdzie zastał zamek w kompletnej ruinie. Stan taki nie zniechęcił rozgorączkowanego dwudziestoosmioletniego mieszkańca Bochni i kierownika transportu spółdzielczego w tym mieście. Ówczesny społeczny opiekun zamku Franciszek Szydłak wspomina, że Benesz wspinał się po schodach do bramy górnego zamku i stuknął łomem w kamienny próg. „Tutaj” – miał powiedzieć z niezachwianą pewnością.

Próg był tak solidnie umocowany, że wezwani na świadków żołnierze WOP-u musieli nieźle się napocić, zanim wreszcie udało im się ruszyć konstrukcję schodów. Pod spodem był tylko piasek, ale to nie zniechęciło Benesza, który kazał szukać głębiej. „Dokładnie w oznaczonym miejscu – informował 7 sierpnia 1946 roku dziennik «Echo Krakowa» – znaleziono tubę ołowianą, zawierającą pęk rzemieni z szeregiem węzłów. Jest to właśnie indiańskie pismo Inkasów. Na końcach rzemieni znajdowały się ściemniałe blaszki, które okazały się złotem”.

Więcej szczegółów dostarcza oficjalne sprawozdanie, jakie znalazca zobowiązany był złożyć w Wojewódzkim Urzędzie Konserwatorskim. Oto fragment: „Próg leżał na pokładzie z dzikiego kamienia i gruzu. Pierwszy przekop tego podłoża, rozpoczęty

od lewej strony do przeciętnej głębokości 30 cm, nie dał rezultatów. Drugi, pogłębiający, rozpoczęty z przeciwnej strony, odsłonił niezauważony w pierwszej chwili niewielki fragment ciemnego przedmiotu, przypominającego kawałek zmurszałej gałęzi. Dopiero w chwili rozpoczęcia trzeciego pogłębienia zainteresowano się rzekomą gałęzią, która okazała się długą na 18 cm, a na 3,5 cm grubą tubą, jak później stwierdzono ołowianą, na końcach spłaszczoną, pozawijaną i zaklepaną, a później, jak świadczą o tym zakrzepłe krople metalu, jeszcze raz roztopionym metalem oblewaną. Tuba ta była zupełnie szerniała, miejscami rudawo przeświecająca. Po jej otwarciu (nożem uważnie odkrojono jeden z zaklepanych boków) ukazał się pęk zbutwiałych i jakby skwaśniałych rzemieni, powiązanych w różnorodne węzły. Rzemienie te na swych 12 końcówkach zaopatrzone były w szerniałe blaszki. Później analiza wykazała, że jest to 13-karatowe złoto. Ogólna waga tych blaszek wynosi ok. 8 g”[230].

Na podstawie napisów wyrytych na złotych blaszkach doczepionych do niedzickich rzemieni zakładano, że nękani przez Hiszpanów Inkowie ukryli część swych bogactw w trzech miejscach: w jeziorze Titicaca (lub na jednej z jego licznych wysp), zatoce Vigo i Niedzicy. Titicaca ma swoje trwałe miejsce w wierzeniach Inków, gdyż w tym jeziorze bóg Wirakocza stworzył słońce, księżyc i gwiazdy, a potem wyrzeźbił z kamienia figury człowieka i na ich podobieństwo stworzył ludzi, nadając każdemu z plemion jakiś obszar ziemi. Może to właśnie bóg Wirakocza pomógł Brytyjczykom zatopić pod Vigo w 1702 roku największy transport złota zrabowanego Indianom?

Latem 1946 roku w prasie krajowej nie czuło się kanikudy. Pełno było za to doniesień z procesu zbrodniarzy hitlerowskich przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze oraz dramatycznych wieści o lokalnych aferach gospodarczych, szabrownikach i problemach rodzącej się w bólach państwowości ludowej. Toteż czytelnicy „Echa Krakowa”, którzy nabyli swoją gazetę 19 sierpnia, z podnieceniem i niedowierzaniem przeczytali duży tytuł u dołu pierwszej strony: „Sensacyjne odkrycie w Niedzicy. Tajemniczy testament Inkasów odnaleziono w Polsce”. Później niedzickie znalezisko zostało ponoć wręczone przedstawicielom ambasady Peru w celu odczytania węzłków kipu.

„Benesz twierdził, że zaraz potem wrócił do Krakowa. I przekazał kipu wysłannikom z Peru, którzy przylecieli specjalnym samolotem... Czterdziesty szósty rok, wszędzie bolszewicy – pani doktor Anna Kowalska-Lewicka uśmiecha się z politowaniem – a tu ląduje peruwiański samolot, którego nikt nie widział! Benesz twierdził, że w Peru czytają kipu i mieli mu je rozszyfrować”[231].

Pisma węzełkowego nie udało się odczytać do dzisiaj[232]. Rzemieni nie widział nikt, kto mógłby potwierdzić bądź zakwestionować ich autentyczność. Anna Kowalska-Lewicka sugerowała nawet, że podczas urzędowania w zrujnowanym wojną Szczecinie na podłogach zdewastowanych muzeów można było znaleźć walające się różne okazy muzealne z niemieckich kolekcji. Poza tym wszystkie znane kipu były zrobione ze sznurka, nigdy z rzemienia. Nasuwa się jednak nieodparte pytanie, po co Benesz podrabiałby kipu rzemienne, skoro miał dostęp do oryginalnych z bawełny?

Dla wielu ludzi polski potomek Tupaca Amaru był mitomanem i fałszerzem, który zakochał się w córce ważnej osoby i żeby zdobyć przychyłność rodziny wybranki, wykreował się na spadkobiercę Inków słynących z legendarnych bogactw. Wpisał swoje koligacje rodzinne między najstarszą magnaterią węgierską, opromienioną blaskiem łask króla Stefana Batorego, ozdobioną baronowskim tytułem z Kurlandii oraz równie snobistycznymi, arystokratycznymi imponderabiliami[233].

Jego charakterystykę uzupełnia Barbara Bugajska: „Zaraz po wojnie byliśmy razem na zachodzie. W Bolesławcu...? No gdzieś, gdzie był zamek piastowski. Zachwycaliśmy się i żałowałyśmy, że go nam zabiorą, bo to wtedy o tamtych ziemiach różnie się mówiło... A wtedy Andrzej powiedział: «Mnie tam wszystko jedno, w jakim języku poproszę o szklankę wody, kiedy tu znowu przyjadę!». Był raczej kosmopolitą. Wnioskuje nie tylko z tego, ale w ogóle. Ale był to człowiek światły, kochał książki. W 1947 Andrzej wyjechał do Szczecina. Miał wielkie plany. Podobno budował jakieś urządzenie do nurkowania w oceanie”[234].

Przeciwko posądzeniu go o fałszerstwo lub mistyfikację przemawia między innymi fakt, że w jego rodzinie istotnie mówiło się wcześniej o inkaskich bogactwach. Potwierdza to list Romana Szkaradka, archeologa z Nowego Sącza, do Benesza 11 czerwca 1971 roku: „Jeszcze w 1912 r. dr Józef Żurowski (...) opowiedział mi wiadomość o skarbie Inków w Niedzicy, otrzymaną od prof. dr. Demetrykiewicza Włodzimierza. W latach 1921–1924 Ojciec Pana Marszałka opowiadał mi o tym skarbie w Niedzicy kilkanaście razy, pokazując mi trzy dokumenty, jeden oryginalny i dwa uwierzytelnione odpisy, powołując się stale na prof. dr. Franciszka Piekosińskiego, który był przyjacielem Dziadka Ernesta Benesza”[235].

Po jakimś czasie dokumenty i papiery rodzinne skierowały Benesza na inny ślad – miejscinę Tropie nad Dunajcem oraz zamek Tropsztyn, leżący po przeciwnej stronie rzeki, który był niegdyś w posiadaniu jego odległych przodków. Przypuszczalnie do jego rąk trafiły też dodatkowe wskazówki, ponieważ dość dziwne by było, żeby Andrzej Benesz, mieszkający na stałe w odległym o osiemset kilometrów Gdańsku,



kupował działkę z ruinami z przeznaczeniem na miejsce weekendowego wypoczynku. Może chodziło o informację o zamkowych lochach zagruzowanych ludzką ręką, które miały się jakoby ciągnąć pod dnem Dunajca?

Warto w tym miejscu przypomnieć, że Inkowie byli mistrzami w rzemiośle budowniczym i nigdy nie przechowywali kosztowności w miejscu zamieszkania. Zamek Tropsztyn nie tylko ma wewnątrz komory powietrzne, jaskinie i grotty, ale w dodatku leży w odległości pół dnia drogi nurtem Dunajca od Niedzicy. Równie intrygujące jest, że w Tropiu urodził się dziadek Sebastiana – Ferdynand – co można potwierdzić w księdze metrykalnej parafii Tropie pod rokiem 1622.

„Atutem tego miejsca, by je wybrać na złożenie skarbu – przekonuje ksiądz Stanisław Pietrzak, proboszcz tamtejszej parafii – mógł być fakt urodzenia się Berzeviczego w jego pobliżu, bo na drugim brzegu Dunajca, w Tropiu. Czasowe przebywanie jego ojca Marcina w tej okolicy mogło mieć związek nie tylko z faktem zaślubienia Jadwigi Stadnickiej, ale także z przejściowym posiadaniem i zamieszkiwaniem Tropsztyna, opuszczonego przez dotychczasowych właścicieli już od roku 1535”[236].

Naprowadzony na nowy trop, Andrzej Benesz nie zdążył jednak odnaleźć inkaskiego spadku. Wieczorem, w przeddzień szesnastych urodzin swojego jedynaka, jadł kolację w rodzinnym gronie i zapowiadał, że zgodnie z tradycją jutro zdradzi rodzinny sekret. Jednak 26 lutego 1976 roku, podczas zebrania egzekutywy partyjnej, otrzymał tajemniczą karteczkę. Świadkowie potwierdzają, że w pośpiechu opuścił pomieszczenie, wsiadł do samochodu i skierował się na trasę Warszawa–Gdańsk.

Około godziny dwudziestej zginął w wypadku. Oto kolejne potwierdzenie, że naturalna śmierć nie jest udziałem tych, którzy poszukiwali skarbu bądź mieli z nim coś wspólnego. Pierwsi zginęli świadkowie odkopania kipu – żołnierze WOP, potem w odmętach rzeki utonął kustosz niedzickiego zamku, w katastrofie kolejowej zginęło dwoje z węgierskiej rodziny Salomonów – ostatnich właścicieli budowli przed jej przejściem przez państwo polskie. Klątwa czy przypadek?

Magdalena Borkowska, ówczesna sekretarka Benesza, ma jeszcze inne zdanie na temat wypadku, zastanawia się, dlaczego: „Cenzura zabroniła wszelkich publikacji. Wyjątkiem był «Kurier», gazeta SD nie mogła o marszałku nie napisać, załatwiono to wydarzenie niewielką wzmianką. O toczącym się procesie też cicho, jak makiem zasiał. Nic nie było wiadomo. Co mogło być przyczyną – na babski rozum – że zakazuje się pisania o wypadku drogowym?! Jeśli ktoś planował zamach, doskonale znał fakt, że Benesz nigdy nie siądzie z tyłu i że żadna ochrona mu tego nie

wyperswaduje. On się nie dał posadzić na innym miejscu, zawsze przy kierowcy. I jeszcze przypominam sobie ważny szczegół: na godzinę przed podróżą zamieniono mu stałego kierowcę. Pod jakimś pretekstem pojawił się nowy szofer i auto”[237].

Tej zagadki nie uda się chyba nigdy wyjaśnić, podobnie jak tropsztyńskiego śladu, gdyż może on być tylko próbą odciążenia nieupoważnionych osób od prawdziwego miejsca ukrycia skarbu, który w rzeczywistości znajduje się gdzieś na Słowacji. Skąd taki wniosek? Otóż w ręce Aleksandra Rowińskiego trafiła notatka pastora Łomnicy Wielkiej, Georga Buchholtza Starszego. W dokumencie tym, który sporządzono w 1719 roku i przechowywano w archiwum miejskim Lewoczy, czytamy:

„Są tutaj w górach w ostatnich sztolniach miedzianych, między Landeckim a Niedzickim Zamkiem, jaskinie jeszcze większe (...) niedaleko jedna od drugiej. Nie udało się jeszcze dotrzeć do końca jaskini, idąc ze świecą za pół węgierskiego florena (która wypala się całkowicie), wzdłuż jaskini, jak pięknej, dawnej i suchej piwnicy. W innych *Antró* był przed kilku laty pan Berzeviczi, znalazł tam kości niedźwiedzi jaskiniowych, grubsze niż nogi konia (...). Trzecie *Antrum* nazywa się Baranya-djra, ponieważ w tej jaskini w czasie wojny ukrywali owczarze kilka tysięcy owiec i wiele fur siana nazbierali, nie znalazł ich żaden wojownik – bezpiecznie tam przetrwały, bez wątplenia jest tam także woda. Jak powiada pan Berzeviczi, słyszał on szum wody w innym *Antró*, ale tam się nie udał”[238].

*Antrum* oznacza po łacinie „jaskinia”, „grota”, natomiast Baranya-djra to Barania Dziura. Rzeczywiście, koło Czerwonego Klasztoru – małej miejscowości w Słowacji nad Dunajcem, przy ujściu Lipnickiego Potoku – znajduje się duża jaskinia. Co ciekawe, obecny klasztor usytuowany na granicy Pienin i Magury Spiskiej, założył nie kto inny jak magister Kokosz z Brzezowicy, który został między innymi zobowiązany za zabicie Fryderyka z Hrchova, syna hrabiego spiskiego Arnolda, do wzniesienia sześciu klasztorów. I właśnie jednym z nich był Czerwony Klasztor i w owym *antrum* nieopodal niego był prawdopodobnie Berzeviczy.

O innej jaskini mówi się, że znajduje się w Beskidzie Wyspowym, w Paśmie Jaworzyńskim, u szczytu zalesionej góry, której przynajmniej wierzchołek jakby nosił ślady działalności ludzkiej ręki. Ważną informacją jest, że po śmierci Sebastiana Berzeviczego w tej okolicy mieli zamieszkać Inkowie. Miejscowi twierdzą ponadto, że między naturalne rozpadliny wspomnianego wzgórza wkomponowano kamienną zabudowę, zasklepiono ją, przysypano ziemią i zasadzono drzewa, których rozmieszczenie wygląda na regularne.

W dodatku nie dość, że ich wiek można ocenić na dwieście lat, to jeszcze ów lasek był niegdyś własnością zakonników! Dwóch świadków utrzymywało, że mniej więcej

w połowie XIX wieku widzieli, jak od strony pieczary jechało dwanaście wozów, którymi powozili ojczulkowie w habitach. Co do niedzickiej wskazówki, to prace konserwatorskie, budowlane, przebudowy, prowadzone przez dziesiątki lat, już od XVII wieku, nie pozwoliły znaleźć miejsca ukrycia skarbu.

Także ostatnie prace archeologiczne, architektoniczne, wykopy robione w ubiegłym stuleciu na terenie dziedzińca, pod murami zamku, nie przyniosły wyjaśnienia tej niesłychanie frapującej, niezwykłej i z pewnością godnej uwagi historii o ukrytych kosztownościach. Stanisław Kostka Michalczuk, kustosz zamku, słusznie skonstatował: „Nawet jeżeli Inkowie w Niedzicy są legendą – to są już historią tego zamku”. Nie ulega natomiast wątpliwości, że w Niedzicy rzeczywiście znajdziemy skarb – jest nim sam wspaniały zamek wznoszący się nad Dunajcem.

---

219 Fragment dokumentu MSZ przetłumaczony z języka angielskiego – J.M.

220 A. Rowiński, *Pod klątwą kapłanów*, Warszawa 2000, s. 41.

221 Ibidem, s. 68–70.

222 J.J. Szczepański, *Kipu*, Kraków 1978, s. 70–71.

223 J. Molenda, *Poczet odkrywców i zdobywców Ameryki Łacińskiej*, Warszawa 2007, s. 201.

224 A. Rowiński, op. cit., s. 145–146.

225 A. Majewski, *Zamek w Niedzicy*, Warszawa 1987, s. 27.

226 A. Politowicz, *Tajemnica niedzickiego zamku*, „Gazeta Wyborcza w Krakowie”, 1997, 15 października.

227 Z kronikarskiego obowiązku muszę jednak odnotować, że słownik – *notabene* w chwili ukazania się niemający sobie równych nie tylko w nauce słowiańskiej, lecz także światowej – nie uwzględnił rękopisów.

228 A. Politowicz, op. cit.

229 A. Rowiński, op. cit., s. 30.

230 J. Molenda, *Poczet odkrywców...*, s. 206–207.

231 A. Politowicz, op. cit.

232 Na temat prób odczytania kipu patrz mój artykuł *Tajemnica kipu*, „Focus Historia Ekstra”, 2015, nr 3, s. 16–19.

233 A. Rowiński, op. cit., s. 22.

234 A. Politowicz, op. cit.

235 A. Rowiński, op. cit., s. 58.

236 S. Pietrzak, *Skarb Inków w ruinach Tropsztyna?*, „Czas Czchowa”, 1997, nr 56–60.

237 A. Rowiński, *Przekłete łzy słońca*, Warszawa 2006, s. 195.

238 Idem, *Pod klątwą...*, s. 100.

*Czy Napoleon sprzyjał Polakom?*



Wybitny historyk epoki napoleońskiej Edouard Driault mawiał, że Polska „jest bardziej napoleońska niż Francja”. Choć uwaga ta wydaje się przesadzona, trwałość legendy Napoleona nad Wisłą i Niemnem nie podlega dyskusji. Wszak Polacy jako jedyni na świecie śpiewają o Bonapartem w narodowym hymnie... Korsykanina nazywano „bogiem wojny”, co miało być metaforą instynktu terytorialnego drapieżcy.

„Ów instynkt – zastrzega Waldemar Łysiak – to mit spreparowany przez wrogów Napoleona, który – o czym mało kto wie – wypowiedział tylko jedną wojnę, tę rosyjską, zresztą przewencyjną, wszystkie pozostałe wojny, które prowadził, zostały wypowiedziane jemu. Ukrywa się też przed ludźmi słowa Napoleona: «Wojna to barbarzyńskie rzemiosło. Przyszłość należy do pokoju»”[239].

Jako wcielenie Zachodu i jego polityki wobec nas, Napoleon symbolizował polskie nadzieje (najczęściej zawiedzione) i kompleksy. Miło było powtarzać, że kawaleria, że najwierniejsi z wiernych, że Somosierra i jedyny marszałek cudzoziemiec, czyli Józef Poniatowski. Z drugiej strony – zdaniem niektórych – byliśmy tylko mięsem armatnim, zsyłanymi na kolejne San Domingo fantastami zapatrzonymi w zachodniego mesjasza i jego cudzoziemską gwiazdę[240].

„Kult Napoleona wśród Polaków ma dwa podłoża – wyjaśnia Adam Zamojski – jedno praktyczne, drugie psychologiczne. Po klęsce powstania listopadowego emigracja polityczna, zmuszona szukać schronienia i ewentualnego poparcia, wybrała Francję jako jedyne państwo konstytucyjne na kontynencie europejskim, które najlepiej ją przyjmie i może nawet w taki czy inny sposób pozwoli odtworzyć jakąś polską siłę zbrojną lub poprzeć sprawę polską. Aby spodobać się Francuzom i zarazem wyrobić u nich poczucie obowiązku wobec Polski, podkreślano wspaniałe braterstwo broni epoki napoleońskiej, poświęcenie i brawurę Polaków we wspólnej walce i – jak to zwykle bywa – nabrano się na własną propagandę”[241].

Przez cały XIX wiek, a także w wieku XX epoka napoleońska i wspomnienie owych kilku wiosen „nadzieją brzemiennych” były hasłem dla tych, którzy pozytywnie odpowiadali na pytanie: „Bić się czy nie bić?”. Legenda napoleońska w Polsce nie wynikała z postawy Napoleona (Francji) wobec naszego kraju, ale powstała, jak napisał prawnik i historyk Marcei Handelsman, jako „późniejszy refleks w świadomości narodowej krótkiego okresu walki i nadziei, zamknięty

w formule sprowadzającej wszystko do osoby Napoleona”[242].

Powiedział jednak Napoleon rzecz wielkiej wagi, mianowicie, że rząd francuski nigdy nie uznał rozbiorów Polski. Zdanie to, zacytowane przez osobistego sekretarza Napoleona, Louisa Antoine’a Fauveleta de Bourrienne’a w jego pamiętnikach, brzmi: „Stara Francja opluła się i zhańbiła, przypatrując się z podłą bezczynnością zagładzie takiego królestwa jak Polska. Polacy byli zawsze przyjaciółmi Francji i ja biorę na siebie obowiązek ich pomszczenia. Dopóki Polska nie zostanie odbudowana, nie będzie trwałego pokoju w Europie”[243].

To dlatego Napoleon polecił Józefowi Wybickiemu stworzenie proklamacji wzywającej Polaków do powstania i zachęcającej do tworzenia wojska. Nie zawierała ona jednak wzmianki o żadnych konkretnych zobowiązaniach z jego strony, poza enigmatycznym oświadczeniem: „Wiem, że posiadasz wielkie zaufanie u swoich współrodaków, napisz tu więc zaraz proklamację do nich, iż wchodzę do Polski w trzykroć sto tysięcy wojska, i gdy obaczę, że są godni być narodem, będą nim”[244].

W zbiorowej pamięci Polaków epoka napoleońska funkcjonowała przede wszystkim jako zestaw krzepiących serca wspomnień wojennej chwały. To o niej zapewne myślał Stefan Żeromski, pisząc o śnionym przez konspiratorów „złotym śnie o rycerskiej szpadzie”[245] – chwili gdy będą wreszcie mogli otwarcie walczyć w polskich mundurach i pod własnym sztandarem.

„W takiej wizji czasów napoleońskich w historii Polski – pisze Jarosław Czuby – na dalszy plan zeszyły niewątpliwie ważne zmiany zachodzące wówczas w sferach polityki, życia społecznego, gospodarki czy świadomości narodowej i obywatelskiej. Z pewnością nie od razu odmieniły one społeczny pejzaż. Z równą dozą pewności można jednak stwierdzić, że epoka napoleońska otworzyła Polakom drogę do nowoczesności”[246].

Spotykamy się też z odmiennymi poglądami. „Napoleon – wariat i łajdak, okrył Polskę [żałobną] krepą” – zapisał w swym dzienniku ksiązę Adam Jerzy Czartoryski na wieść o śmierci księcia Józefa Poniatowskiego w bitwie pod Lipskiem[247]. Czarna legenda Napoleona, ze względu na dramat narodu potrzebującego jasnych wspomnień i bohaterskich legend, nie zyskała dużej popularności. Typowy „konsument historii” w PRL-u, choć pozbawiony złudzeń po Jałcie, nie chciał wierzyć, gdy słyszał, że Napoleon to wyzyskiwacz polskiego mięsa armatniego oraz prekursor zachodniego imperializmu wobec Rosji.

„W PRL-u kanoniczna teza mówiła – konstatuje Waldemar Łysiak – że dobra to Polacy mogą zaznać wyłącznie od Wschodu, ale i wówczas znaleźli się wśród historyków dysydenci formułujący prawdę, chociażby Jerzy Łojek, który rzekł:

«Napoleon zrobił dla Polski więcej niż jakikolwiek inny mąż stanu Europy i świata w ciągu ostatnich trzech stuleci, po dzień dzisiejszy». Jak bardzo politycznie drażliwy był to problem, świadczy fakt, że kiedy w 1978 roku ukazał się mój «Cesarski poker», serwujący prawdę o konflikcie napoleońsko-rosyjskim i o antypolskości Rosjan – Moskwa, pierwszy i jedyny raz za PRL-u – wystosowała do polskich władz notę dyplomatyczną z kategorycznym protestem. Wybuchła straszliwa awantura. Werblan, dygnitarz KC PZPR, szalał przeciwko mnie w ideologicznym organie partii, «Nowych Drogach», w cenzurze na Mysiej poleciały głowy, dwie moje książki zdjęto z maszyn drukarskich, bo dostałem zakaz druku, media całego globu komentowały tę hecę, było wesoło. A głupio było zawsze wtedy, gdy jakiś proreżimowy gorliwiec deklamował, że «Napoleon oszukiwał Polaków». Cesarz Napoleon zrobił to, czego nie potrafiliśmy zrobić sami mimo licznych powstań – rozgromił i przegnał trzech naszych zaborców, zwracając Sarmatom wolność. Dał ją – jak to się mówi – na talerzu”[248].

Zdaniem Łysiaka Polacy niesłusznie mieli pretensje, że nazwał ten talerz Księstwem Warszawskim, a nie Polską. Dla kolejnych generacji Polaków w XIX i XX wieku epoka napoleońska stała się symbolem patriotycznego poświęcenia, odwagi i wojennej chwały zdobywanej u boku cesarza Francuzów. Nie sposób przecenić wpływu podobnych wyobrażeń na świadomość narodową w ciągu stu lat pozostawania pod obcą władzą.

„Czy jednak znaczenie epoki napoleońskiej w dziejach Polski ograniczało się do krzepienia serc w czasach niewoli i podtrzymywania gotowości do zbrojnego czynu w imię odzyskania niepodległości? – zastanawiał się Jarosław Czuby. – Co jeszcze uzyskano za, przynajmniej, wysoką cenę wyznaczaną przez straty w poległych i rannych oraz imponujący wysiłek finansowy społeczeństwa niezbędny do utrzymania Wielkiej Armii operującej na ziemiach polskich w latach 1806–1807 i w 1812 r. czy stworzenia polskiego wojska i jego rozbudowy?

Nie ma prostej odpowiedzi na owe, nurtujące od dawna polskich historyków i publicystów, pytania. Jeśli jednak chęć odzyskania własnego państwa, żywną przez znaczną część mieszkańców zniszczonej przez rozbiory Rzeczypospolitej – szlachtę i część środowisk mieszczańskich – potraktujemy jako godny uznania cel polityczny, to musimy zauważyć, że sytuacja w tym względzie między rokiem 1806 a 1807 uległa poprawie”[249].

Na przełomie XVIII i XIX wieku dla tych przedstawicieli polskich elit, którzy nie pogodzili się z rozbiorem państwa przez potężnych sąsiadów, wybór Francuzów jako sojuszników w walce z Austrią, Prusami i Rosją był logiczny i naturalny. 20 stycznia



1797 roku Henryk Dąbrowski wezwał w czterojęzycznej odezwie Polaków pod swe sztandary, gdyż „nadzieja powstaje, Francja zwycięża, ona się bije za sprawę narodów”[250].

Tymczasem jeszcze we wrześniu 1796 roku do Napoleona doszedł list od Michała Ogińskiego, jednego z działaczy emigracji po upadku powstania kościuszkowskiego, z apelem w sprawie Polski. Przyszły cesarz Francuzów dał tylko ustną odpowiedź Józefowi Sułkowskiemu, swojemu adiutantowi, którą znamy z przekazu samego Ogińskiego:

„Cóż mam odpowiedzieć, coż mogę obiecać? Napisz do twego ziomka, że kocham Polaków i że ich sobie wysoko cenię; że podział Polski jest aktem niesprawiedliwości, który nie może się utrzymać; że po skończeniu wojny we Włoszech pójdę sam na czele wojsk francuskich, aby zmusić Rosję do przywrócenia niepodległości Polsce, lecz powiedz mu także, że Polacy nie powinni polegać na obcej pomocy, że powinni się sami zbroić, niepokoić Rosję, utrzymać komunikację z wnętrzem kraju. Wszystkie piękne słowa, którymi będą ich łudzić, do niczego nie doprowadzą. (...) Naród zdławiony przez sąsiadów może powstać tylko z bronią”[251].

Jak zauważa Lech Mażewski, w ten sposób, chyba po raz pierwszy, przyszły cesarz Francuzów sformułował swoje stanowisko w sprawie polskiej. W przytoczonej wypowiedzi, poza wezwaniami do antyrosyjskiej aktywności militarnej i liczenia głównie na siebie, zawarta została obietnica podjęcia przez Korsykanina walki z Rosją o niepodległość Polski. W sensie propagandowym dwukrotnie, bo w latach 1806–1807 i w 1812 roku, takie wojny były prowadzone, ale w rzeczywistości sprawa polska nigdy nie była w nich najważniejsza[252].

Jeszcze zanim Bonaparte został władcą Francji, mogliśmy się przekonać, jaki jest jego rzeczywisty stosunek do sprawy polskiej; we Włoszech przy jego boku walczyły Legiony Polskie pod dowództwem generała Dąbrowskiego. W zawartym w październiku 1797 roku pokoju w Campo Formio Francja i Austria podejmowały zobowiązanie, że: „Żadna pomoc ani poparcie, bezpośrednio czy pośrednio, nie będą udzielane tym, którzy chcieliby jakkolwiek wyrządzić krzywdę jednej lub drugiej ze stron umownych”[253].

Postanowienia pokoju z Campo Formio zostały potwierdzone w traktacie francusko-austriackim z Luneville w 1801 roku. Z goryczą, chociaż trafnie, pisał Szymon Askenazy: „Był tedy traktat lunewilski, podobnie jak umowy leobeńska i campoformijska, a nawet, wobec większej konsolidacji pokojowej, był w wyższym jeszcze stopniu, ciężką klęską wysień i widoków wychodźczych polskich, a w szczególności legionowych”[254].

W obronie Napoleona występował Waldemar Łysiak: „Wytworzono wokół niego czarny mit, (...) masowa psychoza zaszczepiona czytelnikom przez niektórych dziejopisów parających się epoką napoleońską i wyrażająca się przekonaniem, że «Napoleon oszukiwał Polaków» (...).

Fakty zaś wyglądają tak (zajrzyjcie do encyklopedii), że Bonaparte przywrócił nam wolność, której nie potrafiliśmy wyrębać sobie sami, mimo krwawych wysiłków, pobił naszych zaborców, w roku 1807 stworzył państwo polskie, które nie musiało się już tych zaborców obawiać; w dwa lata później nieomal podwoił obszar tego państwa. Tym samym Napoleon spełnił – jakże rzadka rzecz w historii – wszystkie swoje obietnice względem nas, streszczone wcześniej w jego zdaniu, które pewni historycy «przeoczyli», tak jak «przeoczyli» powyższe fakty”[255].

W tym miejscu należy spytać, czy mieliśmy prawo oczekiwać, że ktokolwiek w bezinteresowny sposób przyczyni się do odbudowy państwa polskiego? Dlaczego napoleońska Francja miałaby w taki właśnie sposób postępować, ponosząc przy tym koszty wojen z Prusami i Rosją, w tym tysiące zabitych i rannych żołnierzy? Trafnie odpowiadał Władysław Zajewski: „To zaś, że Napoleon przede wszystkim i na pierwszym miejscu stawiał interesy Francji, nie powinno nas dziwić”[256].

W podobnym tonie uczciwie wypowiadał się członek Rządu Narodowego Królestwa Polskiego w czasie powstania listopadowego Stanisław Barzykowski: „Być może, że cesarz Francuzów przypuszczał odbudowanie Polski jako rzecz przypadku, jako skutek świetnych i stanowczych zwycięstw, lecz nie uważał tego za cel swej polityki, za konieczny warunek do przywrócenia równowagi europejskiej i za sprawę dla samejże Francji nieodbicie potrzebną”[257].

I nawet jeśli epopeja legionowa przyniosła rozczarowanie francuskimi intencjami i koniec nadziei na szybkie podjęcie sprawy polskiej, to gdy w 1806 roku Francuzi wkroczyli na ziemie polskie, większość mieszkańców naturalnie uznała ich za wyzwolicieli. Pomimo rozczarowania formą państwa-satelity, które powstało w 1807 roku po Tylży (nie Polska, a „tylko Księstwo”), Polacy właśnie we Francji widzieli nadzieję na przetrwanie jako oddzielny byt i na dalsze rozszerzenie państwowości.

„Mówiąc o podniesieniu przez Napoleona sprawy polskiej – zauważa Andrzej Zahorski – trzeba koniecznie rozpatrzyć ją w kontekście całej jego europejskiej lub może światowej polityki. Czym byli dlań wówczas Polacy? Był to naród do kupienia, wykorzystania, niestanowiący podstawowego atutu w jego grze. Sądzę, że zgodnie z prawdą powiedział później, że nie zamierza być Don Kichotem Polski. Dotychczas miał tylko do czynienia z legionistami polskimi, którymi się posłużył i których się pozbył, gdy zaczęli mu ciążyć w rozgrywkach politycznych. Uważał wówczas, że

polska i francuska racja stanu nie są zbieżne (...).

Był Napoleon przede wszystkim cesarzem Francuzów i polscy historycy czyniący mu różne wyrzuty powinni o tym pamiętać. Zrozumieć problem: Napoleon a Polska, można tylko rozpatrując go w ścisłym powiązaniu z francuską racją stanu, gdyż podejmował go cesarz w latach apogeum swego imperium w kontekście ponadnarodowego Grand Empire, obejmującego dużą część Europy. Tylekroć rozważany problem polski bez kontekstu całościowego spraw europejskich rysowany był wycinkowo i do tego jeszcze emocjonalnie, z wyliczeniem, ile razy Polaków oszukał, ilu padło polskich żołnierzy dla jego ambicji, ile Francuzi w Polsce narabowali! Tymczasem punkt ciężkości przy badaniu tego problemu powinien uwzględniać przede wszystkim to, że sprawa polska znów wkroczyła na widownię dziejową, że państwo nasze przy ogromnych ofiarach Polaków, przy masie zniszczeń, przy wylanym morzu krwi i łez – zaczęło jednak powstawać”[258].

Niewątpliwie w ten sposób sprawa odbudowy państwa polskiego ruszyła z martwego punktu, w którym tkwiła przed rokiem 1806. Napoleon mógł rozważyć uznanie istnienia Królestwa Polskiego, jeśli oczywiście wynikałoby to z jego szerszych kalkulacji politycznych związanych głównie z próbą wyrównania stosunków francusko-rosyjskich. I właśnie dokładnie taki był sens odpowiedzi Napoleona na adres deputacji Konfederacji Generalnej, co dobrze zrozumiał Kajetan Koźmian: „I król saski, i naród polski byli tylko igrzyskiem woli Napoleona”[259].

Trzeba odnotować, że przecież gdy toczyły się w Tylży pertraktacje francusko-rosyjskie, cesarz nie miał całkowicie wolnych rąk. Rosja, chociaż pokonana, wciąż posiadała nieprzebrane rezerwy. Sarkającemu prezesowi Rady Ministrów Księstwa Warszawskiego, Stanisławowi Małachowskiemu, tłumaczył: „Drogi hrabio, grałem w «dwadzieścia jeden». Dobrałem dwadzieścia i musiałem zatrzymać się na tym”[260].

Zdaniem Łysiaka nie był to cynizm, lecz celna metafora, bo każdy, kto zna grę zwaną u nas „oczko”, wie, że dobranie dwudziestu punktów to sytuacja prawie optymalna, a dalsze dobieranie kart grozi „skrewieniem”, czyli klęską. „Jestem wszakże pewien – ironizuje Waldemar Łysiak – że gdyby nawet Bonaparte wygrał w 1812 roku i odbudował wielkie Królestwo Polskie, duża część Polaków jeszcze dzisiaj miałaby doń pretensje, że nie przyłączył Madagaskaru, schedy po Beniowskim!”[261].

W 1806 roku wybuchła wojna Francji z Prusami i niespodziewanie szybko zostały one pokonane. 19 listopada Napoleon przyjął w Berlinie polską deputację. To wtedy obiecał Polakom chyba najwięcej. Żądał powołania czterdziestu tysięcy ludzi pod

broń i gdyby zrealizowano ten postulat, zapowiadał ogłoszenie niepodległości ich ojczyzny. Mówił, że istnienie Polski leży w interesie Francji i całej Europy, i kończył dobitnie: „Wasz los jest w waszych rękach. Wydałem rozkaz, aby Polacy przebywający we Włoszech łączyli się z wami. Dziś lub jutro moje wojska wkroczą do Warszawy”[262].

Restauracja Polski została tu wyraźnie zapowiedziana, dlatego też cesarz poprzestał na sformułowaniu ustnym i zabronił mowy swej drukować. Obietnica nie została dotrzymana i to mimo że polski wysiłek zbrojny znacznie przekroczył oczekiwania cesarza Francuzów. Ponieważ car zrezygnował z pozornie łatwego usadowienia się nad Wisłą, gdyż nie chciał czynić sobie wroga z Prus, a także bał się reakcji swoich poddanych na przyjęcie korony polskiej z rąk Napoleona, to otworzyło drogę do powołania Księstwa Warszawskiego, którego ojcem – obok Napoleona – stał się pośrednio także Aleksander.

Jak zauważa Adam Zamoyski, od początku swojego panowania car miał poważny zamiar przywrócenia państwowości polskiej i chociaż nie udało mu się tego do końca osiągnąć, jemu zawdzięczamy piętnastoletni okres Królestwa Kongresowego, dzięki któremu w dużej mierze przetrwaliśmy jako naród. Dzięki niemu Mickiewicz, Słowacki, Chopin i inni uczyli się w polskich szkołach oraz na polskich uniwersytetach, dzięki niemu dwa pokolenia wychowały się w duchu polskim.

„Ile instytucji polskich powstało w tym okresie – wylicza ten brytyjski historyk polskiego pochodzenia – ile książek zostało wydrukowanych... Wypadałoby uczcić Aleksandra za jego zasługi dla sprawy polskiej. Byłoby to nie tylko uznanie prawdy historycznej, ale także elegancki gest wobec Rosjan. Niestety, wciąż wolimy się trzymać legendy oraz kompleksów i płaszczyć się przed zachodnią Europą”[263].

Książę Michał Ogiński trafnie zwrócił uwagę, że od pokoju w Tylży: „Było rzeczą widoczną, że Napoleonowi zależy daleko bardziej na projekcie zniszczenia handlu angielskiego przez zamknięcie mu wszystkich portów stałego lądu aniżeli na przywróceniu Polski”[264]. Kampania 1809 roku przekonała Napoleona o wartości oręża polskiego. Celnie scharakteryzował intencje cesarza w czasie pertraktacji pokojowych Marcelli Handelsman, pisząc:

„Nie pragnąc zmiany systemu i nie wierząc w trwałość sojuszu z Rosją, Napoleon nie mógł Polaków zniechęcać ani zachęcać i pragnął ich wzmocnić, a unikając wszelkich nieporozumień, wszelkiego cienia zarzutów ze strony Rosji, myślał tylko formalnie ją zadowolić”[265].

Niepokój politycznej i wojskowej elity Księstwa budziło także zauważalne pogorszenie notowań dla sprawy polskiej w polityce europejskiej. Do kręgów

rzządzających docierały nieoficjalne wieści o wysuniętej przez cara Aleksandra I propozycji konwencji rosyjsko-francuskiej, której pierwszy artykuł stwierdzał: „Królestwo Polskie nie będzie nigdy przywrócone”[266].

Cesarz Francuzów dostrzegł, że proponowany zapis stanowi wybieg mogący w dłuższej perspektywie pozbawić go wpływu na umysły Polaków, którzy pozbawieni wiary w dotychczasowego protektora „rzucą się w ramiona Rosji”, i odmówił ratyfikowania konwencji. Niepokój wywołany w Warszawie przez ową sprawę podważył jednak nieco zaufanie do jego intencji – już wcześniej podkopane przez wystąpienie cesarskiego ministra spraw wewnętrznych hrabiego Montaliveta. W grudniu 1809 roku, przemawiając we francuskim parlamencie, oświadczył on: „Najjaśniejszy pan nigdy nie miał na widoku odbudowy Polski”[267].

Jak zauważa biograf cesarza Andrzej Zahorski, Polacy orientowali się w sytuacji i obawiali się, aby znów na ołtarzu pokojowych konieczności nie spłonęły polskie interesy i by nie przehandlowano polskich nadziei. Napoleon, wrażliwy na sukcesy wojskowe, umiał docenić wartość przelanej polskiej krwi, ale jednak sprawa polska pozostawała w rażącej sprzeczności z interesami trzech rozbiorców, z którymi chciał mieć unormowaną sytuację. Pragnął, jeśli się tylko uda, podtrzymać przymierze z Rosją, chociażby fikcyjne.

Napoleon rozmawiał z Polakami na udzielonej im 3 sierpnia audiencji w Schönbrunn i tłumaczył, że obecnie nie jest w stanie odbudować całej Polski, gdyż spotka się to ze zdecydowanym sprzeciwem Aleksandra. Zauważył, że istnienie Polski jest ważnym czynnikiem równowagi europejskiej, ale podjęcie próby jej restauracji w tej chwili oznacza dla niego nową wojnę.

„Nie przeczę – mówił cesarz delegatom polskim w osobach Ignacego Potockiego, Ignacego Miączyńskiego, Tadeusza Matuszewicza i Mikołaja Oppeln-Bronikowskiego – że mam szczególny sentyment dla waszego narodu, macie wiele cech, które przypominają Francuzów, wasze obyczaje, wasze salony przypominają Paryż, lecz cały ten osobisty sentyment nie liczy się zupełnie w polityce”[268].

Nie ma wątpliwości, że Napoleonowi zawdzięczamy powstanie Księstwa Warszawskiego – w dodatku w dziesiątą rocznicę zawarcia traktatu, w którym zaborcy postanawiali, że imię Polski nie wróci już na mapę Europy. Pominąwszy jednak wdzięczność, należy stwierdzić, że Napoleon nie zrobił tego z miłości do nas. Jako francuski władca kierował się – co zrozumiałe – interesem cesarstwa. Dlatego w podbitej, lecz nieprzyjaźnie nastawionej Europie tylko Polacy stanowili przychylny mu zaplecze w środkowej części kontynentu.

Nie mogli to być Prusacy, bo Napoleon pokonał ich władcę, a w przypadku

Polaków gromił zaborców kraju. Te same bitwy, które przerażały Prusaków, w Polakach wzbudzały nadzieję na odbudowę ojczyzny. Malutkie Księstwo nie było jednak zdolne do samodzielnej polityki, zostało w pełni podporządkowane Francji. Od sukcesów wojennych, od łutu szczęścia na polu bitwy zależało dalsze istnienie państewka, a także plany odbudowy przedrozbiorowej Polski.

W przededniu 1809 roku Hugo Kołłątaj w traktacie politycznym: *Uwagi nad teraźniejszym położeniem tej części ziemi polskiej, którą od pokoju tylżyckiego zaczęto zwać Księstwem Warszawskim*, znanym też pod nazwą *Nil desperandum*, wskazywał, że zgłaszanie pod adresem Napoleona pretensji, że od razu nie odbudował Polski, jest niesłuszne:

„Zostawaliśmy – pisał – pod anarchią przez dwa wieki, garnęliśmy się do przemocnego wpływu naszych sąsiadów przeszło od stu lat, trwoniliśmy zdobyte przez ojców dzierżawy częściami i powoli, a teraz mamy za złe zbawicielowi kraju naszego, że nas wszystkich razem z tej niewoli nie oswobodził, którą kupiliśmy przez naszą chciwość, niezgodę, ambicję. Okażmy naprzód na tej małej części ziemi, że jesteśmy godni być wielkim narodem”[269].

Również Waldemar Łysiak zwraca uwagę na stary motyw: „Napoleon oszukiwał Polaków”. „Teza ta – pisze autor między innymi *Cesarskiego pokera* – notabene szczególnie mocno lansowana w XIX wieku przez zaborców, jest sztandarowym mottem wszystkich rodzimych antagonistów Napoleona i ma tylko jedną wadę – przeczą jej realia historyczne, czyli fakty: utworzenie w roku 1807 po pobiciu naszych zaborców Księstwa Warszawskiego i nieomal podwojenie go w roku 1809 (nie mówiąc już o tym, że w roku 1812 jako główny cel nowej wojny Bonaparte podał odbudowę Królestwa Polskiego w dawnych granicach, sprzed rozbiorów)”[270].

Pierwsza zwycięska dla Polaków kampania od czasów Jana III Sobieskiego wywołała falę patriotycznej euforii. U bardziej wnikliwych obserwatorów sytuacji w kraju i europejskiej sceny politycznej po kilku miesiącach ustąpiła ona miejsca obawom. Stan finansowy państwa przedstawiał się gorzej niż źle.

„Jej mimowolną alegorię stanowić mógł łuk triumfalny witający na warszawskim placu Trzech Krzyży powracające do stolicy zwycięskie wojsko – pisze Jarosław Czuby – imponujący rozmiarami, obfitujący w symbolikę patriotyczno-empiryczną, ale z oszczędności skonstruowany z drewna, płótna i gipsu. Za fasadą napoleońskiej propagandy sukcesu kryły się dramatyczne pustki w państwowych kasach spowodowane ogromnymi kosztami rozbudowy twierdz i utrzymania coraz liczniejszej armii”[271].

W tej sytuacji opinia publiczna w Księstwie częściej niż na blaski napoleońskiego

protektoratu zwracała uwagę na towarzyszące mu cienie: katastrofalną sytuację finansów, trudności gospodarcze, niepewną przyszłość polityczną czy rosnące straty polskich pułków walczących u boku Francuzów o utrwalenie napoleońskiej dominacji w Hiszpanii. Świetne czyny wojenne rodaków na Półwyspie Iberyjskim nie przysłaniały wątpliwości dotyczących sensu moralnego polskiego udziału w tej wojnie, co podkreślał poeta Tomasz Kantorbery Tymowski:

*Czemuż tak piękny wawrzyn krew bliźniego plami?*

*Gromiliśmy nieszczęsnych nieszczęśliwi sami.*

*Tak miłości ojczyzny uniesione żądzą*

*Ludy ze zbytku cnoty na jej drodze błądzą*[272].

Sumą tego typu opinii może być wypowiedź autorów *Zarysu dziejów wojskowości polskiej do roku 1864*: „Wygrywając więc (...) kartę polską cesarz nie kierował się sentymentem czy wspomnieniami zasług legionowych, lecz zimną rachubą (...), nie dając Polakom żadnych gwarancji (...). Grę Napoleona przejrzał Kościuszko i na propozycję współpracy wysunął żądanie gwarancji wskrzeszenia Polski w granicach przedrozbiorowych (...). Napoleon (30 XI 1806) zachnął się: «obejdziemy się bez niego!», ale rozumiejąc korzyści, kazał dalej prowadzić rozmowy zerwane – wobec nieustępliwości Kościuszki – 20 lutego 1807 roku. Wtedy Napoleon zdecydował się oprzeć na popularnym twórcy Legionów – generale J.H. Dąbrowskim”[273].

Waldemar Łysiak zauważa, że w tekście tym padły sformułowania: „Karta polska” i „Zimna rachuba”. Ale jeśli Napoleon, Francuz przecież, a nie Polak, wygrywał tę kartę na zimno, to jest oczywiste, że „karta napoleońska” była jedyną, na którą mogli wówczas postawić Polacy, jedyną, jaka się pojawiła od wielu, wielu lat. Dąbrowski, Wybicki, Poniatowski, Potocki i inni z pewnością nie wierzyli w sentymenty ze strony tak wytrawnego polityka jak Bonaparte, jednakże byli pewni, że:

„(...) przy nim prędzej zrealizują swe plany odbudowy Polski aniżeli przy pomocy Rosji czy Prus, o czym myśleli Czartoryski i Radziwiłł. Dąbrowski i Wybicki wiedzieli, że nadeszła owa chwila wypieszczona w legionowych marzeniach: Cesarz stał nad granicą polską i wyrażał chęć wskrzeszenia państwa polskiego. Nie było czasu na debaty, decydować się i działać należało natychmiast. Podpisali tedy odezwę i rzucili ją na ziemię polskie, wiążąc sprawę polską z Francją i osobą Napoleona”[274].

Sarkających na Księstwo Warszawskie rodaków generał Wielhorski słusznie karciał, pisząc do Józefa Wybickiego, autora hymnu: „Powinniśmy dawnego polskiego

trzymać się przysłowia – darowanemu koniowi nie zaglądać w zęby”[275]. Księstwo Warszawskie było bardziej suwerenną Polską niż protektoratem francuskim, w dodatku Bonaparte głową tego państwa nie uczynił któregoś ze swych braci lub marszałków, jak przecież robił wszędzie w Europie, nad Wisłą postąpił inaczej. Uszanował bowiem świętą dla Polaków Konstytucję 3 maja, która zakładała restytucję w Polsce saskiej dynastii Wettinów, czyli oddanie tronu kolejnemu po Augustie II i Augustie III Sasowi.

„Otoczone nieprzyjaciółmi Księstwo w razie klęski Napoleona byłoby pozostawione na pastwę zaborców. Niewykluczone również – zauważa Jakub Witczak – że zmuszony do tego francuski cesarz poświęciłby sprawę polską dla ratowania swojej ojczyzny, ponieważ, jak mówił generał Ludwik Kropiński w rozmowie z Matuszewiczem, «Napoleon nie chciał Polski stworzyć, kiedy mógł, teraz [po kampanii rosyjskiej] by może chciał, kiedy nie może. Austria mu szczerze nie pomaga, Niemcy zrzucą jego jarzmo, a my będziemy opuszczeni na pastwę obcych, może nawet naszą ofiarą dokupi się bezpieczeństwo Francji»[276].

Fryderyk Skarbek pytał: „Lecz można się było spodziewać czego innego?”. I odpowiadał retorycznymi pytaniami: „Czyliż ta wojna, traktatem tylżyckim ukończona, dla narodu polskiego była toczona? Czy nawet byłoby powstało Księstwo Warszawskie, gdyby nie szło o to, aby osłabić Prusy, aby mieć port na północy, drogę militarną aż do granic Rosji i Austrii i bezpieczne miejsce na zakłady armii francuskiej, gdzie w razie wojny z temi dwoma mocarstwami stanowiska wojenne i zapasy żywności można było posiadać; gdyby słowem to Księstwo, przychylnym i bitnym ludem osiadłe, nie było ważnym punktem oporu dla potęgi Napoleona, do uniwersalnej monarchii zmierzającego?”[277].

Często na początek XIX wieku spogląda się z perspektywy sytuacji po powstaniach, co jest błędem, gdyż w latach 1812–1813 nikt jeszcze o żadnym powstaniu nie myślał. Dlatego rosyjska opcja odbudowy Polski pod berłem Romanowów była bardzo obiecująca. W porównaniu z babką Katarzyną II, której Polacy nienawidzili z wiadomych względów, a także nieobliczalnym ojcem Pawłem I, liberalny jeszcze wtedy Aleksander ze swoją otwartością i młodzieńczą energią wzbudzał w naturalny sposób zaufanie i był nadzieją na poprawę sytuacji Polaków[278].

Mimo to opierano się przed nawiązaniem kontaktu z Aleksandrem I, ponieważ zasady lojalności nakazywały trwać przy Napoleonie, który dał nam jednak pewną namiastkę polskiego państwa. Matuszewicz skomentował tę sprawę bardzo dobitnie – powiedział, że nie kocha Napoleona, lecz Polskę. Swoje działania



podporządkowywał sprawie odbudowy Polski, a nie interesom obcego władcy. Jednak wątpliwości pozostały. Uznano, że nie wiadomo dokładnie, „kto nam tę Polskę, taką, jaką była, da, z tym podobno przez miłość tej Polski trzymać wypadnie, nie odpychać tej ręki, która nas ratuje”[279].

Kilka dni po rozpoczęciu wojny z Rosją, nazwanej propagandowo przez cesarza drugą wojną polską, w Warszawie zebrał się sejm nadzwyczajny, który za zgodą Napoleona ogłosił utworzenie Królestwa Polskiego i wrócił do dawnego herbu Rzeczypospolitej – Orła i Pogoni. Entuzjazm był powszechny, po posiedzeniu nadzwyczajnego sejmku księżna Izabela Czartoryska pisała do syna: „Słowo jest wyrzeczone i Polska istnieje, O Boże, Boże, wróciłeś nam Ojczyznę i moje uszy zasłyszały słowa na zawsze w moim sercu wyryte, Polska żyje, Polska jest”[280].

Polacy na wojnę z Rosją w 1812 roku szli, by doprowadzić do odbudowy Królestwa Polskiego. Z punktu widzenia Napoleona był to tylko jeden z możliwych efektów konfliktu z Aleksandrem. Stąd los sprawy polskiej w czasie wojny z Rosją miał dla cesarza całkowicie drugorzędne znaczenie i był jedynie efektem ułożenia na nowo stosunków z Rosją. Według przyszłego marszałka Francji księcia Józefa Poniatowskiego cesarzowi: „Krwi naszej tylko potrzeba, niepodległości nikomu nie zgotuje”[281].

Kongres wiedeński pokazał, że odzyskania dawnego państwa nie gwarantuje ani opcja francuska, ani rosyjska. W efekcie obrad zostaliśmy nawet bez tej odrobiny podmiotowości. Znowu decydowano o nas – bez nas. Trudno jednak o to winić Napoleona, pretensje możemy mieć jedynie do własnych przywódców, bo to oni odpowiadają za los Polski, nikt inny.

Epoka napoleońska należy do tych okresów historycznych, które szczególnie zapisały się w naszej narodowej pamięci, to wówczas została rozbudzona nadzieja na odzyskanie wolności, której zapowiedzią stało się Księstwo Warszawskie. Przez blisko dwieście lat pokolenia Polaków wychowywały się na tradycji szczególnego szacunku nie tylko dla samego cesarza, ale całej epoki napoleońskiej, utożsamianej z okresem walki o dopiero co utracony, niepodległy byt Ojczyzny[282].

Historycy i powieściopisarze zajęli się tematem ku pokrzepieniu ducha i serc, i powstała legenda, na której wychowało się kilka pokoleń. Według Adama Zamoyskiego sam Napoleon także był źródłem pocieszenia: wielki człowiek, niezwyciężony wódz został jednak w końcu zniszczony przez sojusz wrogów, tak jak wspaniała Rzeczpospolita została porozbierana wskutek paskudnego spisku ościennych państw. Napoleon stał się więc symbolem dla cierpiącego narodu, pełnego kompleksów będących wynikiem niepowodzeń i stanu upodlenia, w którym

się znajdował przez niemal cały XIX wiek. Dla niektórych, takich jak Mickiewicz, stał się religią[283].

„Moim zdaniem – twierdzi Waldemar Łysiak – w całej tej glorii winno być szczególnie akcentowane, że Napoleon udowodnił, iż silna władza, porządkująca i stymulująca funkcjonowanie państw i społeczeństw, wcale nie musi być tak wredna, szczwana, skorumpowana i hipokryzyjna, jak to ciągle widzimy u siebie oraz wzdłuż i wszerz globu. Balzac miał rację, gdy rzekł o Napoleonie: «Człowiek, który był najpiękniejszą władzą, jaką znamy»»[284].

Przekonanie o większej niż historycznej roli „małego kaprala” nad Wisłą trwało jednak niezależnie od politycznych niuansów. Antoni Słonimski wyśmiewał w 1931 roku cenzora, który wykreślił z filmu historycznego kwestię o pysze Bonapartego w przekonaniu, że „Napoleon był skromnym cesarzem, a polski interes państwowy nie pozwala na szerzenie takich opinii o cesarzu francuskim”[285]. Według Andrzeja Nieuważnego kryzys postaw „romantycznych” po 1989 roku związany z odzyskaniem suwerenności, apologią „normalności” i wartości pragmatycznych chyba po raz pierwszy zredukował wspomnienie o epoce napoleońskiej do wymiaru historycznej anegdoty.

„I jeśli wciąż «sprzedaje» się ona lepiej od innych – konstatuje ten zmarły rok temu znawca epoki napoleońskiej – to dzięki uniwersalnemu fenomenowi postaci samego Napoleona – «człowieka sukcesu» i Europejczyka. Dla jednych cynicznego dyktatora, dla innych giganta czynu i myśli, a dla wszystkich człowieka o powtarzalnej może dla jakiegoś Hitlera czy Stalina karierze, ale niepowtarzalnej, wciąż fascynującej legendzie. Jest w tej legendzie dynamizm, są intensywne postaci bohaterów, ale nie ma już wzorów”[286].

Sam Napoleon jest jednak dobrym „towarem” i podlega wszystkim zasadom rynku i marketingu. Pomaga istnieć przemysłowi turystycznemu, hotelarzom i restauratorom, bo miejscowość, w której kiedyś zatrzymał się bodaj na nocleg lub, jeszcze lepiej, pod którą stoczył bitwę, ma zapewnioną atrakcyjność. Chyba najślawniejszym reklamowym wykorzystaniem postaci Napoleona są koniaki, szczególnie courvoisier.

Na koniec przytoczę słowa Waldemara Łysiaka, które w świetle wydarzeń w Paryżu 7 stycznia i 13 listopada 2015 roku czy Brukseli 22 marca 2016 roku brzmią jakże proroczo: „Bonaparte był wizjonerem – twierdził autor *Szachisty*. – Gdy nikomu się o tym nie śniło, pisał: (...) «Są tylko dwa kraje – Wschód i Zachód, i dwa ludy – Wschodu i Zachodu». Gejowatemu Zachodowi trzeba życzyć, by cywilizacyjna demobilizacja szerzona przez tolerastów nie posunęła się zbyt daleko. Francuzi już

nie pamiętają, że nazwa ich barów – bistro – wzięła się z roku 1814, kiedy wojska rosyjskie zdobyły napoleoński Paryż, i kozackie oraz kałmuckie żołdactwo poganiało kelnerów w knajpach, rycząc: «Bystro, bystro!» («Szybko, szybko!»). Nowa nazwa może być arabska lub «tęczowa», mesdames et messieurs...» [287].

---

239 W. Łysiak, *Bonapartyzm. Z Waldemarem Łysiakiem – ostatnim polskim bonapartystą – rozmawia Paweł Lisicki*, „Uważam Rze Historia”, 2012, nr 7, s. 10.

240 *Napoleon i Polacy*, red. J. Macyszyn, Warszawa 2005, s. 29–30.

241 A. Zamoyski, *Napoleon wykorzystał Polaków*, „Uważam Rze Historia”, 2012, nr 7, s. 21–22.

242 *Napoleon i Polacy*, s. 28–29.

243 *Memoires de M. de Bourrienne sur Napoleon*, tłum. W. Łysiak, Paryż 1829, t. IX, s. 104.

244 J. Wybicki, *Życie moje*, Warszawa 1929, s. 57.

245 S. Żeromski, *Sen o szpadzie. Pomyłki*, Gdańsk [b.d.w.], s. 5.

246 J. Czuby, *Bonaparte dla nas. Bilans pamięci*, „W Sieci Historii”, 2015, nr 8, s. 25.

247 *Ibidem*, s. 23.

248 W. Łysiak, *Bonapartyzm*, s. 14.

249 J. Czuby, op. cit., s. 23.

250 A. Nieuważny, *My z Napoleonem*, Wrocław 1999, s. 19.

251 L. Mażewski, *Napoleon a sprawa polska*, „Historia Uważam Rze”, 2015, nr 6, s. 10.

252 *Ibidem*, s. 11.

253 *Ibidem*.

254 Sz. Askenazy, *Napoleon a Polska*, t. III, *Bonaparte a Legiony*, Warszawa–Kraków 1919, s. 226.

255 W. Łysiak, *Napoleoniada*, Warszawa 1990, s. 251–252.

256 L. Mażewski, op. cit., s. 12.

257 *Ibidem*.

258 A. Zahorski, *Napoleon*, Warszawa 1982, s. 209–210.

259 L. Mażewski, op. cit., s. 13.

- 260 W. Łysiak, *Bonapartyzm*, s. 14.
- 261 Ibidem.
- 262 A. Zahorski, op. cit., s. 212.
- 263 A. Zamoyski, op. cit., s. 23.
- 264 L. Mażewski, op. cit., s. 12.
- 265 M. Handelsman, *Rezydenci napoleońscy w Warszawie 1807–1813*, Kraków 1915, s. 105.
- 266 J. Czuby, *Księstwo Warszawskie (1807–1815)*, Warszawa 2011, s. 442.
- 267 Idem, *Tajemnica spisku Feliksa Potockiego*, „Newsweek Historia”, 2015, nr 1, s. 77.
- 268 A. Zahorski, op. cit., s. 252.
- 269 Ibidem, s. 250.
- 270 W. Łysiak, *Napoleoniada*, s. 271.
- 271 J. Czuby, *Tajemnica spisku...*, s. 75–76.
- 272 E. Wichrowska, *Kantorbery Tymowski w świetle nowych źródeł*, Warszawa 2002, s. 46–47.
- 273 A.F. Grabski, *Zarys dziejów wojskowości polskiej do roku 1864*, t. 2, 1648–1864, Warszawa 1966, s. 308.
- 274 J. Staszewski, *Wojsko polskie na Pomorzu w roku 1807*, Gdańsk 1958, s. 25.
- 275 W. Łysiak, *Bonapartyzm*, s. 14.
- 276 Cyt. za: J. Witczak, *Między Napoleonem a Aleksandrem*, „Historia Uważam Rze”, 2015, nr 6, s. 25.
- 277 L. Mażewski, op. cit., s. 12.
- 278 J. Witczak, op. cit., s. 25.
- 279 Ibidem.
- 280 A. Nieuważny, *My z Napoleonem*, Wrocław 1999, s. 103.
- 281 L. Mażewski, *Napoleon a sprawa polska*, „Historia Uważam Rze”, 2015, nr 6, s. 13.
- 282 J. Pych, *Legenda napoleońska w kolekcjonerstwie i muzealnictwie polskim*, [w:] *Muzealnictwo Wojskowe*, t. 8, Warszawa 2000, s. 19.
- 283 A. Zamoyski, *Napoleon wykorzystał Polaków*, „Uważam Rze Historia”, 2012, nr 7, s. 22.
- 284 W. Łysiak, *Bonapartyzm. Z Waldemarem Łysiakiem – ostatnim polskim bonapartystą – rozmawia Paweł Lisicki*, op. cit., s. 8.
- 285 A. Nieuważny, op. cit., s. 242.

286 Ibidem, s. 276.

287 W. Łysiak, *Bonapartyzm*, s. 18.

*Czy Piłsudski stał za zniknięciem generała  
Zagórskiego?*



Wydarzenia z maja 1926 roku wytworzyły w Wojsku Polskim arcsykomplikowaną sytuację. Oprócz dotychczasowych, niezatartych jeszcze różnic i niechęci pomiędzy oficerami legionowymi, austriackimi, rosyjskimi i pruskimi, pojawiło się kolejne poważne pęknięcie. Wiązało się z tym, kto opowiedział się za, a kto przeciwko Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Miało to dużo bardziej dalekosiężne konsekwencje, niż może nam się dziś wydawać.

Zamach stanu w 1926 roku spowodował rozłam w środowisku polskiej generalicji. Ogromna większość generałów podczas przewrotu opowiedziała się przeciw Komendantowi. Zwłaszcza ci wywodzący się z byłych armii zaborczych. Po stronie legalnego rządu Wincentego Witosa i prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, chcąc dochować wierności złożonej przysiędze, stanęli: Tadeusz Rozwadowski, Juliusz Malczewski, Włodzimierz Zagórski, Bolesław Jaźwiński, Stanisław Haller, Anatol Kędzierski, Kazimierz Ładoś, Stanisław Szeptycki, a także legioniści: Marian Kukiel i Michał Żymierski[288].

W rozkazie do wojska Marszałek zapowiedział przejście do porządku dziennego nad majowymi postawami kadry, żądając jednak od wojska, jak to wyraził, jeśli nie miłości – to szacunku. O tym, że piękne słowa pozostały tylko słowami, pisał z goryczą między innymi pułkownik Marian Porwit, wypominając „zarówno drastyczne, jak i mało znane przypadki niedotrzymania deklaracji o jednakowym traktowaniu wszystkich aktywnych uczestników «wypadków majowych»”[289].

Skutki opowiedzenia się po którejś ze stron ścierających się podczas zamachu majowego widoczne były na przykładzie karier w Wojsku Polskim. Szczególnie wtedy, kiedy następowały odsunięcie i eliminacja nie tylko z działalności w armii. Posuwano się także do fizycznej eliminacji oponentów Marszałka. Sam Piłsudski był zresztą pamiętliwy. W 1919 roku na wielkim przyjęciu wydanym na jego cześć w Wilnie przez ówczesnego dowódcę frontu litewsko-białoruskiego generała Szeptyckiego uczynił gospodarzowi wyraźny afront. Sławek wyjaśnił zdziwionemu uczestnikowi przyjęcia, że Komendant nie może Szeptyckiemu zapomnieć, że w czasie wojny światowej on, a nie Komendant wkroczył na czele Legionów do Warszawy[290].

Już pierwsze dni po kapitulacji prezydenta i rządu mogły budzić poważne obawy co do zachowania obojętności wobec majowych postaw kadry: „(...) coraz częściej

odbijało mi się o uszy słowo «aresztowania» – pisał na ten temat bezpośredni uczestnik walk, generał Józef Haller. – Mieliśmy już bowiem przedsmak tego, co się będzie działo. Już przy zawieraniu lokalnego zawieszenia broni między Grupą Wilanowską a wojskami tamtej strony 15 maja po południu zaczęto w Wilanowie spisywać oficerów, dzieląc ich na kategorie (...) i przystąpiono do delikatnego internowania członków rządu; osobno p. Witosa, osobno pewnej liczby generałów sztabowych z gen. Rozwadowskim, płk. Paszkiewiczem itd., a resztę oficerów ze sztabów skoncentrowano w ogródku restauracyjnym, nie wiedzieć na co i po co. Ta grupa, do której ja też należałem, siedziałyby jeszcze do dziś dnia w ogródku restauracyjnym, gdyby się nie była po całonocnym czekaniu – jak wszystko, co na ziemi istnieje bez wyraźnego celu – sama rozlazła. Kiedy przybyłem do Warszawy, internowano mnie w hotelu. Zostałem uwolniony po 6 dniach, równocześnie z innymi kolegami wilanowskimi, z wyjątkiem gen. Rozwadowskiego, Malczewskiego, Jaźwińskiego i Zagórskiego, których przewieziono do więzienia, zatrzymując gen. Malczewskiego po drodze przez kilka dni w pewnym składzie desek”[291].

Niebawem część internowanych oficerów zwolniono, natomiast generałów Rozwadowskiego, Zagórskiego, Malczewskiego i Jaźwińskiego oskarżono o przestępstwa kryminalne i odstawiono do Wojskowego Więzienia Śledczego nr I przy ulicy Dzikiej 19 w Warszawie. Stamtąd 26 maja przetransportowano ich do WWS nr III na Antokolu w Wilnie. O tym, co działo się dalej z aresztowanymi generałami, i o jakim składzie desek wspominał oględnie generał Stanisław Haller, opowiada bardzo konkretnie pułkownik Marian Romeyko:

„Co prawda – ironizował – nie wszyscy skorzystają z bezpośredniego rządowego transportu. Jeden z nich, Malczewski, minister spraw wojskowych, odbędzie tę podróż – jak już wspominałem – z «przesiadką» w składzie desek na Solcu, gdzie w ciągu dwóch dni starego, o słabym zdrowiu żołnierza bito (!), po prostu bito do utraty przytomności. «Dołączył» on potem do grupy generalskiej na ul. Dzikiej. Po kilku dniach czterech z nich zostało wywiezionych z Warszawy, co prawda nie «kibitką», nie etapami, lecz pociągiem pośpiesznym do polskiego «Szliselburga»”[292].

Wiosną 1927 roku generała Malczewskiego postawiono przed sądem za „nadużycie władzy podczas wypadków majowych”. Tym nadużyciem były zerwanie naramienników i degradacja kilku oficerów-piłsudczyków, wziętych do niewoli przez wojska rządowe. Za skierowanie broni przeciw legalnej władzy grozi coś więcej niż zerwanie naramienników: sąd wojenny... Wreszcie życie stracili także ci



oficerowie, którzy przed pierwszą wojną światową pracowali w wywiadzie austro-węgierskim i doskonale znali przeszłość Marszałka Józefa Piłsudskiego.

„W tymże mniej więcej czasie – dodawał Romeyko – wypuszczono z więzienia generała Jaźwińskiego, nie usiłując nawet wytoczyć mu «sprawy». Jaźwiński, w pełni sił, bo około pięćdziesiątki, młody żonkoś, człowiek o atletycznej budowie, który najwyżej cenił honor i swe dobre imię, po zwolnieniu nie mógł przeżyć hańby: wkrótce został tknięty paraliżem i rozstał się z tym światem” [293].

Niezależnie od aresztowań kilku wyższych oficerów, którzy w jakiś sposób narazili się Piłsudskiemu, wdrożono przeciwko nim postępowanie dyscyplinarne. Generała Kulińskiego oskarżono na przykład o przywłaszczenie... siedemdziesięciu pięciu złotych – szło o pobranie nienależnej delegacji:

„Nowa «afery generalska» niedługo dała na siebie czekać. Tym razem była to już prawdziwa bomba” – przyznawał Romeyko. – Ujawnione zostało, że dowódca Okręgu Korpusu Kraków, generał dywizji Mieczysław Kuliński, pułkownik z austriackiego Sztabu Generalnego, jeden z współtwórców polskiego Sztabu Generalnego (pierwszy zastępca szefa sztabu) z lat 1918–1919, kawaler Orderu Virtuti Militari, skazany został wyrokiem sądu wojskowego na więzienie, degradację, wydalenie z wojska, pozbawienie Orderu Virtuti i utratę praw emerytalnych... za «malwersację» (?). Udowodniono mu, że wyjeżdżając w prywatnych sprawach do swego majątku, korzystał z rozkazu wyjazdu «w sprawach służbowych» i z tego tytułu pobrał ze skarbu państwa diety w wysokości 75 złotych (siedemdziesiąt pięć złotych!)” [294].

W podobny sposób skompromitowano generała Henryka Minkiewicza. Oddajmy głos pułkownikowi Romeyce: „Jeszcze nie zabiłniła się pamięć o «aferych» generałów z Antokołu, gdy w roku 1928 (?) wybuchła nowa «petarda» generalska, która jednak wywołała niewiele huk. Rozeszła się pogłoska, że pewnej nocy generał Orlicz-Dreszer i pułkownik Wieniawa-Długoszowski otworzyli gabinet służbowy dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza generała Henryka Minkiewicza, wyłamali szuflady jego biurka, zabrali z nich akta, po czym zarówno biurko, jak i gabinet opieczętownali swymi pieczęciami. (...)

Dopiero w 1961 roku skłonny byłem przypuszczać – powtarzam, przypuszczać – że sprawa Minkiewicza nosiła znamiona porachunków osobistych z bardzo dawnych lat. Otóż w pracy *Rok 1914* znanego legionisty i historyka, Michała Sokolnickiego – a więc człowieka dobrze poinformowanego – znalazłem obszerną i udokumentowaną wzmiankę o dawnych zatargach Piłsudskiego z Minkiewiczem, co daje asumpt do stwierdzenia, że rewizja w biurku dowódcy KOP, opieczętownanie

gabinetu, wreszcie usunięcie go ze służby czynnej nie były sprawą przypadku i mogły stanowić jedno z ogniw łańcucha «porachunków osobistych»[295].

Z racji autorytetu, jakim cieszył się w wojsku, i pozycji politycznej, którą uzyskał, celem numer jeden stał się generał Tadeusz Rozwadowski. Pretekstem był rozkaz wydany przezeń w trakcie majowych walk, aby pochwycić przywódców rebelii, „nie oszczędzając ich życia”[296]. Za ujawnienie prawdy o wydarzeniach związanych z bitwą warszawską w listach do Żeligowskiego oraz determinację podczas zamachu generał Rozwadowski zapłacił więzieniem. Aresztowanych generałów osadzono początkowo w więzieniu wojskowym przy ulicy Dzikiej, gdzie przebywali przez kilka dni w bardzo ciężkich warunkach.

„W wielkiej tajemnicy przed sądownictwem okręgu korpusu – pisał dowódca Okręgu Korpusu w Grodnie generał Leon Berbecki – szef żandarmerii polowej (mój podkomendny) pułkownik Jur-Gorzechowski i generał Dąb-Biernacki, dowódca pierwszej dywizji Legionów, wprowadzili bezprawnie taki «regulamin» dla uwięzionych generałów, że graniczył on z torturami moralnymi, a nawet fizycznymi. Generałowie byli głodzeni, odmawiano im wydania książek, pisania listów lub wnoszenia zażaleń do władz wyższych. (...). Celowo utrzymywano w celach niską temperaturę i stosowano szereg innych wyrafinowanych metod, wzorowanych na carskiej ochronie”[297].

Po powrocie do Lwowa generał Rozwadowski przede wszystkim zajął się swoją obroną w procesie, którego się domagał i niecierpliwie oczekiwał. Jego obrony podjął się samorzutnie doktor Dwernicki, sława lwowskiej palestry, obrońca legionistów z Huszt, dzielnie walczący we Lwowie w 1919 roku. Do procesu nigdy jednak nie doszło. Prokuratura zwlekała ze sformułowaniem aktu oskarżenia przez półtora roku, aż do śmierci generała. Od powrotu z więzienia co kilka tygodni zapadał ciężko na zdrowiu.

Choroba objawiała się ostrymi atakami wysokiej temperatury i rozstrojem przewodu pokarmowego. Wyczerpywały one bardzo generała, którego stan coraz bardziej się pogarszał. Najbardziej znani lekarze Lwowa i Warszawy nie umieli postawić diagnozy. Lato i wczesną jesień 1928 roku generał spędził na wypoczynku w Jastrzębiej Górze. Ataki choroby stawały się coraz częstsze.

Redakcja „Gazety Warszawskiej” podawała, że lekarze nie mogli bliżej określić choroby generała, co zapewne kryło sugestię, że został otruty. Podobną opinię miał wyrazić płk dr Bolesław Szarecki, który odbył konsylium z lekarzami badającymi zwłoki generała. O swych spostrzeżeniach pułkownik poinformował generała Sikorskiego, stwierdzając: „Nic pewnego powiedzieć się nie da, bo nie było sekcji

zwłok. Uważam jednak otrucie za więcej jak pewne”[298].

Podobne przypuszczenia snuł także słynny chirurg lwowski, profesor Tadeusz Ostrowski, badający przed śmiercią Rozwadowskiego. Ostatecznej przyczyny śmierci generała nie udało się jednak określić, bo na wspomnianą sekcję zwłok władze wojskowe nie wyraziły zgody. Fakt ten jednak stanowi ważną poszlakę przemawiającą za tym, że zgon generała spowodowała wolno działająca trucizna. Ba, jak podaje kardynał Aleksander Kakowski, sam Rozwadowski, jeszcze za życia, „po cichu mówił, że go otruto”[299]. Z kolei jeden z przyjaciół generała, Stefan Badeni, już po wojnie pisał w londyńskich „Wiadomościach”:

„Po kilkunastu ciężkich miesiącach w Wilnie był to już inny człowiek. Przed majem pomimo sześćdziesiątki czuł się młody. Ruchy jego były żywe, chód sprężysty i zawsze szybki. Zmieniło się to po więzieniu. Przyjaciele jego sądzili, że dawano mu tam trudną do odkrycia, powolnie działającą truciznę. On sam nie był daleki od tego mniemania. Mówił, że dawniej nigdy nie chorował, obecnie draży go tajemnicze niedomaganie, któremu lekarze nie mogą zaradzić”[300].

Jak podaje Mariusz Patelski w biografii generała, znane są co najmniej dwie, zasługujące na uwagę, hipotezy dotyczące sposobu zaaplikowania generałowi śmiertelnej substancji. Wedle informacji generała Machalskiego i Stanisława Rozwadowskiego ściany celi, w której umieszczono Rozwadowskiego na Antokolu, były malowane farbą z arsenikiem. Informacja ta jest prawdopodobna, bo w tym czasie rzeczywiście przeprowadzano remont więzienia i malowano cele.

Przebywająca wówczas w Jastrzębiej Górze Felicja Brochwicz-Żeromska wspomina pewną rozmowę, której była świadkiem. Prowadzili ją: jej drugi wuj, Jan Rozwadowski, i pani Emilia Jędrzejewiczowa z przyjacielem i gościem generała Rozwadowskiego, słynnym chirurgiem, profesorem Tadeuszem Ostrowskim. Na pytanie, co może być przyczyną tych ataków, miał on odpowiedzieć: „Mógł to być podany w potrawie drobno posiekany włosień”[301].

Większość relacji skłania się jednak ku drugiej hipotezie, że generał został otruty 18 maja 1927 roku w czasie podróży koleją z Wilna do Warszawy, gdzie podano mu kanapki z pokrojonym włosiem końskim, co w efekcie spowodowało owrzodzenie jelit. Nie jest też wykluczone, że nieznanemu sprawcy zastosowali obie wymienione metody. Mało wiarygodna jest natomiast informacja generała Rybaka – choć potwierdza ją Andrzej Garlicki – który stwierdzał, że przyczyną śmierci generała była celowo źle przeprowadzona operacja wyrostka robaczkowego w Poznaniu[302].

Najbardziej tajemnicze i wstrząsające były jednak losy generała Włodzimierza Zagórskiego, dowódcy lotnictwa przed majem 1926 roku, ongiś współtwórcy

Legionów, który niejedno wiedział o Piłsudskim i kulisach jego współpracy z Austriakami podczas pierwszej wojny światowej. Legionowa współpraca zmieniła się po 1918 roku w żywiołową nienawiść. Tak oto charakteryzował tego oficera z czasów pierwszej wojny generał Marian Kukiel:

„Przy starym generale Durskim dowodził faktycznie szef sztabu, mjr Włodzimierz Zagórski, oficer młody, ambitny, o niepospolitych zdolnościach i energii, godzący z fanatycznym przywiązaniem do «rozwiązania austro-polskiego» swą lojalność sztabowca z silnym poczuciem narodowym. Traktował funkcje dowódcze «c.k. komendy Legionów» na serio, a to już samo rewoltowało I brygadę”[303].

W 1926 roku Zagórski zamierzał pozostać sobą, akcentując demonstracyjnie pogląd, że szerzenie kultu Komendanta jest niesłuszne czy wręcz sprzeczne z interesami Polski. Dlatego trafił do wileńskiego więzienia. Co było dalej, opisał zawsze dobrze poinformowany Marian Romeyko:

„W sierpniu 1927 roku, po piętnastu miesiącach więzienia, «góra» postanowiła, nie doręczając aktu oskarżenia, opróżnić ostatnią kazamatę Antokolu, zajmowaną przez generała Zagórskiego. Uznano za wskazane przewieźć go do Warszawy «na wolność», z tym że miał pozostawać do dyspozycji sędziego śledczego. Lecz zwalniając Zagórskiego, nakazano, by podróż z Wilna do Warszawy, gdzie odzyska «wolność», odbyła się pod eskortą żandarmów. Wsiadając na Dworcu Wschodnim i udając się «do swego mieszkania» na ulicy Flory, generał miał wyrazić chęć wykąpania się po drodze w łaźni «Pod Messalką» na Krakowskim Przedmieściu. Uprzejmy oficer żandarmerii, eskortujący Zagórskiego w drodze z Wilna, miał na to wyrazić zgodę i czekać w samochodzie przed łaźnią. Czekał jakoby długo (jeśli istotnie czekał) i... nie doczekał się generała”[304].

Według zeznań kapitana Miładowskiego na rogu Trębackiej, za Miodową, generał wysiadł, następnie odszedł na drugą stronę, jak gdyby w stronę łaźni. Miał ponoć oświadczyć: „Nie będę pana dalej trudził, ja się tutaj wykąpię”. Niech czytelnicy sami odpowiedzą na pytanie, czy generał Zagórski, mogąc skorzystać z łaźienki we własnym mieszkaniu czy też z łaźienki w mieszkaniu swej bratanicy pani Ireny Ostoja-Zagórskiej, zamieszkałej przy ulicy Flory 3, musiał korzystać z łaźni publicznej? Dodajmy, że nie potwierdzili tego faktu przygodni świadkowie, którzy znajdowali się wówczas w tym właśnie miejscu[305].

Cofnijmy się nieco w czasie do wydarzeń, jakie miały miejsce w przedziale pociągu, który zajmował generał Zagórski. Zgodnie z relacją Romana Szymkowskiego, konduktora PKP, znajdował się tam również nieznany major. Bez wątpienia był to drugi oficer, który eskortował generała z Wilna do Warszawy. Drzwi

do przedziału, w którym siedzieli, były cały czas zamknięte, zaś te do przedziału kapitana Miładowskiego otwarte. Kiedy konduktor wszedł do przedziału, generał i tajemniczy major przerwali rozmowę, przy czym ten pierwszy bardzo się zmieszał.

Wydaje się, że jako wysłannik piłsudczykowskiej „góry”, major prowadził z Zagórskim rozmowy dotyczące możliwości wydania posiadanych przez niego dokumentów, które obciążały Piłsudskiego i jego współpracowników. Znając jednak nieugięty charakter generała, wątpliwe, by coś wskórał, skoro nie złamało go prawie piętnaście miesięcy więzienia. Taka nieugięta postawa przybliżała spiskowców do wcielenia w życie planu usunięcia Zagórskiego spośród żywych[306].

„Najprawdopodobniej – snuje przypuszczenia biograf generała – cała sprawa miała swój krwawy finał w lokalu «Strzelca» na Dobrej bądź też w Forcie Legionów. To pierwsze miejsce wydaje mi się o wiele bardziej prawdopodobne. Po dojechaniu do celu generał wraz z eskortą wszedł do lokalu «Strzelca». Jakież musiało być jego zdziwienie, kiedy ujrzał wewnątrz kilku oficerów, a wśród nich mjr. Z. Wendę, który przecież nie tak dawno zakomunikował mu, że może czuć się wolny. Oprócz nich w środku znajdowało się kilku nieznanym W. Zagórskiemu cywilów. Wyglądali oni jak typy spod ciemnej gwiazdy”[307].

Wśród nich mógł znajdować się Józef Łokietek, a także chłopcy Łukasza Siemiątkowskiego, popularnego „Taty Tasiemki”. Zdaniem Jerzego Rawicza, który przeprowadził własne śledztwo:

„Jedno nie ulega wątpliwości: porachunki z Zagórskim, Mostowiczem, Nowaczyńskim i innymi załatwiano przy pomocy Łokietka i jego ludzi. Była to jak gdyby częściowa i spóźniona, niekonsekwentna i połowiczna realizacja starego, lecz niezapomnianego planu «odwetu». Charakterystyczne, że ofiarami tego typu napaści padali niemal wyłącznie ludzie z obozu endeckiego lub do niego zbliżeni. Fakt ten chyba również przemawia za postawioną tezą. Możliwe, że niekiedy szlusowali do tych rozpraw i inni, czasem policja, czasem zaufani z wojska, tj. z dwójki. Stąd też pojawiające się przy napaściach od czasu do czasu mundury. Zresztą w mundurze oficerskim «Strzelca» chodził także Łokietek oraz wielu jego ludzi – jednocześnie bojówkarzy najpierw PPS, a potem Frakcji. Przy napadzie w ciemnościach nietrudno było pomylić zbliżony w kolorze i kroju mundur strzelecki z mundurem wojskowym”[308].

Oprawcy odebrali Zagórskiemu kwit do przechowalni, który na pewno znajdował się w jego rękach. Interesowała ich zawartość bagażu pozostawionego na Dworcu Wileńskim. O 21.30 osoba o nieustalonych personaliach odebrała ów depozyt. W tym momencie generał stawał się zbędny. Sąd kapturowy zatwierdził więc wyrok śmierci,

który zapewne został niezwłocznie wykonany w lokalu „Strzelca” lub też po przewiezieniu skatowanego Zagórskiego do Fortu Legionów[309].

W dziwnych i do dziś niezbadanych okolicznościach rozstawały się z życiem osoby, które, jak mniemano, znały los „zaginionego” generała. Szofer, który wiozł generała z Dworca Wileńskiego, Mieczysław Cempel, miał jakoby zostać zwolniony z wojska przed upływem służby, po czym zajął się prowadzeniem knajpy. W marcu 1929 roku w lokaliku Cempela zjawili się kilku ludzi, którzy na cywilów nie wyglądali, choć nie mieli mundurów.

Zajęli jeden ze stolików. Zamówili zakąski a... potem butelkę czystej wyborowej. Wódkę dostali, a więc Cempel musiał ich znać, gdyż nieznanym nie odważyłby się dać alkoholu (nie miał koncesji). W kilka minut później przy stoliku doszło do awantury, która szybko zamieniła się w ogólną bijatykę. Nagle padło kilka strzałów. Goście zbiegli, a w kałuży krwi na podłodze pozostał tylko właściciel feralnej knajpki[310].

Żandarm Stanisław Koryzma, który miał być wtajemniczony w okoliczności zejścia ze świata generała, padł od „zabłąkanej kuli” na terenie Belwederu. Zdaniem Wincentego Witosa najprawdopodobniej zamordowany został również pułkownik Jakubowski, jeden z ostatnich świadków popełnionej zbrodni[311]. Kto za nią stał? Zdaniem Zbigniewa Cieślikowskiego, który badał tę sprawę, głównym organizatorem całego przedsięwzięcia usunięcia generała Zagórskiego był podpułkownik Aleksander Prystor. On odpowiadał także za późniejsze tuszowanie całej sprawy oraz stałe informowanie przebywającego wówczas w Druskiennikach Marszałka o postępach śledztwa[312].

Bezsporne jest to, że przed 4 sierpnia o uchyleniu aresztu i decyzji przywiezienia generała Zagórskiego do Warszawy wiedzieli: Piłsudski, generałowie Konarzewski, Daniec, pułkownicy Prystor, Kaczmarek, Armiński i – być może – Weldycz, chociaż dwaj ostatni mogli dowiedzieć się o tym dopiero 6 sierpnia. Krąg osób, które wiedziały o decyzji zwolnienia z aresztu, był szerszy, a wśród nich Wieniawa-Długoszowski, Wenda i Beck. Kto z nich należał do spisku, a kto był nieświadomym swej roli wykonawcą poleceń przełożonych, trudno powiedzieć, ale w tej grupie na pewno byli spiskowcy[313].

Szczególną rolę odegrał tu Prystor, bo to od niego Daniec otrzymał ostatnie instrukcje dotyczące działań związanych ze „zwolnieniem”. On wreszcie wysłał kapitana Miładowskiego do Wilna z rozkazem przywiezienia „uwolnionego” generała do Warszawy i dostarczenia go do Belwederu. Na jego rozkaz zjawiał się na Dworcu Wileńskim w Warszawie Wenda, aby niejako przejąć Zagórskiego z rąk

Miładowskiego.

Za osobę, która dobiła generała, dość powszechnie uznawano właśnie majora Wendę. Taką informację uzyskał inżynier Adam Nawroczyński od generała Gustawa Orlicz-Dreszera, a także doktor A. Dulowski w 1935 roku od generała Gustawa Paszkiewicza[314]. Zapytany w 1937 roku przez jednego ze swoich kolegów legionowych o sprawę „zaginięcia” generała, Wenda z wyraźnym grymasem na twarzy odpowiedział: „O to nigdy mnie więcej nie pytaj”[315].

Wyraźnie chyba gryzło go sumienie. Znamienne były widoczny lęk i niechęć majora Wendy podczas spotkań z rodziną: „Na moje zapytanie – wspominała bratanica – czy to prawda, że był w ostatnich chwilach gen. Zagórskiego w jego towarzystwie, mjr Wenda, zanim powiedziałam «w jego towarzystwie», zatrzęsł się ze zdenerwowania, tak że z trudnością chwycił oddech, a gdy dodałam: «W ostatniej chwili normalnej» – odetchnął z ulgą”[316].

Generał Stanisław Kopański wspominał zaś, że Stefan Mossor opowiedział mu o tym, jak jego kolega ze studiów w Wyższej Szkole Wojennej podpułkownik Wenda odwiedził go w Paryżu. Miał wówczas potwierdzić w rozmowie fakt zamordowania generała Zagórskiego[317]. W 1939 roku sprawujący funkcję ambasadora Polski w Rzymie Bolesław Wieniawa-Długoszowski, będąc pod wrażeniem samobójczej śmierci Walerego Sławka, w przystępie szczerości powiedział do Mariana Romeyki: „Panie, czy wie pan, że mnie oskarżają, że zabiłem Zagórskiego? Ja? Ja? Przysięgam, ja go nie zabiłem”[318].

Według Jerzego Rawicza Wieniawa nie mógł osobiście uczestniczyć w uprowadzeniu i zamordowaniu Zagórskiego, gdyż – pomijając już inne przeciwstawne okoliczności – opuścił on stolicę przed przybyciem pociągu, którym przyjechał Zagórski. W tym względzie Długoszowski pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami. A zatem słowa, które wykrzyknął Wieniawa w rozmowie z Romeyką, są jakimś wyrazem samoobrony wobec tych, którzy na podstawie poszlak stawiali mu zarzut, że wziął udział w zorganizowaniu uprowadzenia, co w konsekwencji dało początek zbrodni[319].

Jeśli nawet Wenda uczestniczył w zabójstwie generała, to w owym czasie jeszcze nie mógł politycznie kierować takim „przedsięwzięciem”. Dopiero parę lat później jego akcje wzrosły i zaczął spełniać bardzo istotną, choć nieco zakamuflowaną funkcję w rządach sanacyjnej Polski. „A Prystor? – zastanawiał się Jerzy Rawicz i przyznawał – ten już może bardziej, lecz nie tak jak właśnie Beck. Zżerany ogromną ambicją, łaknący coraz większych awansów i sławy – tuż po pierwszej wojnie przyłapany przez Francuzów na szpiegowskiej robocie – zdradzał niejako

potencjalnie predestynacje do takich «przedsięwzięć». Jeżeli jednak przyjmujemy, że przed porachunkiem odbyła się z Zagórskim jakaś decydująca rozmowa, to na pewno nie Beck był w niej partnerem dla generała. Takim rozmówcą mógł być Prystor, a zwłaszcza Sławek. Najbardziej Sławek – ten «mocny człowiek» i – rzecz nie bez znaczenia – jak nikt inny, poza samym Piłsudskim, wprowadzony we wszystkie niuanse antagonizmu między Piłsudskim a Zagórskim, szczególnie z okresu legionowego. Sławek, a nie kto inny, dwa lata później zjawi się u gen. Rybaka, by zniszczyć znajdujący się jeszcze u niego jakiś kompromitujący Marszałka dokument z tamtego okresu...”[320].

O co chodziło? Oddajmy głos generałowi Rybakowi: „Pod koniec 1929 roku postanowiłem nareszcie uregulować swoje stosunki z Piłsudskim i Sławkiem. Ze Sławkiem porozumiewałem się po raz drugi. Piszę «po raz drugi», bowiem w styczniu 1919 roku zaproponowałem Sławkowi likwidację wszystkich łączących nas spraw z okresu krakowskiego. O co mi wówczas chodziło? Chodziło przede wszystkim o to, żeby ustalić, co i jak mówić o niektórych wydarzeniach, o których przecież ludzie na ogół wiedzieli, aby nie było rozbieżności między oświetleniem spraw przeze mnie, przez Sławka czy przez innych. Wreszcie miałem także niektóre listy Sławka i Piłsudskiego, które nie były najlepszym dla nich świadectwem, jeśli nie kompromitacją.

Wówczas w 1919 roku nie otrzymałem odpowiedzi na swoją propozycję. Nie ponawiałem jej przez 10 lat, uważając, że zrobiłem to, co do mnie należy. W 1929 roku zmieniłem jednak zdanie i napisałem list do Sławka, który był wówczas premierem, prosząc go, aby pofatygował się któregoś dnia o oznaczonej godzinie do mego mieszkania przy alei Róż. Powtórzyła się właściwie, nawet wbrew mej woli, sytuacja sprzed 20 lat. Jak wówczas w Krakowie, tak i teraz zjawił się u mnie Sławek, jak zwykle ugrzeczniony i unizony. W czasie rozmowy mówiłem mu o konieczności ustalenia niektórych spraw, co – mimo specjalnego nacisku, jaki położyłem na to zagadnienie – Sławek zbył dyplomatycznym milczeniem. Listy jego i Piłsudskiego zostały przez nas spalone i to właściwie był jedyny konkretny rezultat tej wizyty”[321].

Prawdopodobnie chodziło o dokumenty takie jak raport podpułkownika Franza Kanika, szefa sztabu 10 Korpusu z Przemyśla, z 10 października 1906 roku, dla szefa Sztabu Generalnego w Wiedniu generała Friedricha von Becka, w którym można przeczytać:

„(...) nawiązałem 29 września br. kontakt z dwoma panami, którzy przedstawili się jako członkowie Wydziału Polskiej Partii Socjalistycznej (...) i zaofiarowali nam



usługi wywiadowcze wszelkiego rodzaju przeciwko Rosji, w zamian za pewne wzajemne usługi z naszej strony. (...) Nazwiska wspomnianych na wstępie panów brzmią: dr Witold Jodko, podobno bogaty, z Królestwa Polskiego, zamieszkały stale w Londynie; Józef Piłsudski z Litwy, który podobno kieruje organizacją bojową”[322].

Jaki był los dokumentów obciążających Piłsudskiego i jego współpracowników, które miały znajdować się w rękach Włodzimierza Zagórskiego, a których posiadanie przyczynić się miało do jego śmierci? Wiele wskazuje na to, że były one przechowywane razem z innymi kompromitującymi papierami związanymi ze sprawą generała w kasie ogniotrwałej muzeum belwederskiego[323].

W Archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku znajduje sięteczka „Geheim” kapitana Rybaka zawierająca materiały dokumentujące współpracę Marszałka z wywiadem austriackim. Zagórski mógł ją otrzymać od Rybaka w sierpniu 1914 roku[324]. W teczce jednak brakuje owych słynnych pokwitowań na pobieranie pieniędzy z kasy Biura Ewidencyjnego. Co się z nimi stało?

Trudno powiedzieć, bowiem albo z generała nie udało się wydobyć miejsca ich przechowywania, albo też po ich otrzymaniu piłsudczycy zdecydowali się je zniszczyć. Zdaniem Mariana Romeyki: „Zaginięcie Zagórskiego miało jeszcze jeden aspekt. Była to niedwuznaczna zapowiedź, a raczej ostrzeżenie, że przystępuje się do załatwienia dawnych «porachunków» i że każda «rewelacja» – lub próba wystąpienia przeciwko przedstawicielom reżimu – będzie zdławiona, a jej autor zlikwidowany à la façon de Zagórski”[325].

Mściwość to cecha Piłsudskiego, los generałów – nie tylko Zagórskiego i Rozwadowskiego – jest jej klinicznym przykładem, ale nie jedynym, można podać wiele innych, choć nie tak krwawych. Marnował najlepszych – fizycznie i intelektualnie – jako rzeczywistych lub potencjalnych rywali. Preferował miernoty – kolejny wymóg władcy i władzy opartej na terrorze. W myśl porzekadła: „Najwyższą zawsze notę wyda miernota miernocie za miernotę”[326].

Był rozchwiany emocjonalnie. Łatwo przechodził od furiackiego gniewu do apatii, od kilkakrotnych zamiarów samobójczych po neurotyczną energię. Furmańskie zachowanie, rynsztokowe słownictwo, kaprańska, koszarowa mentalność niepanująca nad podstawowymi emocjami: „A jak stracę panowanie, jestem zupełnie wytracony z równowagi, to każę powiesić albo rozstrzelać stu lub dwustu tych łajdaków, złodziei, drani”. W innym miejscu: „Zastrzelę jak psów, gdy sądy nie osądzą!”[327].

Jak słusznie zauważył Franciszek Bernaś: „(...) porywacze generała, zarazem jego przypuszczalni zabójcy, musieli mieć coś wspólnego z władzą, jeżeli okazali się

nieuchwytni, a władzy wyraźnie zależało, aby nieuchwytni pozostali”[328]. Historyk zbliżony do obozu piłsudczykowski Władysław Pobóg-Malinowski zapisał:

„Jak w sprawie Zagórskiego, tak i w tych brutalnych atakach sprawcy zacierali skrętnie wszystkie ślady po sobie; podejrzenia szły w kierunku pewnej mafii, rekrutującej się z młodszych elementów legionowych, politycznie przeważnie tępaków; mafia ta tworzyć się zaczęła już na rok–dwa przed majem 1926; w uwielbieniu i oddaniu dla Piłsudskiego – oskarżała ona starszyzną legionową o to, że «osłabła», «skapcianała», «obrosła w piórka» i że nie ma już ani energii, ani chęci «walczyć o Komendanta». Nie rozumiało to niemądre grono, jak wielką krzywdę robi swoimi metodami Piłsudskiemu właśnie”[329].

Nie zmienia to jednak faktu, że inspiracja szła z najwyższych szczytów władzy. Nie „młode wilki” więc, a raczej „stare wilczury” inicjowały nieczystą walkę z przeciwnikami politycznymi. Trzeba wszak pamiętać, że zarówno Piłsudski, jak i jego najbliżsi współpracownicy byli dawniej członkami Organizacji Bojowej PPS, która prowadziła walkę z rzeczywistym, jak i czasem domniemanym wrogiem metodami terrorystycznymi, nie stroniąc nawet od skrytobójstwa, co obnażał sam Henryk Sienkiewicz w powieści *Wiry*, z tego właśnie powodu zepchniętej przez historyków literatury na margines jego twórczości:

„Bo stajemy się narodem bandytów, a bandytyzm nie może być instytucją stałą – przekonywał autor *Potopu*. – Ale do bojówek zapisał się tylko żywioł najciemniejszy i najgorszy. Ci już się przeradzają w bandytów – i nic dziwnego. Odebrano im przecie sumienia, a dano rewolwery”[330].

Warta przypomnienia jest sprawa zabójstwa Edmunda Tarantowicza. Należał on do czołówki bojowców w Królestwie Polskim. W czasie jednej z akcji został jednak schwytany przez Rosjan. Pod wpływem tortur zgodził się na współpracę z ochroną i zdradził dawnych towarzyszy partyjnych. Później wyraził skruchę przed obliczem partii i chęć powrotu na jej łono. Sąd partyjny, będący również niejako doraźnym sądem kapturowym, skazał go na śmierć. Wyrok został wykonany w niewielkim pensjonacie w Rzymie 14 lutego 1909 roku. Niczego niepodejrzewający Tarantowicz został otruty i zasztyletowany przez dwóch towarzyszących mu bojowców Kazimierza Pużaka i Henryka Minkiewicza. Po odebraniu ofierze dokumentów zwłoki włożono do kufra[331].

Były więc już odpowiednie przykłady, wystarczyło jedynie cofnąć się pamięcią do dawnych czasów i stare metody zastosować do własnych potrzeb. Najważniejszym decydem w sprawie Zagórskiego był Józef Piłsudski, bowiem bez jego zgody nie doszłoby do zwolnienia generała z więzienia na Antokolu. Trudno wyobrazić sobie

także, aby jakiegokolwiek kroki skierowane przeciw niemu były podejmowane za plecami Marszałka. Był on w tych wszystkich działaniach siłą sprawczą. Wiedział, co się stało z generałem i kto był sprawcą zbrodni – postanowił tych ludzi ochronić, a w przyszłości za oddaną przysługę nagroził ich powierzeniem wysokich stanowisk państwowych[332].

Mord dokonany na generale Zagórskim był równocześnie epilogiem jego konfliktu z Józefem Piłsudskim. Ich wzajemny antagonizm musiał prędzej czy później doprowadzić do tragedii, jak słusznie zapisał bowiem W. Maryjański: „Nie dziwić się należy, że gdy się tacy dwaj mściwi ludzie jak Piłsudski i Zagórski spotkali na drodze życia, a nienawidzili się, to to musiało się skończyć śmiercią jednego z nich”[333].

Aleksandra Piłsudska, próbując bezskutecznie zdjąć z męża odium odpowiedzialności za los generała Zagórskiego, zapisała po latach w swych *Wspomnieniach*: „Nie mogę także pominąć milczeniem sprawy generała Zagórskiego. Sprawa ta w plotce obiegającej wtedy Warszawę była wiązana z imieniem mego męża, który miał go zabić w Belwederze. Plotka była potworna, a podsycana jest ciągle. Zagórski znikł przy przewożeniu go z więzienia, gdy miał być sądzony za nadużycia. Skompromitował on swoich współników i oni mogli być sprawcami jego ucieczki” – kończyła swoją równie kompromitującą wypowiedź żona Piłsudskiego[334].

Sprawa Zagórskiego była – wbrew pozorom – nie tylko zemstą i zamknięciem ust niebezpiecznemu przeciwnikowi, lecz także ostrzeżeniem dla innych, aby nie odważyli się wejść na niebezpieczną drogę sprzeciwu. Potwierdza to casus generała Malczewskiego, który jako jedyny ocalał z tego pogromu generałów. Pobity po aresztowaniu, z maltretowany na Antokolu, złamany psychicznie i moralnie, odszedł z czynnej służby. Na tematy sprzed maja 1926 roku, jak i samego maja rzadko rozmawiał. Widać było, że stara się dotrzymać zawartej z kimś umowy milczenia. Być może właśnie to pozwoliło mu dożyć do 1943 roku[335].

„Iszkowski wiedział również dużo – utrzymywał generał Rybak. – To on organizował Związek Walki Czynnej, to on nawiązywał pierwsze kontakty z «Konfidentem S». Jak już wspomniałem, Piłsudski zaraz po wojnie zaprosił Iszkowskiego do Warszawy (mimo że nie był on zbyt zdolnym ani wybitnym oficerem). Iszkowski przyjechał, pogadał z Piłsudskim, tu posłuchał, tam posłuchał i poszedł po rozum do głowy: «Dla mnie w Polsce Piłsudskiego miejsca nie ma. Za dużo wiem!» – Odmówił kategorycznie i po prostu zwał do Francji”[336].

Zbyt wiele tych zbiegów okoliczności, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że po maju

1926 roku w niejasnych okolicznościach zmarli także wysocy oficerowie uznawani przez Piłsudskiego za wrogów. 23 października 1927 roku zmarł generał dywizji Jan Thullie. Śmierć przyszła nagle i niespodziewanie. Generał zatrął się rybą w drodze na manewry. Mimo troskliwej opieki jego serce nie wytrzymało[337]. Inny generał, Jan Hempel, poniósł śmierć w równie zastanawiających okolicznościach:

„Musiał wiedzieć bardzo dużo – twierdził generał Rybak – szczególnie o Sosnkowskim i Sławku. Po wojnie został dowódcą dywizji w Przemyślu, a po 1926 roku «przypadkowo» zabito go w czasie polowania... Dziwny przypadek! Nazwisko Franka czytelnicy pamiętają? W 1913 roku został przydzielony w randze porucznika do pracy w H.K. Stelle w Krakowie. (...) W 1931 lub 1932 roku bardzo tajemniczo zmarł nagle w czasie... operacji, na stole operacyjnym w Poznaniu... (...).

Kiedy Frank został przydzielony do H.K. Stelle w Krakowie, usunięto Angermana, a na jego miejsce przyszedł Morawski. (...) Ten wiedział i to bardzo dużo. Mogę stwierdzić, że wiedział niewiele mniej ode mnie, tym bardziej że gdy odszedłem, miał do swojej dyspozycji archiwum, gdzie leżały akta Piłsudskiego, Sławka i Prystora. Po awanturze z Roją wystąpił z wojska, lecz w 1920 roku zmobilizowano go i gdzieś na podwórzu jakiejś kwatery został zastrzelony. Przypadkowo?”[338].

Na podstawie przedstawionych faktów można wnioskować, że uwięzienie po maju 1926 roku dowódców wojsk rządowych nie miało na celu walki z korupcją czy nieprawidłowościami, ale przede wszystkim izolację przeciwników Marszałka Piłsudskiego. Jak wspomina Jadwiga Sosnkowska: „Mąż podejrzewał Becka o najgorsze, łącznie z zamachem na swoje życie. (...) Po sprawie generała Zagórskiego był bardzo ostrożny. Pamiętam, w lutym 1939 r. przyjechał do Polski na polowanie Goering. Przyjechał, bo obiecał jakiejś pięknej damie rysia, chciał mieć ustrzelonego przez siebie. Mąż, jak wiadomo, był szefem Polskiego Związku Myśliwskiego i z tej racji powinien Goeringowi w Białowieży towarzyszyć, ale został przestrzeżony, że na polowaniach zdarzają się rozmaite wypadki. Chciał jednak jechać, ale ja zdecydowanie w to wkroczyłam”[339].

Taki sposób traktowania generałów stanowił wyraźne ostrzeżenie wobec wszelkich potencjalnych prób podważania decydującej pozycji Marszałka w wojsku. Zdaniem niektórych historyków sprawa uwięzionych generałów była także przedmiotem szantażu wobec buntujących się polityków z Wielkopolski. Ich los uzależniano od likwidacji tendencji separatystycznych tej części ziem polskich[340].

Lista proskrypcyjna oponentów do moralnego i fizycznego wykończenia była stosunkowo długa. Znaleźli się na niej zarówno wojskowi, jak i politycy. Sanacji nie udało się, przynajmniej w latach 1926–1939, rozprawić z generałem Władysławem

Sikorskim. Do Brześcia trafili jednak Wincenty Witos i Wojciech Korfanty. Przyczyny śmierci tego ostatniego też nie zostały do końca wyjaśnione[341].

Łamiąc istniejący system prawny, ekipa, która po maju 1926 roku objęła władzę w Polsce, zapewniła bezkarność wykonawcom morderstwa, jakiego dokonano na osobie generała Zagórskiego. Tak wyglądała owa głośno rozpropagowana „sanacja” w rozumieniu piłsudczyków. Sprawa ta stała się jednak dla opozycji wygodnym narzędziem ataku na obóz rządowy. Wzbudziła bowiem ogólne oburzenie opinii społecznej.

Jak słusznie zauważył Stanisław „Cat” Mackiewicz: „Okrzyk «Zagórski» stał się argumentem politycznym o wiele silniejszym od innych. Cóż zrobić, nasz naród nie da się wychowywać przez czerezwyczajki; Iwan Groźny i Stalin nie mieliby u nas powodzenia. Napoleonowi Francja lekko przebaczyła rozstrzelanie księcia d’Enghien, u nas Piłsudskiemu pamiętano Zagórskiego zawsze”[342].

Faktem pozostaje, że generał Zagórski w tajemniczych okolicznościach zaginął 6 sierpnia 1927 roku wieczorem i nikt go już od tej chwili żywego nie widział. Wszystkie opowieści na temat rzekomej dezercji, ucieczki poza granice kraju itp. można bez wątpienia włożyć między bajki. Pozostaje więc, jako jedyna realna, wersja uprowadzenia, a następnie skrytobójczego zamordowania generała. Ciała nigdy nie odnaleziono.

„Kogo należałoby obarczyć odpowiedzialnością za zbrodnię na Zagórskim?” – pytał Marian Romeyko i odpowiadał: „Nie będę się gubił w domysłach. Przed rzuceniem konkretnego oskarżenia, i to sformułowanego drogą dedukcji, wydawałoby się wskazane raz jeszcze podkreślić poważne i głębokie motywy, z racji których rządzący reżim musiał uważać Zagórskiego za «wroga nr 1»: wiedział stanowczo za dużo. Musiał więc zniknąć”[343].

Zapewne tak też pojmował to generał Rybak, zadając w swych wspomnieniach, wydanych w 1954 roku w Warszawie, sam sobie pytanie: „Dlaczego milczałem? Odpowiedź jest następująca: Milczałem, aby żyć”[344]. Mimo woli przypomina się fraszka Stanisława Jerzego Leca:

*Świat wiecznie idzie naprzód po słocie, spiekocie,  
Zostają suche daty po mokrej robocie...*

- 289 M. Porwit, *Spojrzenia poprzez życie*, Warszawa 1986, s. 405.
- 290 M. Pruszyński, *Tajemnica Piłsudskiego*, Warszawa 1996, s. 40.
- 291 Cyt. za: F. Bernaś, *Zaginieni bez wieści*, Lublin 1989, s. 87.
- 292 M. Romeyko, *Przed i po maju*, Warszawa 1967, t. II, s. 9.
- 293 Ibidem, s. 11.
- 294 Ibidem, s. 314–315.
- 295 Ibidem, s. 311–312.
- 296 *Zamach stanu Józefa Piłsudskiego 1926 roku*, red. M. Sioma, Lublin 2007, s. 365.
- 297 L. Berbecki, *Pamiętniki*, Katowice 1959, s. 195.
- 298 M. Patelski, *General broni Tadeusz Jordan Rozwadowski. Żołnierz i dyplomata*, Warszawa 2002, s. 335.
- 299 A. Kakowski, *Z niewoli do niepodległości. Pamiętniki*, Kraków 2000, s. 839.
- 300 Cyt. za: M. Ruszczyk, *Więźniowie Marszałka*, Warszawa 1969, s. 53.
- 301 *Tadeusz Jordan Rozwadowski. General broni*, red. S. Rozwadowski, Katowice 1993, s. 72.
- 302 M. Patelski, op. cit., s. 335.
- 303 M. Kukiel, *Dzieje Polski porozbiorowej*, Londyn 1961, s. 524.
- 304 M. Romeyko, op. cit., s. 14.
- 305 F. Bernaś, op. cit., s. 108–109.
- 306 P. Kowalski, *General brygady Włodzimierz Ostoja-Zagórski, 1882–1927*, Toruń 2007, s. 198.
- 307 Ibidem, s. 203.
- 308 J. Rawicz, *Doktor Łokietek i Tata Tasiemka*, Warszawa 1968, s. 248.
- 309 P. Kowalski, op. cit., s. 203.
- 310 F. Bernaś, op. cit., s. 166–167.
- 311 W. Witos, *Moje wspomnienia*, t. III, Paryż 1965, s. 430.
- 312 J. Piłsudski, *Testament – korespondencja*, oprac. Z. Cieślowski, Warszawa 1991, s. 15.
- 313 F. Bernaś, op. cit., s. 152.
- 314 J. Rawicz, *General Zagórski zaginął... z tajemnic lat międzywojennych*, Warszawa 1963, s. 138.
- 315 F. Bernaś, op. cit., s. 121.

316 Ibidem.

317 S. Kopański, *Moja służba w wojsku polskim 1917–1939*, Londyn 1965, s. 165.

318 M. Romeyko, *Wspomnienia o Wieniawie i o rzymskich czasach*, Warszawa 1990, s. 87.

319 J. Rawicz, *Generał Zagórski zaginął...*, s. 128.

320 Ibidem, s. 131.

321 J. Rybak, *Pamiętniki*, Warszawa 1954, s. 190–192.

322 F. Bernaś, op. cit., s. 163.

323 W. Borowy, *Z zapisek Borowego (1944–1945)*, [w:] *Walka o dobra kultury*, red. S. Lorentz, t. II, Warszawa 1970, s. 198.

324 R. Świętek, *Lodowa ściana. Sekrety polityki Józefa Piłsudskiego w latach 1904–1918*, Kraków 1998, s. 53.

325 M. Romeyko, *Wspomnienia o Wieniawie...*, s. 298.

326 H. Pająk, *Ponura prawda o Piłsudskim*, Lublin 2005, s. 398.

327 W. Sławoj-Składkowski, *Strzepy meldunków*, Warszawa 1988, s. 58 i 105.

328 F. Bernaś, op. cit., s. 148.

329 W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864–1945*, t. II, Londyn 1956, s. 501.

330 H. Sienkiewicz, *Wiry*, Warszawa 1993, s. 95–98.

331 R. Świętek, op. cit., s. 462.

332 P. Kowalski, op. cit., s. 210.

333 W. Maryański, *Luźne karty*, t. 1, k. 275, Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, sygn. 16265/II.

334 A. Piłsudska, *Wspomnienia*, Warszawa 1989, s. 269.

335 F. Bernaś, op. cit., s. 168–169.

336 J. Rybak, op. cit., s. 211.

337 S. Nicieja, *Cmentarz obrońców Lwowa*, Wrocław 1990, s. 281.

338 J. Rybak, op. cit., s. 210–211.

339 J. Sosnkowska, W.T. Kowalski, *W kręgu mitów i rzeczywistości*, Warszawa 1988, s. 58.

340 *Zamach stanu...*, s. 324.

341 P. Kowalski, *Nieznani sprawcy*, „Focus Historia”, 2011, nr 11, s. 33.

342 S. Mackiewicz (Cat), *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.*, Warszawa 1989, s. 200.

343 M. Romeyko, *Przed i po maju*, t. II, s. 18.

344 J. Rybak, op. cit., s. 208.



*Czy Rydz-Śmigły był drugim Pétainem?*



*Tajne materiały osobiste do życiorysu marszałka Śmigłego-Rydza zebrane w Brzeżanach 18–21–1937 r. i spisane przez kpt. Librewskiego.* Archiwalna teczka opatrzona takim podpisem, związana konopnymi sznurkami, zalakowana przedwojennymi wojskowymi pieczęciami, spoczywała sobie spokojnie do połowy lat 80., nie wzbudzając większego zainteresowania. Mimo że zawierała informacje, na temat których już przed wojną krążyło w Polsce wiele, często nawet złośliwych plotek.

Niestety wrzesień 1939 roku mocno nadszarpnął sławę i reputację następcy Komendanta. Decyzja Naczelnego Wodza o opuszczeniu kraju, gdy w wielu miejscach trwały jeszcze zacięte walki z Niemcami, a Warszawa przygotowywała się do generalnej obrony, wywołała, wywołuje i niewątpliwie będzie wywoływać wiele polemik, komentarzy i zróżnicowanych ocen historycznych.

Rydz-Śmigły dokonał czynu nienotowanego w dziejach wojskowości polskiej – porzucił dowodzone przez siebie wojsko. Dla polskiego Naczelnego Wodza czyn, jakiego się dopuścił, i stan, w jakim się znalazł, oznaczały śmierć moralną. Do jego działań pasuje określenie użyte przez ostatniego marszałka senatu Bogusława Miedzińskiego: „Gdyby umarł, toby żył; wobec tego, że żyje – umarł”[345]. Jak oceniać postawę Rydza-Śmigłego?

Może warto się zastanowić, czy pojmowanie polskości musi być skażone przekleństwem nacjonalizmu, a odwaga musi być mylona z zamiłowaniem do bohaterskiego umierania? Stanisław Likiernik – jeden z dwóch pierwowzorów słynnego „Kolumba”, Stanisława Skiernika z powieści Romana Bratnego *Kolumbowie*. *Rocznik 20* – po siedemdziesięciu latach od powstania warszawskiego przekonuje, że rozsądek to nie tchórzostwo, chłodna analiza nie musi być podszyta cynizmem, a obrona wolności nie musi być samobójstwem.

Znany pisarz i konserwatysta wileński, represjonowany przez ekipę sanacyjną, Stanisław Cat-Mackiewicz, przyznawał: „Najbardziej mi wstyd tego, że Rydz-Śmigły nie uważał za stosowne powrócić do walczącej jeszcze Warszawy. Pochodziło to z tego, że nasi generałowie, ludzie pod względem wojskowym niedouczeni, mieli ogromne ambicje polityczne i stąd myśleli, że najważniejsze dla Polski jest to, żeby oni udali się do zbawiającej nas Anglii i tam nadal politykowali”[346].

Rozbieżność opinii na temat czynu marszałka potwierdzają słowa Ignacego Mościckiego. Były Prezydent RP miał być przekonany o tym, że decyzja

o opuszczeniu kraju jest właściwa. W 1943 roku na sugestię byłego ministra Stanisława Jurkiewicza o rehabilitacji Naczelnego Wodza po jego powrocie do kraju i zgonie miał wykrzyknąć: „Co też pan mówi. Marszałek nie potrzebuje żadnej rehabilitacji, bo nie uczynił nic takiego, co by nakazywało mu się rehabilitować”[347].

Najbardziej znany szwoleżer wojska polskiego, wieloletni adiutant marszałka Piłsudskiego, doznał w tym momencie szoku. Generał Wieniawa-Długoszowski – bo o nim mowa – przebywający wówczas w Rzymie, nie chciał w to wierzyć. Poszedł do włoskiego ministra spraw zagranicznych, z którym był w przyjaznych stosunkach, by – jak pisze Ciano – „zaprotestować przeciwko prasie włoskiej, która pisała o ucieczce Rydza-Śmigłego do Rumunii, rozplakał się, gdy mu pokazał dowody, że marszałek, który obiecał podpisać pokój po zwycięstwie, rzeczywiście przekroczył granicę”[348].

Ba, jak odnotowuje w swych pamiętnikach pułkownik Marian Romeyko: „Gdy dowiedział się od Ciano prawdy – bezstronnego potwierdzenia, ogarnęła go rozpacz żołnierza tym większa, że Naczelnym Wodzem był żołnierz, jeden z najbliższych, jeden z najbardziej zaufanych Komendanta, któremu po śmierci Piłsudski powierzył obronę honoru Polski”[349].

Opinii tej nie zmienił potajemny powrót do okupowanego kraju i chęć włączenia się do konspiracji. Nie starano się szukać usprawiedliwień, nie słuchano, także osobiście przedstawianych motywów, którymi się wówczas kierował. „Tymczasem jawi się nieodparcie pytanie – zauważa Lech Wyszczelski – czy było wówczas jakiegokolwiek racjonalne wyjście, pomijając desperacką śmierć, z sytuacji, w jakiej się znajdował?”[350].

Pomijając tę kwestię, bo nie ona jest tematem tej opowieści, już podczas internowania w Rumunii marszałek zastanawiał się nad dalszą walką. Wkrótce został opracowany plan powrotu Rydza do Polski. 26 września 1941 roku szef Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza pułkownik Leon Mitkiewicz notuje w swoim dzienniku: „Otrzymaliśmy wprawdzie niesprawdzoną, ale z dosyć pewnego źródła, wiadomość z Węgier, że marszałek Edward Śmigły-Rydz uszedł z internowania rumuńskiego i przez Węgry, Słowację incognito udał się do Warszawy. Zameldowałem to lojalnie gen. Sikorskiemu”[351].

Już 27 września, czyli na drugi dzień po opuszczeniu Węgier przez Rydza, Sikorski wysłał depeszę następującej treści: „Otrzymałem wiadomość, jakoby marszałek Śmigły-Rydz udał się do Polski z zamiarem pracy powstańczej. Znając sytuację w Kraju, nie sądzę, aby Śmigły-Rydz znalazł oparcie i możliwość pracy w waszych szeregach. W wypadku jednak pojawienia się Śmigłego-Rydza w Polsce polecam: (...) Zażądać w imieniu Rządu RP opuszczenia przez niego terytorium

Polski i udania się w myśl już wydanych zarządzeń do Stambułu, skąd na czas wojny będzie przewieziony do Afryki Południowej jako gość Rządu Wielkiej Brytanii”[352].

W literaturze funkcjonuje wiele wiadomości pochodzących od „naocznych świadków”, jak choćby taka, którą usłyszał Jan Rzepecki: „Rydz-Śmigły zrehabilitował się, walcząc w powstaniu warszawskim jako szeregowiec! Poległ na barykadzie na ulicy Pańskiej pod pseudonimem «Zaręba». Wiem to od naocznego świadka!”[353]. Takimi plotkami po dziś dzień operuje szeptana propaganda, a brak znajomości faktów z niedawnej przeszłości prowadzi do mylnej ich oceny.

Niestety istnieją sprzeczne relacje, głównie za sprawą „świadków” tamtych wydarzeń, którzy własną osobę usiłują przedstawiać w najbardziej korzystnym świetle. Klasycznym przykładem mogą tu być wspomnienia szefa II Eszelonu Szefostwa Komunikacji Naczelnego Wodza Juliana Piaseckiego, opowiedziane Ferdynandowi Goetlowi, w których twierdził:

„Wreszcie nie chcąc osobą swą naprowadzić wywiadu na Śmigłego, wyrwałem się naprzód, do Polski. Śmigły podążył za mną w pierwszych dniach listopada. Drogę miał ciężką, bo wygodniejsze szlaki kurierskie musiał przecież wymijać. Zmęczył się tak bardzo, że w Zakopanem leżał kilka dni. Był chory od dawna, miał anginę serca”[354].

W taki sposób powstają „materiały źródłowe”, bo historykom zwyczajnie nie chce się sprawdzać każdego faktu opowiadanego przez świadka; później przepisują jeden od drugiego i dzięki temu wymyślona legenda z upływem czasu zyskuje znamiona prawdy niepodważalnej. „Fakt – przyznaje Jerzy Rostkowski. – Śmigły był już prawdopodobnie chory na serce. Drugi fakt. Droga była ciężka i był zmęczony. Pozostała część oświadczenia Piaseckiego jest jednak fałszywa, bowiem wyjechał z Budapesztu po Śmigłym, a do Zakopanego marszałek również nie zaglądał w drodze do Krakowa i Warszawy”[355].

Głośna była plotka, która wyszła z otoczenia marszałka, że był widziany w Konstantynopolu. Domysły te snuto na podstawie wysłanego z tego miasta odręcznego listu Rydza-Śmigłego skierowanego do komendanta rumuńskiego pułkownika Milcea Budulescu, prefekta policji w Kimpolungu, odpowiedzialnego za jego pobyt na internowaniu w Dragoslavele. „W liście tym przepraszał go za ucieczkę i dziękował za poprawne zachowanie się organów rumuńskich podczas przykrego obowiązku pilnowania go, gdy był internowany w Dragoslavele”[356].

Powyższa informacja została przyjęta jako wiarygodna przez wywiad niemiecki i oficjalnie przekazana przez Niemców. Uśmiech może dziś wywoływać oświadczenie niemieckiego ambasadora w Ankarze Franza von Papena, że jest

w posiadaniu poufnych doniesień tureckiej policji politycznej stwierdzających, że Rydz-Śmigły 20 stycznia opuścił Turcję, udając się przez Irak do Palestyny[357].

Doszło do tego, że nawet strona turecka sugerowała możliwość pobytu Rydza-Śmigłego w tym kraju. Jeszcze 2 marca 1941 roku agent SS w niemieckim MSZ Picot donosił do gestapo: „Jak informuje Ambasada Niemiecka w Ankarze, według niepotwierdzonych danych Rydz-Śmigły przebywał przez kilka dni w Istambule, skąd udał się w dalszą podróż na półwysep Anatolia”[358].

Ba, niemiecki sekretarz stanu Ministerstwa Spraw Zagranicznych baron Ernst von Weizsäcker w specjalnej nocie stwierdził, że obecność w Turcji tak ważnej osoby wojskowej jest pogwałceniem neutralności tego państwa. Pogłoski o pobycie Śmigłego w Turcji umacniał fakt, że po głównych ulicach Stambułu, nie omijając tych, gdzie znajdowały się budynki niemieckiego poselstwa, spacerował człowiek ucharakteryzowany na marszałka[359].

Inne plotki głosiły, że widziano uciekiniera w Egipcie, Ameryce, na Cyprze, a nawet w koloniach angielskich. Jak widać, na temat jego powrotu z Rumunii do kraju i zakonspirowanego krótkiego pobytu w Warszawie krążą relacje, w których strzępki prawdy toną w powodzi niesprawdzonych pogłosek i nieraz fantastycznych domysłów. Tymczasem powrót marszałka z internowania przebiegał bez większych przeszkód, aczkolwiek już po opuszczeniu pociągu podczas jazdy umówionym samochodem zauważono brak ważnej paczki. Wszyscy wrócili, by szukać w pociągu pozostawionej przez Rydza paczki z dziesięcioma tysiącami dolarów, którą szczęśliwie odzyskano – na owe czasy była to pokaźna suma.

Na dworcu w Krakowie oczekiwał zaufany kurier podpułkownik Marcin Zalewski, który Rydza-Śmigłego doprowadził do willi doktora, będącej miejscem przerzutu dla wyżej postawionych osób. Marszałek do stolicy wyjechał 29 października 1941 roku, ale dla zachowania tajemnicy wysiadł na Dworcu Zachodnim i pieszo dotarł do zakonspirowanego lokalu sierżanta Henryka Jasińskiego przy ulicy Marszałkowskiej 53, mieszczącym się na zapleczu sklepu meblowego.

Panowały tam jednak trudne warunki, a Rydz-Śmigły nie czuł się najlepiej. Jego wygląd zewnętrzny miał wówczas bardzo odbiegać od tego przed opuszczeniem kraju. Oto wrażenia, jakie przekazała Jadwiga Maxymowicz-Raczyńska, wdowa po generale Włodzimierzu: „Byłam wstrząśnięta zmianą jego twarzy. Nie dlatego, że okulary, że wąsy, że włosy z niewielką łysiną na tyle głowy. Była to twarz starszego człowieka, który cierpiał, który przeżył jakiś potworny cios”[360].

Miesiąc później w nocy z 27 na 28 listopada 1941 roku nagle zasłabł, Jadwiga Maxymowicz-Raczyńska znalazła go leżącego w pidżamie na podłodze przy

drzwiach do kuchni. „Twarz miał bladą – wspominała – a czoło pokrywały krople potu. Słabym głosem powiedział, że boli go serce. (...) Ciałem Rydza-Śmigłego wstrząsały silne torsje”[361].

Sprowadzeni lekarze nie zgadzali się co do diagnozy, jeden orzekł, że był to atak serca – prawdopodobnie *angina pectoris*, drugi nie wykluczał dolegliwości żołądkowych spowodowanych nadkwasotą. Sprawy nie rozstrzygnął wykonany elektrokardiogram. Tymczasem chory czuł się coraz gorzej. Gorączkował i nie miał apetytu. 1 grudnia nastąpiła poprawa zdrowia, ale okazała się chwilowa[362].

Przy Śmigłym zmieniali się Julian Piasecki i pułkownik Marcin Zalewski, ten ostatni przez trzy kolejne noce czuwał przy marszałku. Czwartą noc dyżuruwał szef OPW. Noce były na ogół spokojne i nie zapowiadały gwałtownego kryzysu. W nocy z 1 na 2 grudnia, gdy przy chorym czuwał Zalewski, Śmigły poczuł gwałtowne bóle – nastąpiło prawdopodobnie rozszerzenie zawału – lecz nie stracił przytomności. Zbudzona przez Zalewskiego Jadwiga Raczyńska zdążyła wstrzyknąć morfinę marszałkowi, gdy nastąpiła agonia[363].

„Niespodziewaną i tragiczną w wymowie śmierć marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza otacza wiele mistyfikacji – przyznaje profesor Wiesław Jan Wysocki. – Jedną, bardziej rozpowszechnioną, jest wersja Buterlewiczej, jakoby zgon marszałka nastąpił w wyniku załamania psychicznego po znalezieniu w jednej z książek w mieszkaniu J. Maxymowicz-Raczyńskiej wiersza Mariana Hemara (Heschelesa) «Do Generała», uwłaczającego Śmigłemu”[364].

Problem w tym, że marszałek nie wiedział o istnieniu wiersza Hemara, a Maria Buterlewiczoła nie była świadkiem opisywanych wydarzeń. Wariant „poetycki” wygląda więc na sentymentalny wymysł. „Szczyptę tragedii, jeśli chodzi o Marszałka – konstatawał Stefan Korboński – wprowadzała krążąca pogłoska, że brodaty i postarzały, w cywilnym ubraniu wędrował od jednego podrzędnego baru do drugiego i tak od niechcienia zapytywał, co myślą ludzie o Rydzu-Śmigłym. To, co usłyszał, rzekomo go zabiło”[365].

Jego śmierć z powodu dolegliwości sercowych nie musiała mieć żadnego drugiego dna, ponieważ marszałek jeszcze podczas pobytu w Warszawie nie cieszył się najlepszym zdrowiem. Ba, już pod koniec 1938 roku Konrad Zamorski zaobserwował pewne niepokojące symptomy: „Po południu u Śmigłego[-Rydza] – leży, jak twierdzi znów ślepa kiszka, może zaś Pani [Marta Rydz], która wróciła z Paryża, mówi, że to dwunastnica. W każdym razie niedobre to rzeczy”[366].

Latem 1941 roku Rydz-Śmigły zaczął odczuwać ponowne pogorszenie stanu zdrowia. Jak wspomina Rogowski: „Od pewnego czasu podczas przechadzek Śmigły

często nagle stawał i – jak zauważyłem – zaciskał zęby, chwilę stał bez ruchu. Okazało się, że dostaje nagle ataku skurczu w łydce i to tak bolesnego, że go na chwilę zupełnie unieruchamia. Do tego doszły od czasu do czasu powtarzające się bóle żołądka”[367].

Czasami też uskarżał się na tępy ból koło serca. Przeprowadzone badania nie były alarmujące. Skurcze łydki uznano za efekt zbyt intensywnych marszów, a bóle żołądka miała wyeliminować odpowiednia dieta. Lekarz uznał, że ból w okolicach serca nie wiąże się z pracą serca, lecz jest wynikiem intensywniejszej pracy mięśni sercowych[368].

Zanim zabalsamowane ciało zostało przewiezione na miejsce ostatniego spoczynku, ponoć Jadwiga Maxymowicz-Raczyńska włożyła do kieszeni ubrania nieboszczyka swój bilecik wizytowy, na którym napisała: „Oświadczam, że są to zwłoki marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, który wrócił do Polski w październiku 1941 roku, by w pracy ruchu podziemnego walczyć o wolność kraju. Oddał swą szlachetną duszę Bogu w dniu 2 grudnia 1941 r. Zmarł w moim mieszkaniu przy ul. Sandomierskiej 18 mieszkania 6”[369].

W dniu 15 grudnia 1941 roku szef organizacji „Muszkietierowie” Stefan Witkowski pisze z Warszawy do swojej podkomendnej Klementyny Mańkowskiej na wyspie Noirmoutier we Francji: „Niech sobie Pani wyobrazi, że mój Stary, którego Pani przed odjazdem nie udało się zobaczyć, ciężko zachorował i w ciągu 3-ch dni zmarł. Ostatnie długie marsze spowodowały prawdopodobnie skrzep, który dotarł do serca. Nastąpił ciężki atak, po czym krótka poprawa i po 2-ch dniach ponowny atak spowodował śmierć. Wybacz Pani zatem, że nie mogłem dotrzymać słowa”[370].

Jak podaje Andrzej Kunert, zdaniem Klementyny Mańkowskiej: „Treść tego listu należy rozumieć w ten sposób, że Marszałek Śmigły-Rydz zmarł i dla tego powodu Witkowski nie mógł przybyć do Paryża na umówione ze mną spotkanie w dniu 4.12.1941 r. Nie potrafię stwierdzić, czy Witkowski w liście tym napisał mi prawdę, czy też po zreflektowaniu się stworzył odpowiednią legendę o śmierci Śmigłego. Ze słów jednak Witkowskiego wypowiedzianych do mnie w Warszawie w czasie mego ostatniego tam pobytu jasno wynikało, że Marszałek Śmigły-Rydz po przebytych trudach był całkowicie wyczerpany fizycznie i stan jego zdrowia był podobno ciężki. Dlatego też gotowa jestem raczej wierzyć, że list Witkowskiego zawiera prawdę. Dalsza treść listu nie ma istotnego znaczenia dla sprawy i jest tylko konwencjonalnym kamuflażem właściwej treści”[371].

Pierwsze wieści o śmierci Rydza-Śmigłego, wplecione w konspiracyjną wymianę informacji, wrażeń i trosk, były z natury rzeczy skąpe, ogólne, mętne –

i pozostawiały przez to szerokie pole do różnych interpretacji i domysłów. Sprawę dodatkowo skomplikował fakt, że po latach o jeszcze innej spiskowej teorii zaczęła wspominać Maxymowicz-Raczyńska. Miał o tym słyszeć jej znajomy, emigracyjny polityk generał Waław Hryniewicz-Bakierowski:

„Pani Generałowia była bardzo podenerwowana, kiedy zwróciła się do mnie, że chce mi przekazać pewne dodatkowe wiadomości, wiążące się ze sprawą śmierci marszałka. Zaznaczyła, że krótko przed śmiercią doktor dał marszałkowi zastrzyk (adrenalina) z pudełeczka, w którym było pięć ampułek. Czyli pozostało – cztery... Dalej zaznaczyła, że ostatnio ona sama w nocy zapadła na sercowe dolegliwości. Wezwała znajomą pielęgniarkę. Ta powiedziała, że chce zrobić zastrzyk adrenalinowy, ale musi czekać do rana, bo apteki są zamknięte. Wtedy Generałowia przypomniała sobie owe cztery ampułki przechowywane przez nią od czasu śmierci Marszałka. Dała pudełeczka sanitariuszce. Ale... Sanitariuszka wzięła pudełeczko i powiedziała: «Pani Generałowiu – to nie jest adrenalina – to jest czysta woda». Wtedy Generałowia uświadomiła sobie, że wówczas marszałek otrzymał zastrzyk przed śmiercią nie adrenaliny, ale wody! Była przerażona tym faktem i pełna podejrzeń” [372].

Jerzy Rostkowski, autor monografii na temat „Muszkietarów”, uznaje hipotezę związaną z odnalezieniem czterech ampułek adrenaliny za nieprawdopodobną. „Miało być ich pięć – pisze – lecz jedną podano ponoć Śmigłemu tuż przed śmiercią. Według tejże teorii w wyniku morderczej intrygi ampułki zawierały wodę zamiast adrenaliny (epinefryny). Miała to rozpoznać pielęgniarka zamierzająca podać lek niedomagającej Maxymowicz. Wynikałoby z powyższego, że marszałkowi w potrzebie podano wodę zamiast leku, doprowadzając tym samym do jego zgonu.

Na moją prośbę zespół medyczny (dr Mariusz Skopek i piel. dypl. Maria Madeja z ZPS w Tarnowie) opracował próbę podobną do zabiegu, jaki miał być wykonany w mieszkaniu generałowej. Mimo szczególnej uwagi zwracanej na właściwości płynu w ampułce, a później strzykawce (konsystencja, lepkość, zapach), organoleptycznie nie dało się go odróżnić od wody, a więc pielęgniarka nie mogła dostrzec różnicy przed podaniem leku Maxymowicz-Raczyńskiej” [373].

Tadeusz Kisielewski posuwa się w swoich wnioskach jeszcze dalej: „Wywiad angielski dostarczył do Polski środki toksyczne wywołujące symptomy typowe dla zawału serca, które znajdowały się w rękach Muszkietarów. Już wcześniej Witkowski demonstrował bezwzględne okrucieństwo wobec ludzi, których uznawał za niewygodnych w swoim otoczeniu. Potrafił w każdej chwili zdecydować o śmierci osób blisko z nim współpracujących. Wyrok często wykonywał osobiście” [374].



Profesor Paweł Wieczorkiewicz przypuszczał, że zgon mógł być inscenizacją: „Jest prawdopodobne – przekonywał – że śmierć Naczelnego Wodza nastąpiła latem 1942 roku, również zresztą z przyczyn naturalnych. Jedną z możliwych prób wyjaśnienia zagadki jest przypuszczenie, że Śmigły znalazł się w Polsce przede wszystkim po to, aby wobec nowej sytuacji strategicznej, jaką stworzył wybuch wojny niemiecko-sowieckiej i pasmo klęsk Armii Czerwonej, wszcząć rozmowy ostatniej szansy z czołowymi osobistościami III Rzeszy. Podobną inicjatywę w tym samym czasie podjął Leon Kozłowski”[375].

Wedle danych, które zestawiał Dariusz Baliszewski (między innymi w cyklu artykułów w latach 1985–1986 w tygodniku „Ład”), wszelkie dowody i świadectwa w sprawie śmierci marszałka są niespójne i sprzeczne. Jego zdaniem możliwe wydaje się, że Rydza wywieziono poza Warszawę, aby uchronić od tropiących go zajadłe Niemców, izolować od politycznych zwolenników, bądź, poprzez swego rodzaju internowanie, pozbawić możliwości działania. Coś może być na rzeczy, potwierdza to depesza z 11 lipca 1942 roku, którą nadał podpułkownik Tadeusz Rudnicki z Kujbyszewa do pułkownika Stanisława Gano z Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie:

„Posiadam dane (z listu z końca kwietnia br.), że Rydz-Śmigły znajduje się w Jerozolimie. Przeszedł operację na Basedowa, było bardzo źle, ale w kwietniu wrócił do zdrowia. Odszukać go zapewne można w otoczeniu Ety Fitel – Hotel Casanova. W liście Rydz nazwał się «właścicielem diablicy», ujawnia go jednak własnoręczny dopisek, którego charakter pisma jest niewątpliwy. Będąc w drodze, listu nie mogłem sfotografować. Z uwagi na mego informatora bardzo Cię proszę o ścisłą dyskrecję”[376].

Pewne ślady wskazują, że zmarł pół roku później, niż podaje oficjalny akt zgonu. Na rzecz owej sensacyjnej rekonstrukcji przemawia także wiele poszlak pośrednich, między innymi ta, że generał „Grot” nie tylko ukrył uprzednio przed Sikorskim swoje spotkanie z marszałkiem, ale nawet informacje o jego pobycie w Polsce, podejmując z nim lub wokół niego polityczną grę. Po co jednak Rydz-Śmigły wracał?

Jego niespodziewane pojawienie się w kraju pod koniec października 1941 roku, gdy dość łatwo zbiegł z Rumunii i dotarł *via* Węgry do Generalnej Guberni, przyczyniło się do ożywienia środowisk piłsudczykowskich. Marszałek natychmiast nawiązał szereg kontaktów, w tym najbardziej poufny, z generałem „Grottem”. Tajemnicę tych rozmów Rydz zabrał do grobu, ale pewne szczegóły zdradził Stefan Korboński, ostatni szef Polskiego Państwa Podziemnego:

„Gdy wreszcie Delegatura stanęła na nogach, Rowecki ograniczył swoje kontakty

do pojedynczych spotkań z Delegatem. Od czasu do czasu zasięgał mojej rady w sprawach delikatnej natury. Zażądał kiedyś szybkiego spotkania, na które przyszedł zachmurzony i wyłożył od razu całą sprawę na ławę:

– Pewno wiecie, że przedostał się z Węgier do Polski Rydz-Śmigły i ukrywa się w Warszawie?

Gdy przytaknąłem, spytał o radę:

– Rydz zażądał spotkania ze mną. Co zrobilibyście na moim miejscu?

Odpowiedziałem bez dłuższego namysłu:

– Rozumiem dobrze, że wrodzona dyscyplina wojskowa i kodeks honorowy nakazywałyby wam spotkanie z byłym Naczelnym Wodzem Marszałkiem Edwardem Rydzem-Śmigłym. Trudno mu rozmowy odmówić. Ale pamiętajcie o tym, że taka rozmowa tak czy inaczej dotrze do Sikorskiego w Londynie i stracie jego zaufanie. Następnym jego krokiem będzie wasza dymisja i mianowanie Komendantem AK swego zaufanego człowieka, obojętnie czy z kwalifikacjami, czy bez.

Do tej rozmowy Rowecki nigdy później nie wrócił, a ja nie pytałem. Czy się zaś widział z Rydzem, zdania były podzielone”[377]. Na przykład Jan Rzepecki zapewniał, że Grot: „(...) znalazł w sobie dość siły, by tę akcję utracić i odmówić skontaktowania się z niefortunnym wodzem i kandydatem na dyktatora, który przybywał do kraju z nadzieją znalezienia okazji do zrehabilitowania się po kompromitacji wrzesniowej”[378].

Ale już Szef Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza pułkownik Leon Mitkiewicz przyznawał: „Znamienne jest, że sztab Armii Krajowej ani razu nie doniósł gen. Sikorskiemu, ani nam w sztabie N[aczelnego] W[odza] w Londynie, o obecności w Warszawie marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza”[379].

Pobyt Rydza-Śmigłego w Warszawie, jego kontakty z władzami ZWZ i Muszkieterami przysłania mgła tajemnicy, a przeróżne, pojawiające się raz po raz nowe wersje wydarzeń coraz bardziej ją zagęszczają, zamiast rozwiewać. Wiele kontrowersji wzbudza cel spotkań marszałka z przedstawicielami polskiej konspiracji. Nie jest do końca jasne, czy miał jakieś ambicje polityczne, wracając do kraju. Według jednej wersji chciał pracować w konspiracji, podporządkowując się rządowi Sikorskiego. Według drugiej wersji, raczej szeptanej, chciał potajemnie tworzyć własną siatkę wpływów, a jego sympatycy otwarcie krytykowali politykę Sikorskiego, szczególnie za próby ułożenia stosunków z ZSRR.

„Wersja, jakoby uczynił to, aby zrehabilitować się za Wrzesień i stanąć na czele podziemnej armii czy choćby jednej z konspiracyjnych organizacji piłsudczykowskich, jest tyle romantyczna, co naiwna – twierdził profesor Paweł

Wieczorkiewicz. – Uwagę musi zwracać za to termin realizacji odkładanej długo decyzji o opuszczeniu gościnnych Węgier – moment, gdy losy wojny nie tylko na Wschodzie wydawały się przesądzone. Była to ostatnia chwila na próbę odnalezienia polskiego Pétaina i próbę porozumienia z Niemcami. Jeśli Śmigłym, który jak nikt nadawał się do tej roli, powodowały tego rodzaju pobudki – okazałby się mężem stanu, jakim stał się w roku 1940 francuski marszałek”[380].

Trzeba bowiem wiedzieć, że na początku grudnia 1941 roku w porozumieniu z Niemcami i za zgodą KG ZWZ Stefan Witkowski zorganizował przerzut na teren ZSRR czterech swoich „Muszkietarów”. Wysłannikom przewodniczył rotmistrz Czesław Szadkowski. Przeszli przez front z pomocą... Niemców, a w dostarczonych przez nich materiałach znajdował się mikrofilm będący prawdziwą puszką Pandory.

„Treść była bowiem kompromitująca – pisał generał Klemens Rudnicki, wówczas wysoki oficer polskiej armii na Wschodzie – i to w najwyższym stopniu. Zawierała list szefa «Muszkietarów», a więc znanego mi Witkowskiego, do gen. Andersa, w którym wzywał generała do uderzenia na tyły bolszewickie, gdy tylko przyprowadzi swą armię na front przeciwniemiecki”[381].

To mogło oznaczać kres polskiej armii, śmierć albo więzienie dla tysięcy Polaków i koniec Rządu RP na Uchodźstwie! Odpokutował za to między innymi rotmistrz Szadkowski, *notabene* wuj... Wojciecha Jaruzelskiego. Szadkowski tłumaczył Andersowi, że tylko by oszukać hitlerowców, z przewiezionych dokumentów wynikało, że wrogiem numer 1 jest Związek Radziecki, a wrogiem numer 2 są Niemcy. „Powiedziałem mu wówczas – mówił w swoich powojennych zeznaniach – że Śmigły jest w Warszawie, że legioniści szykują zamach stanu na Sikorskiego. Generał Anders był wyraźnie tym zaskoczony i wstrząśnięty”[382].

Nie wiedział, że jego rozmówca ma na pieńku z Sikorskim, więc może sympatyzować z marszałkiem. W efekcie rotmistrz... trafił do NKWD. Wersję tej historii opowiedział sam generał w 1968 roku: „To była oczywista prowokacja i ja nie miałem wyboru. Zawiadomiłem natychmiast Londyn, a ich kazałem oddać pod sąd polowy i zaprosić sowieckich oficerów jako obserwatorów. Sąd uniewinnił dwóch, trzeciego – tego, który miał przy sobie mikrofilm – skazał na piętnaście lat więzienia za współpracę z Niemcami”[383].

Prawdopodobnie rzeczywiście była to prowokacja, bo zastanawiająca jest „łagodność” sowieckiego organu prawa. Jednakże pułkownik Leski wyklucza jakąkolwiek prowokację. „Ja miałem zawsze i mam po dziś dzień wrażenie, że Witkowskiego rozpierała ambicja nie do poskromienia – wspominał człowiek, który zasłynął z wykradzenia planów fortyfikacyjnych jednego z odcinków Wału

Atlantyckiego – chciał być najpierwszy, najważniejszy, być ponad innymi. (...) Wielu posunięć Witkowskiego nie umiałem i nie umiem sobie wytłumaczyć, może i on nie potrafiłby znaleźć dla nich logicznego uzasadnienia. Uważałem jednak (i tak sprawę oceniam obecnie), że na pewno nie były one powodowane chęcią działania przeciw interesom narodowym”[384].

Pozostała oczywiście kwestia autora rozkazu, gdyż chodziło o kategoryczne polecenie do wykonania. Wątpliwe, aby to Witkowski stał za tym rozkazem, który generał Anders potraktował jak najbardziej serio, zamiast wyrzucić do kosza. Wydaje się, że rzeczywistym autorem rozkazu, który wywołał skandal i awanturę, był Rydz-Śmigły. Tylko on mógł się na to odważyć. Motyw był oczywisty. Chodziło o przygotowanie próby zamachu politycznego, skierowanego zarówno przeciw legalnym władzom podziemnym w Warszawie, jak i generałowi Sikorskiemu w Londynie[385].

„Nie znam żadnych wiarygodnych dokumentów, świadczących o kolaboracji Rydza-Śmigłego i Leona Kozłowskiego z Niemcami. Jako historyk uważam, że podstawa źródłowa do spekulacji jest zbyt licha, aby snuć tego rodzaju tezy” – komentuje dr Maciej Siekierski, kurator zbiorów wschodnioeuropejskich w kalifornijskim Instytucie Hoovera, przechowującym wiele unikatowych polskich dokumentów z czasów drugiej wojny światowej. Podobnego zdania jest historyk dr Jan Stanisław Ciechanowski, zastępca kierownika Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, a wcześniej wysoki rangą pracownik IPN. „Co do Rydza-Śmigłego, «Muszkieterów» i Kozłowskiego, nigdy nie widziałem żadnego kwitu na ten temat”[386].

Musimy się teraz nieco cofnąć w czasie, gdy dziwny przypadek historii sprawił, że gdy z Budapesztu do kraju ruszał Edward Rydz-Śmigły, to do Niemiec udawał się profesor Leon Kozłowski. Według niechętnie przywoływanego przez historię adiutanta generała Władysława Andersa, rotmistrza Jerzego Klimkowskiego, to jego dowódca, przekonany o bliskiej klęsce Moskwy, wysłał w drogę byłego premiera.

„Uważał, że najlepszym emisariuszem spośród osób, którymi wtedy mógł dysponować, będzie były premier prof. Leon Kozłowski, który takimi samymi kategoriami jak Anders rozumował i podobnie jak on wierzył w zwycięstwo Niemiec. Ponadto Leon Kozłowski był zdania, że Polska pomimo tego wszystkiego, co się stało od września 39 roku, powinna współpracować z Niemcami, tak jak to zrobiły Rumunia, Węgry czy też inni satelici «osi». Toteż Anders, spotkawszy Kozłowskiego w ambasadzie w Moskwie, sprowadził go do sztabu do Buzułuku i pod pozorem przydzielenia mu pracy w wojsku ubrał go w mundur wojskowy”[387].

W obu wypadkach w tle wydarzeń znajdowała się tajemnicza organizacja „Muszkietarów”. Czy rzeczywiście mieliśmy wówczas do czynienia z próbą zamachu stanu i przejęcia władzy w Polskim Państwie Podziemnym przez Śmigłego i jego legionistów? Nie sposób powiedzieć. Ważny wydaje się fakt, że zarówno Kozłowski, jak i Witkowski otrzymali z Londynu albo z Warszawy wyroki śmierci. Jak wynika z relacji Jadwigi Sosnkowskiej, wyrok śmierci i degradacji, podpisany przez Sikorskiego, dostał także marszałek Rydz-Śmigły.

Wobec sprzeciwu „Grota” Roweckiego nie wykonano go na premierze Kozłowskim. Życiem zapłacili jedynie Witkowski i Rydz-Śmigły. Zdaniem nie tylko Jana Rzepeckiego Niemcy widzieli w Kozłowskim: „Kandydata na kolaboracjonistę w dużej skali. Sąd wojskowy armii Andersa skazał go zaocznie na śmierć, a podbechtany przez kogoś Sikorski wydał polecenie wykonania wyroku przez organy AK. Ponieważ Kozłowski nie próbował nawet podejmowania jakiejś akcji politycznej i przebywał spokojnie w majątku brata, Rowecki odmówił wręcz wykonania wyroku, nie chcąc, jak wyjaśniał w radiogramie, narażać ludzi w sprawie niepilnej i niewyraźnej”[\[388\]](#).

Według Dariusza Baliszewskiego prawdziwy kontekst tej tajemnicy wyjaśnia dopiero zapis rozmowy generała Sikorskiego z prezydentem Rooseveltem z 24 marca 1942 roku. W pewnym momencie polski premier uznał za właściwe poinformowanie sojusznika, że: „Tak niedawno, bo zaledwie 20 stycznia [1942 roku], wszystkie polityczne partie Polski zadeklarowały swoją jednomyślną decyzję nieulegania sugestiom niemieckim i nieuczestniczenia Polski w jakiegokolwiek bądź formie w kampanii antyrosyjskiej, w zamian za co Polacy mieli obiecane przywrócenie normalnych warunków na terytorium polskim!”[\[389\]](#).

Czyli jednak były prowadzone rozmowy z Niemcami i być może sondażowo rozważano opcję zamiany alianta. Sprawa kontaktów polsko-niemieckich, traktowana jako haniebna – podkreślał Paweł Wieczorkiewicz – była przez lata skrzętnie utajniana przez jej świadków i uczestników i starannie skrywana milczeniem przez historiografię. Jesień 1941 roku tymczasem bardzo źle wróżyła sprawie polskiej, bo Stany Zjednoczone dalekie były, jak się wydawało, od porzucenia neutralności.

Z kolei III Rzesza była bardzo bliska triumfu nad Związkiem Sowieckim, w którego możliwość dalszego oporu nie wierzył praktycznie nikt, co oznaczało utrwalenie hegemonii Niemiec na kontynencie europejskim na dłuższy okres. Powinnością narodową stawało się zatem, podobnie jak i w roku 1940, po klęsce Francji, poszukiwanie jakiegokolwiek formy kompromisu pozwalającego Polakom

znaleźć najskromniejsze nawet miejsce w niemieckiej „Nowej Europie”[390].

„Ba – pisze Adam Węglowski o Śmigłym-Rydz – być może nawet myślał o własnym rządzie, który w obliczu klęski ZSRR, ciężkiej pozycji Anglii i nieprzesądzonego stanowiska USA (a taka była sytuacja geopolityczna w chwili, gdy Śmigły-Rydz znów stanął na polskiej ziemi) stanąłby po stronie Niemiec i ratował z polskiej państwowości, co się da. W Polsce nie brakowało polityków gotowych iść tą drogą”[391].

To dlatego, zdaniem Dariusza Baliszewskiego, oficjalna data śmierci marszałka jest mistyfikacją. 6 grudnia odbył się pogrzeb na Powązkach, jednak w kwaterze 139 pochowano anonimowego pacjenta ze szpitala Ujazdowskiego. Edward Rydz-Śmigły zmarł pół roku później. Wyroku na marszałku nie wykonano – jako rozwiązanie zaproponowano mu samobójstwo lub wyjazd z kraju. Odmówił, więc skazano go na niebyt.

Po aresztowaniu przez AK w końcu listopada 1941 roku trzymano go w ukryciu w nieludzkich warunkach, w których odnowiła mu się gruźlica płuc z wczesnej młodości. Ciężko chory trafił wreszcie do sanatorium miejskiego w Otwocku i tam zmarł 3 sierpnia 1942 roku. Ponoć UB i Wojskowy Instytut Historyczny wszczęły kilka dochodzeń w tej sprawie.

Jak podaje Adam Węglowski na łamach „Focus Historia”, podobno kiedy Baliszewski tym się interesował, skontaktowała się z nim tajemnicza kobieta, która miała w czasie wojny pracować dla Rosjan jako radiotelegrafistka. W trakcie spotkania powiedziała: „Upoważniono mnie, abym przekazała, że nie będziemy panu ani pomagali, ani (co ważniejsze) przeszkadzali”.

Nie chciała wyznać, w którym imieniu się wypowiada. Odparła: „To nieistotne. Ale chcę panu powiedzieć, że w 1947 r. ciało rzekomego Śmigłego zostało wydobyte z kwatery 139. Zajmowali się tą sprawą oficer i czterech podoficerów UB. Ciało zostało przewiezione do Instytutu Medycyny Sądowej, gdzie błyskawicznie stwierdzono, że nie należało do Śmigłego. Nie umiem panu powiedzieć, czy wróciło na miejsce, ale chyba nie”[392].

Sekret kwatery 139. łączy się w pewnym stopniu z inną sensacją sprzed paru lat – z tajemnicą „zaginionego dziennika” Śmigłego, który podobno po jego śmierci miał dostarczyć do Nicei Michał Ejgin – oficer z jego kancelarii. Tu i ówdzie pojawiały się bowiem hipotezy, że tragiczna śmierć wdowy po marszałku miała drugie dno.

„Uwagi francuskiej policji, jak się zdaje – zauważa Dariusz Baliszewski – umknął jeszcze jeden element tej tajemnicy. Jeśli bowiem zdołano sporządzić spis cennych rzeczy, które zginęły z mieszkania zamordowanej, to zupełnie pominięto fakt, że

z mieszkania Marty Zaleskiej-Rydzowej zginęły także bezpowrotnie wszystkie dokumenty marszałka. Jego listy do żony, które pisał z Rumunii, z Węgier i z Warszawy, jego zdjęcia i jego pamiętnik, w którym zapisana została tajemnica stanu. Prawda o ludziach i ich prawdziwej roli w latach wojny. (...) Czy była to prawda tak wielka i tak kompromitująca, by zabijać jeszcze w sześć lat po wojnie?”<sup>[393]</sup>.

Śmierć Marty Rydzowej w Monte Carlo i ostatnie dni marszałka pozostaną zapewne tajemnicą – nierozwikłaną, a tym samym otoczoną sensacyjnymi spekulacjami. „I może nie był to przypadek – konstatował Jan Lechoń – tylko jakieś fluidy diabelskie, że najspokojniejszy, najmoralniejszy, głęboko honorowy Śmigły – zamiast zostać w historii naszej przykładem tych swoich cnót – skończył jako zesłaniec, którego grobu na Bródnie nie będzie można odszukać”<sup>[394]</sup>.

---

345 M. Romeyko, *Przed i po maju*, t. I, s. 314.

346 S. Cat-Mackiewicz, *Zielone oczy*, Kraków 2012, s. 10.

347 W. Pobóg-Malinowski, *Ostatnie chwile Marszałka Śmigłego*, „Kultura” 1951, nr 12, s. 100.

348 G. Ciano, *Pamiętniki 1939–1943*, tłum. K. Fudakowski, Warszawa 1991, s. 130.

349 M. Romeyko, *Wspomnienia o Wieniawie...*, s. 155.

350 L. Wyszczelski, *Marszałek Polski Edward Śmigły-Rydz (1886–1941)*, Toruń 2013, s. 461.

351 L. Mitkiewicz, *Z gen. Sikorskim na obczyźnie (fragmenty wspomnień)*, Paryż 1968, s. 181.

352 A.K. Kunert, *Ostatnie dni Marszałka Śmigłego. Wybór dokumentów*, Warszawa 1992, s. 45.

353 J. Rzepecki, *Wspomnienia i przyczynki historyczne*, Warszawa 1983, s. 194.

354 F. Goetel, *Czasy wojny*, Gdańsk 2000, s. 55.

355 J. Rostkowski, *Świat Muszkieterów. Zapomnij albo giń*, Tarnów 2014, s. 194.

356 B. Rogowski, *Wspomnienia o Marszałku Śmigłym*, „Zeszyty Historyczne”, 1962, z. 2, s. 48.

357 J. Rostkowski, op. cit., s. 182.

358 E. Guz, *Losy Mościckiego i Rydza-Śmigłego. Niemiecka dokumentacja*, „Polityka”, 1981, nr 9, s. 15.

359 J. Rostkowski, op. cit., s. 182.

360 J. Maxymowicz-Raczyńska, *Edward Śmigły-Rydz w Warszawie*, „Dzieje Najnowsze” 1970, nr 1, s. 186.

361 Ibidem, s. 192.

- 362 L. Wyszczelski, *O marszałku Edwardzie Śmigłym-Rydzu. Od uwielbienia do potępienia*, Warszawa 2015, s. 350–351.
- 363 W.J. Wysocki, *Cień Zawiszy. Ostatnie lata Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza*, Komorów 1991, s. 97.
- 364 Ibidem.
- 365 S. Korboński, *Bohaterowie państwa podziemnego – jak ich znałem*, Warszawa 1990, s. 22.
- 366 K.J. Zamorski, *Dzienniki (1930–1938)*, Warszawa 2011, s. 468.
- 367 B. Rogowski, *Wspomnienia o Marszałku Śmigłym*, „Zeszyty Historyczne”, 1962, z. 2, s. 82.
- 368 L. Wyszczelski, *Marszałek Polski...*, s. 443.
- 369 Cyt. za: W. J. Wysocki, op. cit., s. 98.
- 370 A.K. Kunert, op. cit., s. 50.
- 371 Ibidem.
- 372 A. Węglowski, *Zatrute życie Śmigłego-Rydza*, „Focus Historia”, 2012, nr 4, s. 45.
- 373 J. Rostkowski, op. cit., s. 214–215.
- 374 T.A. Kisielewski, *Zabójcy. Widma wychodzą z cienia*, Poznań 2006, s. 154.
- 375 P. Wieczorkiewicz, *Historia polityczna Polski 1935–1945*, Poznań 2014, s. 403–404.
- 376 A.K. Kunert, op. cit., s. 55.
- 377 S. Korboński, op. cit., s. 20–22.
- 378 J. Rzepecki, op. cit., s. 241.
- 379 L. Mitkiewicz, op. cit., s. 182.
- 380 P. Wieczorkiewicz, *Bohaterowie, renegaci, zdrajcy...*, Łomianki 2015, s. 267.
- 381 K. Rudnicki, *Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939–1947*, Warszawa 1990, s. 168.
- 382 A. Węglowski, *Kto wrobił wuja Jaruzelskiego?*, „Focus Historia”, 2011, nr 11, s. 46.
- 383 P.M. Lisiewicz, *Bezimienni. Z dziejów wywiadu Armii Krajowej*, Warszawa 1987, s. 163.
- 384 K. Leski, *Życie niewłaściwie urozmaicone. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK*, Warszawa 1989, s. 132.
- 385 J. Wilamowski, A. Zasieczny, *Rozkaz: Zabić Witkowskiego! Tajemnice organizacji wywiadowczej „Muszkietierowie” 1939–1942*, Warszawa 2013, s. 127.
- 386 A. Węglowski, *Za Polskę i Führera*, „Focus Historia”, 2009, <http://historia.focus.pl/wojny/za-polske-i->



fuhrrera-519?strona=2; dostęp: 4.12.2015.

387 J. Klimkowski, *Byłem adiutantem gen. Andersa*, Warszawa 1959, s. 163.

388 J. Rzepecki, op. cit., s. 232.

389 D. Baliszewski, *Historia nadzwyczajna*, Wrocław 2009, s. 189.

390 P. Wieczorkiewicz, *Historia polityczna Polski*, s. 404.

391 A. Węglowski, *Zatrute życie Śmigłego-Rydza*, s. 44.

392 Ibidem, s. 47.

393 D. Baliszewski, op. cit., s. 151–152.

394 J. Lechoń, *Dziennik, t. 2, 1 stycznia 1951 – 31 grudnia 1952*, Warszawa 1992, s. 203.

*Czy Sowieci zabili Bieruta?*



Kariera Bieruta jest zastanawiająca. W skrócie wyglądała tak: zjawiał się nie wiadomo skąd, nie wiadomo kto i wkrótce potem został przewodniczącym KRN. Ten fenomen kariery „człowieka znikąd” wiele lat później tłumaczył Władysław Bieńkowski<sup>[395]</sup> przepytany przez Elżbietę Łapińską: „Stalin, jak wiadomo, zlikwidował prawie całe kierownictwo KPP, toteż w okresie wojny wypłynęli ludzie mało znani i całkiem nieznani. Ja Bieruta poznałem dopiero podczas okupacji, przed tym nawet o nim nie słyszałem”<sup>[396]</sup>.

Rzeczywiście prezydent był szary, dość nijaki. To mogło mu zjednywać ludzi, wydawał się pomostem między zwyczajnym człowiekiem a rządową elitą. „Bierut był jak z tramwaju – opisywał go obrazowo Andrzej Friszke, historyk w czasach PRL-u związany z opozycją demokratyczną. – Przez wiele lat pojawiały się publikacje, nawet w paryskiej «Kulturze», roztrząsające problem, czy Bierut to Bierut. Czy on nie jest lipny, takie dziwne nazwisko. Może wzięli Rosjanina, nauczyli go polskiego. Dziwiło to «Bierut», wydawało się zbitką nazwisk Biernacki i Rutkowski, kojarzonych z NKWD. Wynikało to prawdopodobnie z przekonania, że jak ktoś służy Rosjanom, to nie może być Polakiem. Ale była też inna legenda, że go Rosjanie zamordowali. A jeśli zamordowali, to znaczy, że chciał dobrze”<sup>[397]</sup>.

Przywódcę partii należało przedstawić w odpowiednim świetle. Ponieważ prawda była bardzo mizerna, trzeba było dorobić legendę. „Toteż – twierdził Józef Światło, zbiegły na Zachód zastępca dyrektora X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego – nad spreparowaniem życiorysu Bieruta pracowała w KC cała komisja pod przewodnictwem Kowalczyka, aby w jakiś sposób z brudnego i małego agenta wywiadu NKWD zrobić działacza partyjnego. Trudno go było odszukać wśród nazwisk działaczy komunistycznych czynnych w Polsce, gdyż pracował on całe życie tylko na odcinku wywiadu NKWD”<sup>[398]</sup>.

Czy zatem Bolesław Bierut zasłużył sobie na miano „największego targowiczana” Polski lat 1944–1956? Co do tego nie miał wątpliwości nie tylko Józef Światło, lecz także słynny sowietolog Robert Conquest, autor głośnej książki o sowieckich czystkach, który pisał o nim jako o „funkcjonariuszu śledczym NKWD”<sup>[399]</sup> występującym pod pseudonimem „Iwańczuk”. W żargonie partyjnym używano grzeczniejszego określenia, gdyż mówiło się, że towarzysz Tomasz pracował w pionie informacji.

Światło nie wiedział jednak, że przyszły „prezydent Rzeczypospolitej” przebywał w czasie wojny na Białorusi, gdzie był komisarzem, czy też zastępcą komisarza do spraw zaopatrzenia hitlerowskiej administracji Mińska. Wprost z tego stanowiska przeskoczył na przewodniczącego KRN, pośrednio dzięki Małgorzacie Fornalskiej, która ściągnęła go do Warszawy po zrzuconiu tam w 1942 roku.

„Że cechy osobiste nie odgrywają decydującej roli przy kształtowaniu się kultu jednostki – przyznawał Roman Zambrowski, jeden z czterech najważniejszych ludzi epoki stalinizmu w Polsce – najlepiej jednak dowodzi przykład Bieruta. Spokojny, zrównoważony, skromny, kulturalny i ugrzecznony, zdawało się, że nie był skrojony z materiału na dyktatora. A jednak to właśnie za jego przywództwa ukształtował się w Polsce system rządzenia, eufemicznie nazwany «kultem jednostki»”[400].

W rzeczywistości na „atrakcyjność” komunistycznej utopii miały wpływ pilnujące Polaków sowieckie oddziały. Bierut zresztą zdawał sobie sprawę, jak płocha jest „miłość” narodu do niego. Musiał wiedzieć, co krajanie naprawdę o nim myślą, czego najlepszym dowodem jest fakt, że do 19 lipca 1945 roku w skład jego osobistej ochrony wchodził pracownicy 6. Zarządu Ludowego Komisariatu Bezpieczeństwa Państwowego (NKGB).

Jako prezydent rozpatrywał wszystkie podania o łaskę składane przez skazanych na śmierć, ale rzadko z tego prawa korzystał. Na wielu dokumentach znajdują się jego osobiste uwagi i adnotacje, z czego wnika, że był doskonale wprowadzony we wszystkie zbrodnie MBP i Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego. Twierdzenie, że „Towarzysz Tomasz” czegoś nie wiedział o działaniach tych instytucji, nie jest prawdą. A jeżeli ktoś miał wątpliwości, to rozwiały je audycje Józefa Światły na falach RWE.

„Kochamy Cię, Towarzyszu Prezydencie” – głosiły propagandowe hasła z okazji 60. urodzin Bolesława Bieruta. Prasa i radio podkreślały, że przywódca jest ubóstwiany przez wszystkich Polaków. Jednak pieczołowitość, z jaką ochraniało towarzysza Bieruta i kolejnych pierwszych sekretarzy, zdumiewająco kontrastowała z ich rzekomą popularnością. Mimo rozbudowanego systemu ochrony do zamachów dochodziło[401].

Bierut bardzo bał się zamachu na swoje życie. Stale towarzyszyła mu liczna obstawa, w większości rosyjska, dowodzona przez sowieckiego pułkownika – Faustyna Grzybowskiego, który od 1944 roku sprawował funkcję szefa WUBP w Białymstoku, a potem w Lublinie i we Wrocławiu.

„W Belwederze ochrona tow. Bieruta składa się z około 150 żołnierzy KBW i z dwudziestu kilku ludzi ochrony osobistej” – rzucał dodatkowe nomen omen

światło Józef Światło. „Ochrona ta rozporządza najszybszymi samochodami, sowieckimi ZIS-ami, ZIM-ami i amerykańskimi chevroletami. Jeżdżą z Bierutem wszędzie. Samochody ochrony z przodu i z tyłu. A w nich na ciemno ubrani cywilni agenci, u których broni nie widać. Mają tylko na kolanach walizeczki. Jak pudełka klarnetowe. Nie muszą z nich wyjmować swoich automatycznych karabinów maszynowych, bo futerały robione w Sowietach są tak spreparowane, że można z nich strzelać bez wyjmowania broni”[402].

Ponoć pierwszy zamach miał miejsce już w 1945 roku w Hotelu Francuskim w Krakowie. Napastnikowi, przebranemu za oficera NKWD, udało się nawet dotrzeć do gabinetu prezydenta, ale tam zastrzelił... oficera ochrony, którego omyłkowo uznał za szefa państwa. Zabójca zginął, gdy ostrzeliwał się, próbując zbiec. Nie wiadomo, kim był, ani jaką z grup podziemnych reprezentował.

Według relacji pułkownika Wiesława Godziszewskiego, którą przytacza Piotr Osęka, pewnego lutowego dnia 1952 roku od rana po chodniku wzdłuż ogrodzenia Belwederu przechadzał się nerwowo nieznany nikomu mężczyzna. Gdy po kilku godzinach wylegitymowano go, wyjaśnił, że przyjechał specjalnie, by choć przez chwilę zobaczyć z daleka ukochanego prezydenta. Mijały jednak kolejne godziny, a mężczyzna – coraz bardziej zdenerwowany – wciąż krążył przy bramie.

„Okolo siedemnastej porucznik Markowski o dziwnym zachowaniu obserwowanego powiadomił porucznika Doskoczyńskiego, który był inspektorem grupy zabezpieczającej ten rejon belwederskiego płotu – relacjonował potem Godziszewski. – Obaj postanowili nawiązać kontakt z Iksem, który na widok zbliżającego się umundurowanego Markowskiego zaczął coraz szybszym krokiem oddalać się ulicą Bagatela w kierunku placu Unii Lubelskiej. Gdy Iks zaczął biec, w pościg za nim rzucili się obaj oficerowie. Pierwszy podążał Markowski, a w pewnej odległości za nim Doskoczyński. (...) Porucznik wprowadził Iksa do najbliższej bramy i tam chciał go wylegitymować. Ten jednak sięgnął po pistolet i strzelił. Markowski padł martwy. Słyszając strzały, do bramy wbiegł Doskoczyński. I on został trafiony. Upadł, a Iks zaczął uciekać w stronę placu Zbawiciela”[403].

Został zatrzymany i obezwładniony przez czujnych funkcjonariuszy UB po cywilnemu, którzy znajdowali się na szczęście w pobliżu. „Asasyn” okazał się być pacjentem szpitala psychiatrycznego, a nie „cynglem” z za „żelaznej kurtyny”. Próbował spotkać się z Bierutem, aby domagać się dla siebie ochrony, bo w jego mniemaniu ktoś mu zagrażał. Dlatego też zaopatrzył się w broń.

Nic dziwnego, że Bierut przeniósł się na strzeżone osiedle. Wcześniej zajmował luksusowy kompleks pałacowo-parkowy w Natolinie, jednak uznał, że nie spełnia on

wymogów bezpieczeństwa, bo podczas jednego ze spacerów napadł na niego... hodowany tam jelonek. Nie rozstrzygnięto, czy za karygodnym postępkiem zwierzątka stał imperialistyczny zgniły Zachód, ale na wszelki wypadek prezydenta zakwaterowano w willi „Julisin”, w której okna miały pancerne szyby. Dom wyposażono ponadto w dwa schrony.

„Ale te nawet najbardziej wyszukane środki ostrożności nie uchroniły Bieruta od ataków na jego życie, tak rzekomo umiłowanego przez masy. W r. 1953 wdarł się na dziedziniec Belwederu robotnik, który porąbał siekierą zastępującego mu drogę oficera ochrony i pobiegł do drzwi wejściowych, by zamordować Bieruta. Nie wiedział, że brama do pałacu otwiera się tylko elektrycznie. I padł zastrzelony przez ochronę. (...) Tak w praktyce wygląda więź z masami” – konstatował zgryźliwie Józef Światło[404].

Wiemy o jeszcze jednej próbie. Przekazana Dariuszowi Baliszewskiemu relacja jednego z oficerów ochrony mówi, że w roku 1947 lub 1948, podczas wyjazdu do Krakowa, był on świadkiem śmierci prezydenta w zamachu w Hotelu Paryskim. Dokonywał autopsji zwłok i był pewny, że nastąpił zgon. Jakże się zdziwił, gdy po kilkunastu minutach ukazał mu się Bierut... żywy, a przełożeni nakazali zapomnieć o wszystkim, co widział.

Śmierć prezydenta wywołała więc mnóstwo spekulacji. Ze wspomnień Józefa Cyrankiewicza wynika, że do Moskwy na obrady XX Zjazdu KPZR Bierut nie wyjeżdżał w pełni sił, a w toku obrad pojawiły się u niego „lekkie stany podgorączkowe”. Wówczas dwukrotnie zrezygnował z udziału w obradach i został w łóżku, aby pozbyć się przeziębienia. Wszystkie te objawy były pokłosiem problemów zdrowotnych sprzed kilku lat.

Już bowiem wczesną wiosną 1950 roku odczuł silny atak bólu w okolicach serca z klinicznymi objawami zawału. Kuracja trwała dziesięć tygodni. Bierut wrócił do zdrowia, ale czasami cierpiał na bezsenność „z krótkotrwałymi przemijającymi uczuciami ucisku w okolicach serca”. W sierpniu 1955 roku Bierut wyjechał na urlop do Nałęczowa, gdzie zachorował na grypę i „wówczas po raz pierwszy do dotychczasowych objawów dołączyły się obrzęki na nogach, silniejsze osłabienie ogólne”[405].

Nie bez trudności udało się członkom Biura Politycznego namówić Bieruta na dłuższą kurację, co wiemy dzięki relacji Cyrankiewicza: „We wrześniu ubiegłego roku w Moskwie na wspólnej konsultacji z najwybitniejszymi radzieckimi specjalistami, w wyniku wspólnej konsultacji towarzyszył Bierut zamiast na Krym,

gdzie wybierał się na urlop, zamiast podróży po Kanale Wołga–Don, gdzie zresztą mieliśmy, jak proponował, razem wyjechać, został skierowany do sanatorium w Barwisze, gdzie przebywał około 6 tygodni. Stwierdzono wówczas ogólną miążdżycę ze szczególnym zajęciem tętnic wieńcowych, przewlekłe zapalenie nerek, ogólne wyczerpanie”[406].

Dwa miesiące po powrocie do Polski, w połowie grudnia, Bierut zachorował na zapalenie płuc. Miało ono łagodny przebieg. Ale w połowie stycznia nastąpiło pogorszenie stanu nerek, które zostało jednak opanowane przez lekarzy. Nic więc nie stało na przeszkodzie wyjazdowi. 25 lutego, w ostatnim dniu XX Zjazdu, Bierut spotkał się ze studentami polskimi studiującymi w Moskwie. Atmosfera spotkania była ciepła, choć w sali było zimno: „(...) przywódca PZPR – co niezależnie od siebie podkreślali wszyscy moi rozmówcy – relacjonuje Jerzy Eisler – był przeziębiony i w sposób widoczny fizycznie niedysponowany (kaszel, katar, kichanie itd.)”[407].

Po powrocie do oddanego mu na siedzibę pałacyku poczuł się gorzej i położył się do łóżka. Następnego dnia również czuł się źle. Zdecydowano, że delegacja polska powróci do kraju, a Bierut zostanie w Moskwie do czasu poprawy zdrowia. Po zakończeniu obrad wydawało się, że nastąpiła wyraźna poprawa stanu jego zdrowia. 29 lutego temperatura ponownie wzrosła, do 39,8 stopnia, „nastąpiło prawostronne zapalenie płuc, czyli choroba z grudnia powtórzyła się”.

Według Cyrankiewicza: „(...) w wyniku zastosowanych wówczas zabiegów lekarskich i troskliwej opieki lekarzy gorączka ustępowała, objawy zapalenia płuc szybko mijały i 6 marca pacjent zaczął już wstawać z łóżka. Oczywiście (...) zarówno w czasie choroby, jak i w dniach po chorobie towarzyszył Bierut nie przerywał łączności z krajem. Odbierał pocztę, przeprowadzał długie rozmowy telefoniczne, powracał do myśli, że musi jak najszybciej wrócić do pracy. Rozmawiał z nami na wszystkie tematy dotyczące naszej pracy”[408].

Z Warszawy przylecieli osobisty lekarz Bieruta, profesor Mieczysław Fejgin, i Jakub Berman. O chorobie pierwszego sekretarza zawiadomiono też członków KC. Była to informacja najściślej tajna. Akurat w Moskwie przebywał również syn Bieruta, któremu umożliwiono spotkanie z ojcem. Dyskutowali nie tylko o sprawach osobistych, lecz także o sytuacji w Polsce, i Bierut nie wydawał się być nią zaniepokojony.

Rozmowę przerwało przybycie profesora Markowa opiekującego się chorym. Bierut miał się skarżyć na złe samopoczucie wywołane, jego zdaniem, jednym z podawanych leków. Syn Jan opuścił willę po zaśnięciu ojca, w późnych godzinach wieczornych. Przez cały czas była obecna Wanda Górską, ówczesna towarzysząca

życia Bieruta, a jednocześnie jego sekretarka, która już wcześniej została wezwana do Moskwy. W sobotę 10 marca Bierut po raz pierwszy wyszedł na piętnastominutową przechadzkę i czuł się dobrze. Następnego dnia przed południem nagle zasłabł i stracił przytomność.

„Tętno stało się ledwie wyczuwalne – relacjonował premier Cyrankiewicz – nastąpiły zabiegi lekarskie, po zabiegach te objawy ustąpiły, tętno i ciśnienie powróciły do normalnego stanu. O tym zasłabnięciu niedzielnym nie mieliśmy wiadomości w Warszawie. Wieczorem, jak stwierdzają lekarze i tow. Wanda Górską, zasnął po zażyciu środków nasennych. Nad ranem nagle wystąpiły objawy ciężkiej zapaści, która pomimo bardzo energicznego przeciwdziałania lekarzy, mimo stosowania wszystkich środków, jakimi rozporządza współczesna medycyna, trwała prawie cztery godziny, następnie tętno i ciśnienie poprawiły się. Wówczas to na skutek alarmujących wiadomości z Moskwy, o przebiegu drugiej połowy niedzieli i nocy, Biuro Polityczne delegowało tow. Bermana do Moskwy i postanowiło zawiadomić członków KC o chorobie towarzysza Tomasza.

W południe tego dnia towarzysz Tomasz czuł się już lepiej, w rozmowach z obecnymi żartował, elektrokardiogram jednak dokonany w tym dniu dwukrotnie – raz rano i drugi raz wieczorem – wskazał cechy zawału serca, ale stan, chociaż ciężki, nie wydawał się jeszcze groźny. (...) Katastrofa nastąpiła 35 minut po 23 w czasie przygotowań do zastrzyku dożylnego. Nagle nastąpił głośny oddech, utrata przytomności, zatrzymanie serca, a w 3 minuty później i oddechu. (...) Narastający, jak o tym mówi protokół lekarski sekcji zwłok, zakrzep tętnicy płucnej był decydującym elementem, który przesądził o zgonie”[409].

Nikita Chruszczow zwierzył się później jednemu z członków polskiego kierownictwa, Stefanowi Staszewskiemu, rozmówcy Teresy Torańskiej: „My byliśmy chorzy, ja byłem chory i Bierut był chory, leżeliśmy w łóżkach i stale do siebie telefonowaliśmy”. W tym miejscu Chruszczow z dumą podkreślił: „Tylko ja byłem wtedy twardy, a on słabowity, więc ja wyzdrowiałem, a on umarł, właśnie go pochowaliśmy”[410].

Natomiast już po pogrzebie w Warszawie Chruszczow miał powiedzieć Staszewskiemu: *Eto wy ubili Bieruta*. Nie podejrzewał chyba, że polscy „towarzysze” zamordowali go fizycznie, jego wypowiedź można było zrozumieć dwojako: albo raporty z Warszawy przyprawiły Bieruta o zawał serca, albo pod ich wrażeniem popełnił samobójstwo[411]. Wyobraźmy sobie scenę jak z filmu: w zaśnieżonym ogrodzie, może z widokiem na wieże kremlowskie (willa Bieruta była położona w centrum Moskwy), polityk, który poniósł klęskę, schorowany, chcąc uniknąć



publicznego osądu, popełnia samobójstwo...

Czy w ten sposób uratowałby resztkę swojego honoru? Wątpliwe, to byłaby tylko jeszcze jedna wersja teorii uczciwego komunisty. Krążące latami rozmaite wersje przyczyn i okoliczności śmierci Bieruta miały nikły związek z faktycznym przebiegiem wypadków. Rzeczywiście powikłania jako następstwo grypy, którą Bierut przechodził w Moskwie, nie wzbudziłyby zdziwienia w gronie najbliższych mu osób[412].

W przeciwieństwie do teorii, wedle której Bierut zmarł ze zmartwienia w wyniku sytuacji zaistniałej w Polsce po XX Zjeździe. Wersja taka pojawiła się stosunkowo szybko. Jednym z jej orędowników był Jerzy Putrament. Po raporcie Chruszczowa Bierut zrozumiał, że nadszedł czas decyzji. Ale „serce jego nie wytrzymało – konkludował naczelnny propagandzista partii – gdy przeczytał stenogram narady z trzeciego–czwartego marca, w którym gwałtownym, bezwzględny wystąpieniem towarzyszył brak jakiegokolwiek repliki”[413].

W innej wersji śmierć sekretarza partii była spowodowana wyrzutami sumienia po przeczytaniu referatu Chruszczowa. Krążyła ona w kręgach partyjnej inteligencji, ale jako pierwsza bodaj opublikowała ją w swoich wspomnieniach Alicja Zawadzka-Wetz: „Nie wykluczam faktu – pisała – że zabiła go wtedy świadomość generalnego bankructwa wiary w słuszność idei, której służył. Czyli – zabiła go własna uczciwość”[414].

Ale dlaczego Bierut miałby umrzeć dwa tygodnie po wstrząsie wywołanym jakoby przez referat Chruszczowa – nie sposób odpowiedzieć. Niemniej jednak wypada odnotować, że pojawiało się wiele tego typu opinii: „Wobec takiego stanu faktów ujawnionych przez Chruszczowa – wspominał Zygmunt Mycielski – niczym by było zgładzenie jednego więcej Bieruta, ale wystarczyło mu chyba usłyszeć szaleńcze przemówienie Chruszczowa, aby dostać najzwyczajniejszego w świecie ataku apoplektycznego”[415].

Tekst referatu wygłoszonego przez Chruszczowa na zamkniętym posiedzeniu zjazdu, przeznaczonym wyłącznie dla delegatów, Bierut otrzymał jako pierwszy sekretarz polskiej partii, tak jak inni pierwsi sekretarze. Mimo klauzuli o jego tajności udostępnił go Jakubowi Bermanowi. Ten przeczytał referat w noc przed odlotem do Warszawy i był, jak sam to określił, „pod wielkim wrażeniem tej lektury”. Zdziwiła go jednak reakcja Bieruta, który przecież „powinien był być na taki wstrząs uodporniony”[416].

Czy istotnie nomen omen gwoździem do trumny Bieruta było wystąpienie Nikity Chruszczowa, następcy Stalina na stanowisku I sekretarza KC Komunistycznej Partii

Związku Radzieckiego, tego się chyba nigdy nie dowiemy. Wanda Górska twierdzi, że Bierut wystąpienia nowego genseka „nie aprobował, po prostu się z nim nie zgadzał”. W tym samym czasie, o czym informowano go na bieżąco, w Warszawie, na kolejnej naradzie aktywu, „doszło do szalonego prania”, podczas którego nie oszczędzano już nikogo. Osłabiony przebytą niedawno chorobą zapadł – zdaniem sowieckich lekarzy – na „coś na pograniczu grypy i zapalenia płuc”[417].

W myśl jeszcze innej wersji I sekretarz KC PZPR miał zostać zamordowany przez „towarzyszy radzieckich”, gdyż stawał się dla nich niewygodny na „nowym etapie”, a przecież nie tylko on, lecz wszyscy bez wyjątku jego następcy (choć w różnym stopniu i zakresie) musieli liczyć się ze zdaniem gospodarzy Kremla i konsultować z nimi rozmaite posunięcia czy decyzje. Szeptano więc, że era Bieruta się skończyła i Chruszczow chciał mieć kogoś innego na czele PZPR[418].

Najbardziej sensacyjna, choć mało wiarygodna pogłoska mówiła, jakoby „Tomasza” zastrzelił na polecenie swych mocodawców członek Biura Politycznego i zarazem sowiecki agent Franciszek Mazur[419]. Podobno ostatnimi ludźmi, z którymi rozmawiał Bierut, był właśnie on i Marian Naszkowski. 11 marca pojawili się przy chorym, ale wracającym do zdrowia i wybierającym się właśnie na spacer Bierucie.

„Istnieje niesprawdzona wersja, że po wygrzebaniu się z grypy Bierut wyszedł do parku w obstawie dwóch goryli – pisał Jan Nowak-Jeziorański. – Usiadł na ławce i kazał im odejść na pół godziny. Gdy wrócili, zastali go nieżywego. Od sprowadzonego z Warszawy naczelnego lekarza kliniki rządowej, dr. Fejgina, zażądano podpisania protokołu sekcji zwłok, przy której nie był obecny. Stąd rozeszły się pogłoski, że Bierut nie zmarł śmiercią naturalną”[420]. Byłby to więc udany, po wielu próbach, zamach na życie Bieruta.

Hipotezę, jakoby Bierut był sowieckim Hansem Klossem, wysunął w rozmowach z dziennikarzem Bohdanem Rolińskim znakomicie znający kulisy PRL-u były premier Piotr Jaroszewicz, powołując się na wiadomości uzyskane od generała Karola Świerczewskiego, głęboko wprowadzonego w działalność sowieckich tajnych służb (przed wojną ich wysokiego rangą oficera). Trudność weryfikacji tej sensacyjnej historii polega na tym, że autor opublikował ją bez jakiegokolwiek formy autoryzacji już po tragicznej śmierci Jaroszewicza, którą zresztą pośrednio z całą sprawą wiąże[421].

Syn Jan odrzucał teorie o umyślnie spowodowanej śmierci ojca. Twierdził nawet, że w Warszawie znalazłyby się skuteczniejsze lekarstwa i zastosowano by nowocześniejsze metody leczenia. Ale i ta hipoteza jest trudna do udowodnienia.

Tym trudniejsza, że wówczas nikt, nie wyłączając syna, nie zaproponowałby przewiezienia chorego Bieruta do Warszawy. Jest bardzo prawdopodobne, że sam zainteresowany odrzuciłby podobną propozycję. Nikt nie był na tyle odważny, by zdobyć się na demonstracyjną manifestację nieufności wobec sowieckiej medycyny, a tym samym zanegowanie wyższości sowieckiego systemu[422].

Na marginesie można zwrócić uwagę, że i później w Związku Radzieckim – choć niekoniecznie w Moskwie – umierali w nie zawsze jasnych okolicznościach komunistyczni liderzy oraz przywódcy zaprzyjaźnionych państw. Mowa o zgonie Georgija Dymitrowa, który zmarł po zakończeniu XIX Zjazdu KPZR w Moskwie w 1949 roku. Z kolei w 1953 roku po powrocie ze stolicy Kraju Rad odszedł z tego świata Klement Gottwald.

Można tutaj również przypomnieć, że wśród „pechowców” znajdował się choćby długoletni sekretarz generalny Francuskiej Partii Komunistycznej Maurice Thorez, który zmarł 11 lipca 1964 roku w czasie rejsu statkiem po Morzu Czarnym, premier Indii Lal Bahadur Shastri, zmarły w Taszkencie 11 stycznia 1966 roku, oraz pierwszy prezydent niepodległej Angoli Antonio Agostinho Neto, który zmarł w Moskwie 10 września 1979 roku[423].

Informacja o śmierci Bieruta dotarła do Warszawy zaledwie kilkanaście minut po jego zgonie. Zdziwienie budzi fakt, że wiadomość ta została ogłoszona w Polsce z wielogodzinnym opóźnieniem. „Wiść jest oburzona, że nie informowano «narodu» o chorobie Bieruta – pisała Maria Dąbrowska – lecz od razu ogłoszono jego śmierć. Lud – jak się okazuje – uważał Bieruta nie za głowę partii, lecz za głowę państwa. Chłopi mówią; «Jak Pieck zachorował czy jaki Francuz, to co dzień były wiadomości o jego zdrowiu. A jak głowa naszego państwa chora, to nam się nic nie mówi? Naród chce wiedzieć». Pierwszą osobą, która mnie powiadomiła o śmierci Bieruta, była stara Franciszka, pokojówka jeszcze Radziwiłłowej. Przyniosła mi bluzkę od prania i wieszając ją w szafie rzekła:

– Pani wie? Podobno umarł nasz prezydent.

– Nie, nie wiem. Jaki prezydent?

– No, prezydent państwa, Bierut.

A dziś dowiaduję się, że po wsiach tworzy się już legenda o Bierucie”[424].

Czego władza się bała? – samej siebie, a przede wszystkim – społeczeństwa. I nic dziwnego, bo ludzie nie chcieli wierzyć oficjalnym komunikatom medycznym i zapewnieniom lekarzy. Niewątpliwie fakt, że Bierut zmarł w Moskwie w dość zastanawiających okolicznościach, nie tylko rodził przypuszczenie, że został zamordowany, lecz także sprzyjał narodzinom legendy, co potwierdza zapis Celiny

Budzyńskiej:

„Stałam w pobliżu trumny – wspominała – otwartej, głowa była widoczna, ciało osłonięte czerwonym pokryciem. Podchodzą jakieś starsze niewiasty i każda kolejno uchyla to pokrycie, odsłania buty. Zdziwiona – pytam, o co im chodzi, tłumaczą, że ponoć Ruski wyrzuciły Bieruta przez okno na bruk i ma strzaskane nogi, więc one to sprawdzają. Wtedy uświadamiam sobie, że ta pielgrzymka do trumny Bieruta – to pierwsza w Polsce Ludowej antyradziecka demonstracja”[425].

Przez półtora dnia przed trumną defilowali zwykli obywatele, w większości mieszkańcy Warszawy i jej okolic. Kolejka była olbrzymia, ocenia się, że przyszło co najmniej sześćdziesiąt tysięcy osób. Ta masowa, w dużej mierze istotnie spontaniczna defilada wynikała z atmosfery tamtych dni. Pogłoski o zamordowaniu Bieruta współbrzmiały z zakorzenioną niechęcią do Rosji i Rosjan. Wiele osób przyszło więc sprawdzić, czy widoczne są ślady „zbrodni”.

Nie wszyscy defilowali w atmosferze przygnębienia i smutku, skoro „w tłoku, jaki panował w holu KC, fotoreporterowi, Sławnemu, jakiś żałobnik ukradł torbę ze sprzętem fotograficznym. Pewnie z rozpaczy” – ironizował Mieczysław F. Rakowski[426]. Z kolei Karol Estreicher odnotował pod datą 12 i 13 marca:

„Żalu u ludzi nie zauważyłem – raczej ciekawość, kto przyjdzie po Bierucie. (...) Wrażenie z powodu śmierci małe, natomiast olbrzymia ciekawość u wszystkich. Tłumy pchają się, żeby zobaczyć ciało. Jakaś psychoza... Sympatii nie ma... Ale raczej chęć przekonania się, czy to on, on naprawdę... (...) Myślę, że koniec Bieruta był taki, na jaki zasłużył. Wysługiwał się Rosji. Był agentem rosyjskiej policji, nie chronił Polski, lecz posłusznie robił, co mu kazano. Kazano umrzeć – umarł”[427].

Tak skończył człowiek, za którego rządów stracono około 2500 ludzi, nie mówiąc o dziesiątkach tysięcy aresztowanych i więzionych, setkach tysięcy szykanowanych, milionach zniewolonych. Trudno się zgodzić, że taki prezydent działał w interesie swojego narodu. „Trzeba rzadkiej wierności sługi – ironizowała Maria Dąbrowska – aby umrzeć w tym samym miejscu i miesiącu co jego pan. Łza żadna po tym człowieku z polskich serc nie spłynie. Choć nie wiadomo, jak go historia osądzi”[428].

Pomyliła się. Łza, i to niejedna, z polskich serc popłynęła, natomiast Historia osądziła go surowo. Zbieg okoliczności spowodował, że tego samego dnia prymas Stefan Wyszyński, wciąż uwięziony w Komańczy, zanotował również swoje wrażenia i wydał sąd o Bolesławie Bierucie: „Umarł na obczyźnie, w Moskwie – tam, gdzie zgodził się na oddanie jednej trzeciej terytorium Polski”[429].

Na ulicach polskich miast od razu pojawiły się niewybredne żarty na temat jego śmierci: „Zjadł ciastko z Kremlem” czy „Pojechał dumnie, a wrócił w trumnie” – to

tylko przykłady licznych komentarzy. „Charakterystyczna reakcja społeczeństwa: trochę lekceważących uśmieszków, ale na ogół absolutna obojętność – odnotował w swoim dzienniku pod datą 13 marca Jan Józef Szczepański. – Nawet dla nienawiści to był ktoś zbyt obcy. Kiedy umierał Piłsudski, naród przeżywał to jako wielkie wydarzenie. Ci, co go nienawidzili, też przeżywali to jako moment dziejowy. Tu widzi się wyraźniej niż przy jakiegokolwiek innej okazji, że nie było żadnej więzi. Że to sprawa nie nasza. Śmierć funkcjonariusza”<sup>[430]</sup>.

To dlatego śmierć I sekretarza KC PZPR ulica skomentowała żartobliwym powiedzonkiem: „Pojechał w futerku, a wrócił w kufierku”. Czy Sowieci rzeczywiście usunęli niewygodnego pionka – tego chyba nigdy się nie dowiemy.

---

<sup>395</sup> Władysław Bieńkowski – polski publicysta, socjolog, polityk, od 1946 do 1949 roku kierownik propagandy KC PPR, w latach 1956–1959 minister oświaty w rządzie Józefa Cyrankiewicza.

<sup>396</sup> E. Łapińska, *Bierut – jaki był naprawdę*, [w:] *Białe plamy*. 3, Warszawa 1989, s. 159–160.

<sup>397</sup> P. Lipiński, *Bolesław Niejasny. Opowieść o Bolesławie Bierucie, Forreście Gumpie polskiego komunizmu*, Warszawa 2001, s. 10.

<sup>398</sup> J. Światło, *Za kulisami bezpieki i partii*, Białystok [bez daty wydania], s. 10.

<sup>399</sup> R. Conquest, *The Great Terror, Stalin's Purge of the Thirties*, Michigan 1968, s. 584.

<sup>400</sup> R. Zambrowski, *Dziennik*, „Krytyka”, 1980, nr 6, s. 66.

<sup>401</sup> P. Osęka, *Towarzysze na celowniku*, „Newsweek Historia”, 2015, nr 2, s. 43.

<sup>402</sup> J. Światło, op. cit., s. 13.

<sup>403</sup> *Sekrety PRL-u*, praca zbiorowa, Warszawa 2011, s. 60.

<sup>404</sup> J. Światło, op. cit., s. 14.

<sup>405</sup> J. Eisler, *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR*, Warszawa 2014, s. 91.

<sup>406</sup> A. Garlicki, *Z tajnych archiwów*, Warszawa 1993, s. 222.

<sup>407</sup> J. Eisler, op. cit., s. 88.

<sup>408</sup> A. Garlicki, op. cit., s. 223.

<sup>409</sup> Ibidem, s. 223–224.

<sup>410</sup> Cyt. za: M. Zaremba, *Pojechał dumnie, wrócił w trumnie*, „Polityka”, 2006, nr 10, s. 74.

- 411 J. Nowak-Jeziorański, *O proces Bolesława Bieruta i współników*, „Zeszyty Historyczne”, 1989, z. 88, s. 77.
- 412 G. Pomian, *Śmierć Bolesława Bieruta*, „Zeszyty Historyczne”, 2000, z. 134, s. 199.
- 413 J. Putrament, *Pół wieku. Poślizg*, Warszawa 1987, s. 14.
- 414 A. Zawadzka-Wetz, *Refleksje pewnego życia*, Paryż 1967, s. 45.
- 415 Z. Mycielski, *Dziennik 1950–1959*, Warszawa 2001, s. 195.
- 416 T. Torańska, *Oni – część 3. Jakub Berman*, Warszawa 2012, s. 179.
- 417 P. Wieczorkiewicz, J. Błażejowska, *Przez Polskę Ludową na przelaj i na przekór*, Poznań 2011, s. 51.
- 418 J. Eisler, op. cit., s. 89.
- 419 A. Szwarc, M. Urbański, P. Wieczorkiewicz, op. cit., s. 692.
- 420 J. Nowak-Jeziorański, op. cit., s. 77.
- 421 P. Wieczorkiewicz, J. Błażejowska, op. cit., s. 46.
- 422 G. Pomian, op. cit., s. 200.
- 423 J. Eisler, op. cit., s. 88.
- 424 M. Dąbrowska, *Dzienniki*, t. 4, Warszawa 1988, s. 253.
- 425 C. Bydżyńska, *Strzępy rodzinnej sagi*, Warszawa 1997, s. 475.
- 426 M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1958–1962*, Warszawa 1998, s. 87.
- 427 K. Estreicher jr, *Dziennik wypadków, tom II, 1946–1960*, Kraków 2002, s. 440–441.
- 428 M. Dąbrowska, *Dzienniki powojenne. 1955–1959*, Warszawa 1996, s. 88.
- 429 S. Wyszyński, *Zapiski więzienne*, Paryż 1982, s. 223.
- 430 J.J. Szczepański, *Dziennik tom I: 1945–1956*, Kraków 2009, s. 600–601.



Plemiona polskie



*Postrzyżyny Mieszka*





*Mieszko kruszy w swym państwie bałwany pogańskie*



Jeden z najwspanialszych przykładów wikingińskiego szutnictwa – okręt pogrzebowy z norweskiego Oseberg



Wikingowie słynęli ze swej waleczności – współczesna inscenizacja



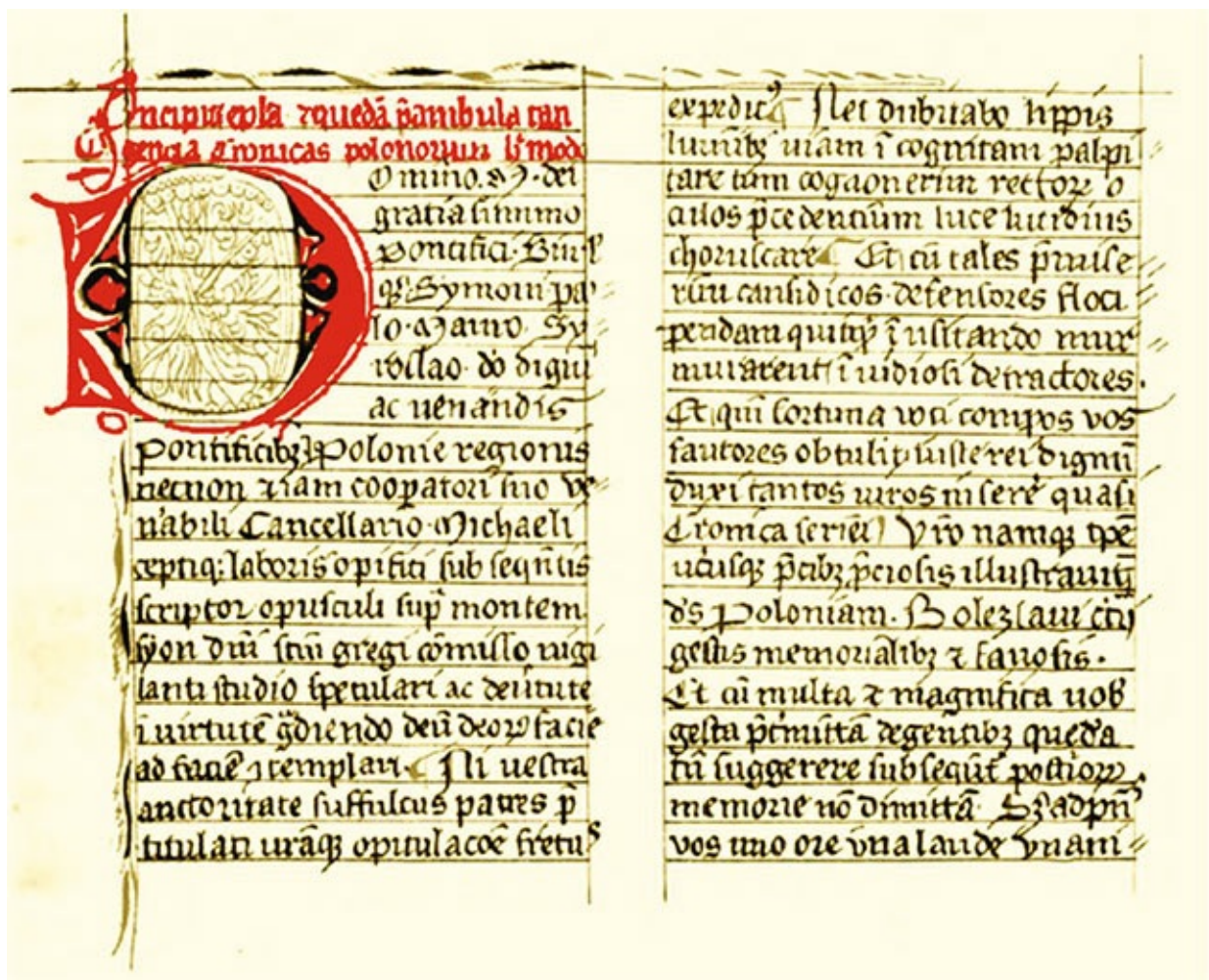
Łódź wikingów z anglosaksońskiej księgi



*Zaprowadzenie chrześcijaństwa – obraz Jana Matejki*



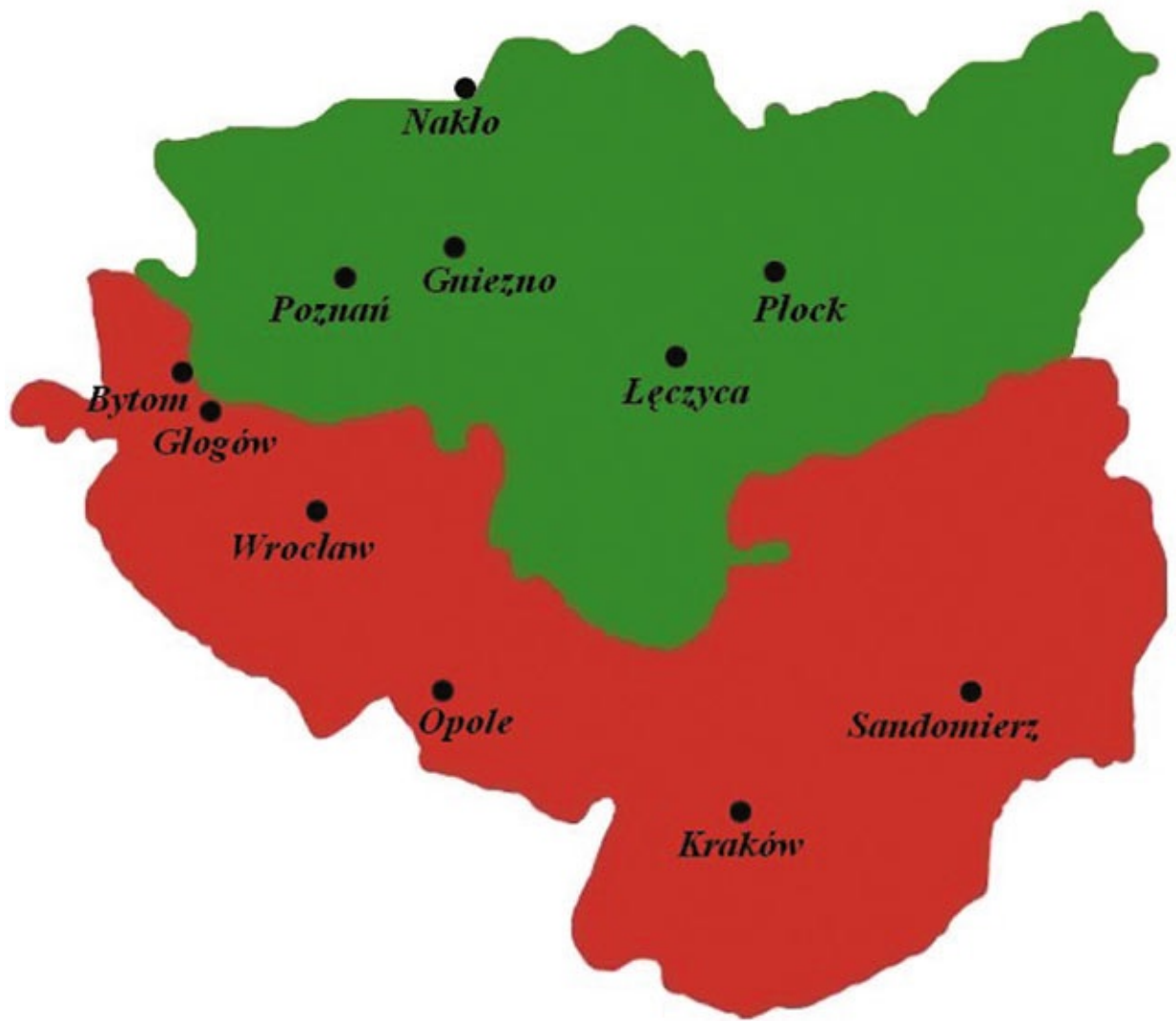
Kościół i klasztor św. Mikołaja na wyspie Lido koło Wenecji. Według zwolenników hipotezy weneckiej z tym miejscem związany był Gall Anonim, zanim przybył do Polski



Kronika polska, najstarszy zachowany rękopis, tak zwany Rękopis Zamoykich z XIV wieku



Bolesław III Krzywousty według Jana Matejki



Mapa podziału Księstwa Polskiego w 1102 roku po śmierci Władysława I Hermana





Drzeworyt z *Kroniki polskiej* Marcina Bielskiego (1597) przedstawiający bitwę na Psim Polu



Pomorze i Prusy do 1125 – mapa z 1854 roku, sporządzona przez kartografa Karla von Sprunera



*Chrzest Władysława III w 1425 roku – obraz Jana Matejki*



*Bitwa pod Warną – obraz Stanisława Chlebowskiego*



Fragment obrazu Jana Matejki *Bitwa pod Warną*



Władysław Warneńczyk – wizja Jana Matejki



Fragment obrazu Januarego Suchodolskiego – *Śmierć Władysława pod Warną*



Obraz *Spotkanie św. Joachima ze św. Anną* znajdujący się w Muzeum Sztuki Sakralnej w Funchal – ponoć przedstawia Warnieńczyka z żoną senhorinhą Annes





Cabo Girao, gdzie miał zginąć Władysław Warneńczyk



Fragment symbolicznego grobowca Władysława Warneńczyka na Wawelu



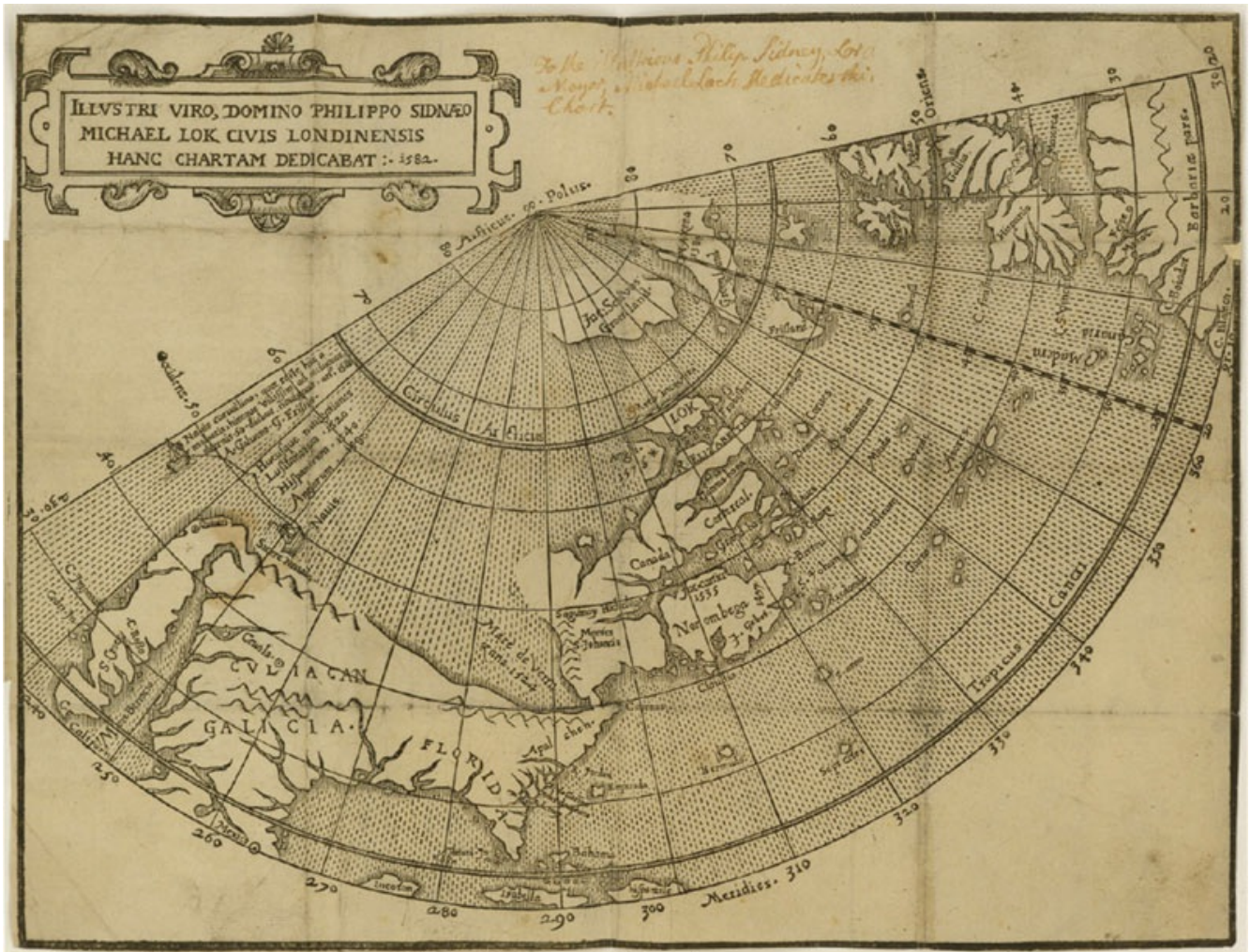
Jan z Kolna na obrazie Arthura Szyka



Jan z Kolna – posąg na Wałach Chrobrego w Szczecinie



Mapa Vinlandu



Original in the John Carter Brown Library at Brown University

Mapa Michaela Loka z nazwiskiem Scolvusa



Posąg Krzysztofa Kolumba na Maderze



Pomnik odkrywców w Lizbonie





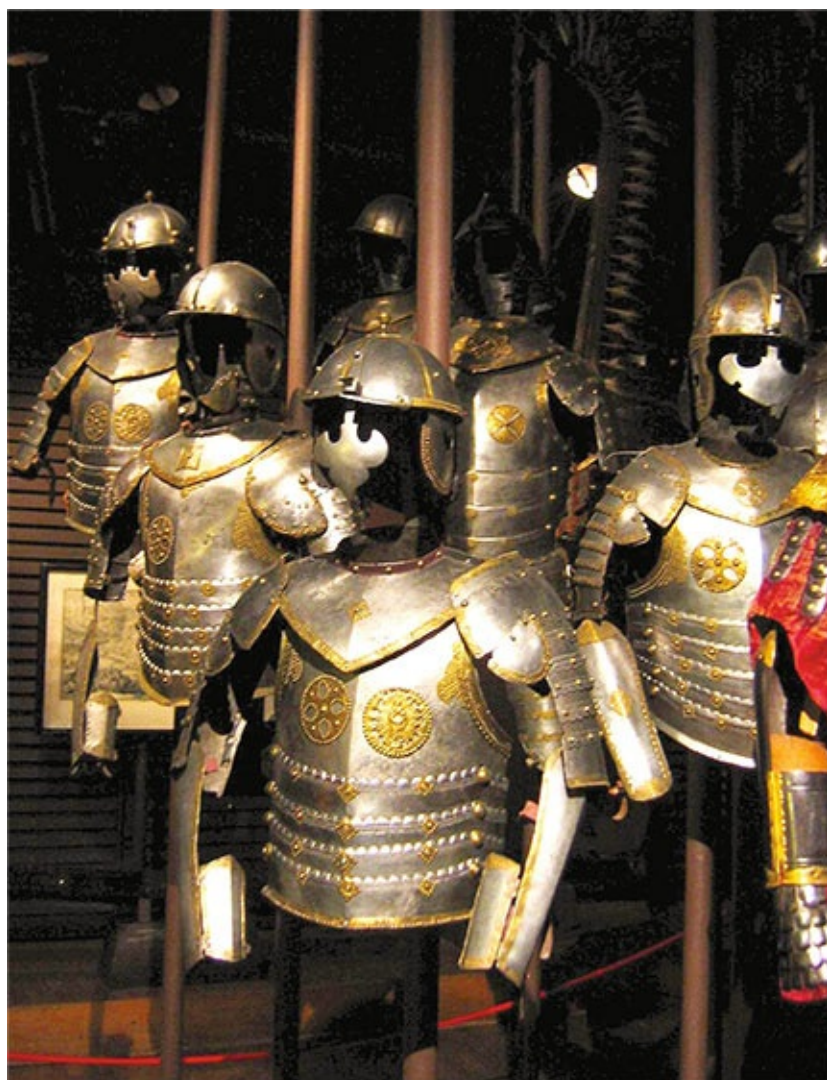
Husarz na obrazie Wacława Pawliszaka



*Skrzydłata jazda tatarska w bitwie ze Szwedami podczas potopu w 1656 roku – obraz Johanna Philipa Lemkego z 1684 roku*



*Bitwa pod Kłuszynem – atak husarii na obrazie Szymona Boguszowicza z 1620 roku*



Zbroje husarskie – Muzeum Wojska Polskiego



Koń husarski – *Encyklopedia staropolska ilustrowana* Zygmunta Glogera



Kirasjerzy sascy Augusta II Mocnego wyekwipowani po husarsku – obraz *Kampament na polach czerniakowskich i królikarni w 1732 roku* Johanna Christiana Mocka



*Bitwa pod Kircholmem – obraz Wojciecha Kossaka*



*Chorągiew husarska w bitwie pod Kircholmem – obraz Pietera Snayersa z 1630 roku*



Husarz Paweł Krajewski przed królem Karolem IX w przededniu bitwy pod Kircholmem – detal anonimowego obrazu na podstawie rysunku Juliusza Kossaka





*Król Węgier Stefan I Święty przekazuje Świętemu Emerykowi relikwie Krzyża Świętego, fresk Macieja Reichana z 1782 roku w kaplicy Oleśnickich*



Klasztor pod wezwaniem Świętego Krzyża przed odbudową wieży



Krypta grobowa kaplicy Oleśnickich – domniemane zwłoki księcia Jeremiego Wiśniowieckiego



Bazylika mniejsza Świętej Trójcy na Świętym Krzyżu



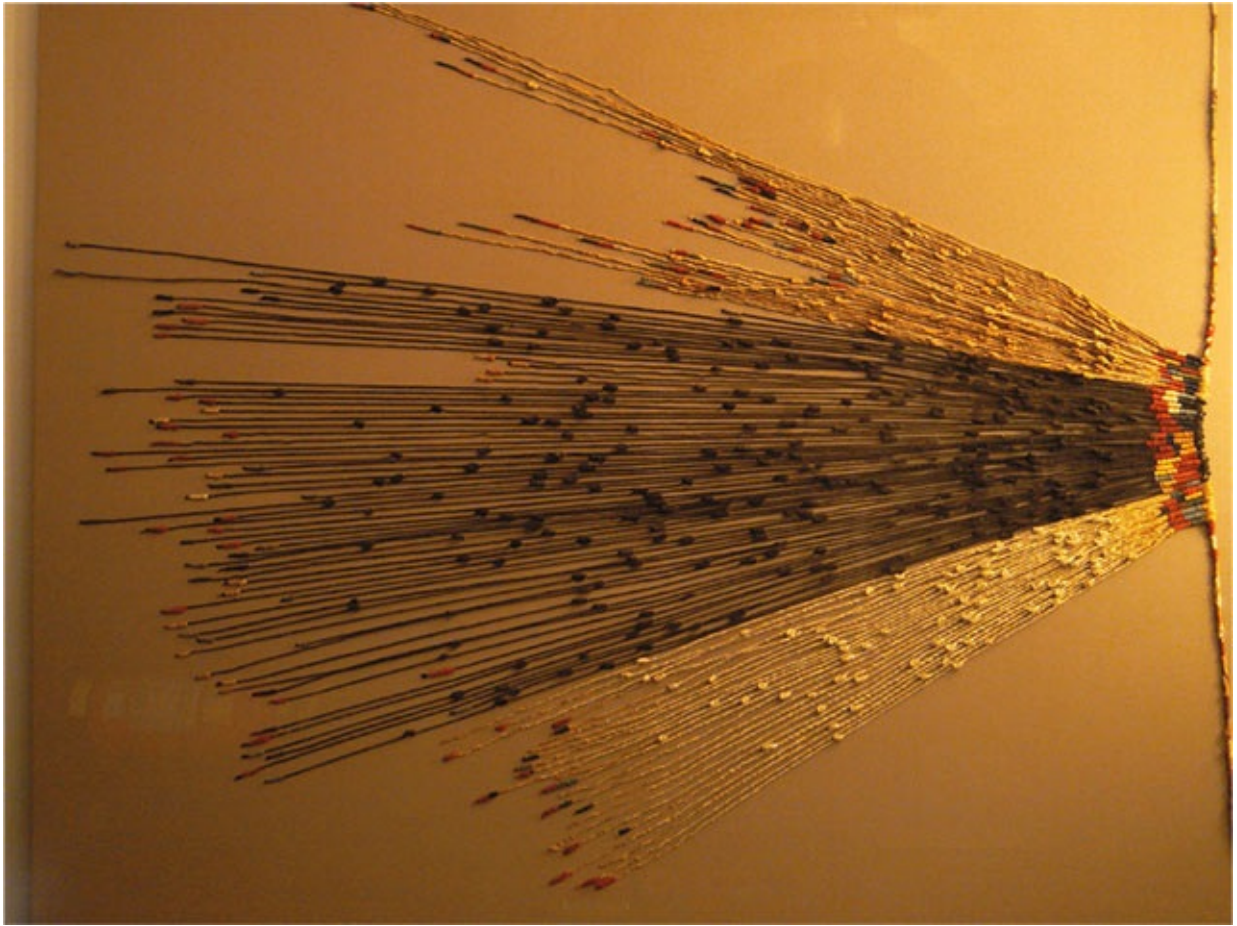
Czy to jest ciało księcia Jeremiego Wiśniowieckiego?



Tupac Amaru II



José Gabriel Condorcanqui, potomek ostatniego króla Inków Tupaca Amaru I



Pismo węzłkowe kipu





Wszystkie znane kipu były zrobione ze sznurka, nigdy z rzemienia



Jedno z nielicznych zdjęć Andrzeja Benesza



Zamek w Niedzicy



Zbiornik Sromowski i Niedzica. U góry Pieniny Spiskie: Hombark i Cisówka



Czy takie skarby ukryto w Niedzicy?



*Napoleon w stroju koronacyjnym – obraz z 1805 roku François Gérauda*



*Śmierć ks. J. Poniatowskiego w Elsterze – rycina Jana Piotra Norblina*



*Niech żyje Cesarz!* – na obrazie Wojciecha Kossaka



*Wejście wojsk francuskich do Warszawy – rycina z początków XIX wieku*



Grenadier i saper Księstwa Warszawskiego na obrazie Januarego Suchodolskiego z 1822 roku





*Szturm na mury Saragossy – obraz Januarego Suchodolskiego z 1870 roku*



Książę Józef Poniatowski na obrazie z początku XIX wieku

# PROKLAMACYA.

Frederyk August  
z Bożey Łaski Król Saski Xiążę Warszawski  
etc. etc.

Austria wypowiedziała wojnę Najjaśnieyszemu Cesarzowi Francuzów Królowi Włoskiemu, pod czczym pozorem zastonienia się od najazdu. Woysko iey wkroczyło w Xięstwo Warszawskie. Dowódzca iego rozrzucił ogłoszenie obraźliwe dla Naszego Wielkiego Sprzymierzeńca, Waszego Wskrziesiciela, dążące nadwątlić waszą wierność, i zagrażające wam nowym iarzem. Lecz próżnym będzie ten odrażający zamiar.

Polacy! Wielki NAPOLEON zwrócił Nas do praw słusnie nabytych przez powszechne Narodu życzenia. Od Niego powzieliście wszystko: wasze iestestwo, Konstytucyą i prawa. Nigdy ten potężny Monarcha dzieła swojego nieodstąpi, które z upodobaniem ukształciwszy, zawarował ie z potężnym Swoim Sprzymierzeńcem.

Bierzcie się tedy do broni zemścić się napaści Waszego Wskrziesiciela, Króla was kochającego i waszych swobód. Pośpieszajcie na obronę waszych siedlisk. Już Bohatyr niezwyciężony na czele woysk swoich nowe im gotwie tryumfy, a waszego najazdu pomstę. Wkrótce naiezdne woyska piérzchające uyrzycie. Skutek odwagi i ofiar waszych stanie się niezawodny, sława wasza nieśmiertelna, pomyslność tym więcéy ustalona.

w Lipsku dnia 25 Kwiecinia 1809.

podpisano FREDERYK AUGUST  
przez Króla

Minister Sekretarz Stanu  
*Stanisław Breza.*

Proklamacja wzywająca do walki z Austrią po stronie Napoleona



Most Kierbedzia w Warszawie obsadzany przez 10 pułk piechoty podczas zamachu majowego w 1926 roku – „Światowid” 1926, nr 21 z 21 maja



Prezydent Ignacy Mościcki i Herman Göring podczas polowania w Białowieży



Generał Tadeusz Jordan Rozwadowski



Generał Włodzimierz Ostoję-Zagórski



Marszałek Edward Rydz-Śmigły

WOJSKOWY SĄD OKRĘGOWY № 1.  
W WARSZAWIE.

Warszawa, dn. 6 sierp. 1927  
№ KO 256/26

NAKAZ ZWOLNIENIA.

Szerzeń, nazwisko i imię:  
Generał brygady Zagórski Włodzimierz

Przynależność taktyczna:

Miejsce urodzenia: S. Martii

Data urodzenia: 21. lip. 1882

Obwiniony o art. 639, 636 uz I i II

winien być bezzwłocznie uwolniony z aresztu śledczego i przeniesiony na ośrodek transportowy.

Do  
Wojsk. Więzienia Śledczego № 1  
w Warszawie  
włoue



Sędzią śledczym  
Józef W. S. O I  
Armiński

D. Armiński  
płk. R. S.

Nakaz zwolnienia generała Zagórskiego z aresztu



**LIST GOŃCZY.**

**LIST GOŃCZY.**



**Zagórski Włodzimierz, gen. bryg.**

Nr. 33008-IV-27. Zagórski Włodzimierz, gen. bryg., ur. w 1882 r. w St. Martin Laurosque we Francji, przed wstąpieniem do wojska zam. w Warszawie, ofic. zawod., b. szef. dep. IV M. S. Wojsk., wzrost średni, szaryn, twarz owalna, oczy piwne, osk. z § 69 k. k. w., posz. przez Wojsk. Sąd Okr. w Warszawie, Nr. Ko. 1042-27 z dn. 13. 8. 27 r. — Ofic. Śl. Dyw. Żand. nr. 1 w Warszawie, nr. 603-27. Inw. z dn. 24. 8. 27 r. — W razie schwytania należy go odstawić za pośredn. najbliż. władzy wojsk. do powyż. Sądu.

**OTRZYMUJĄ:** Policja Państwowa: wszystkie jednostki do posterunków włączenie. Żandarmerja wojskowa, władze sądowe wojskowe.

List gończy za generałem Włodzimierzem Zagórskim



Prezydent Ignacy Mościcki wręcza buławę marszałkowską Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu



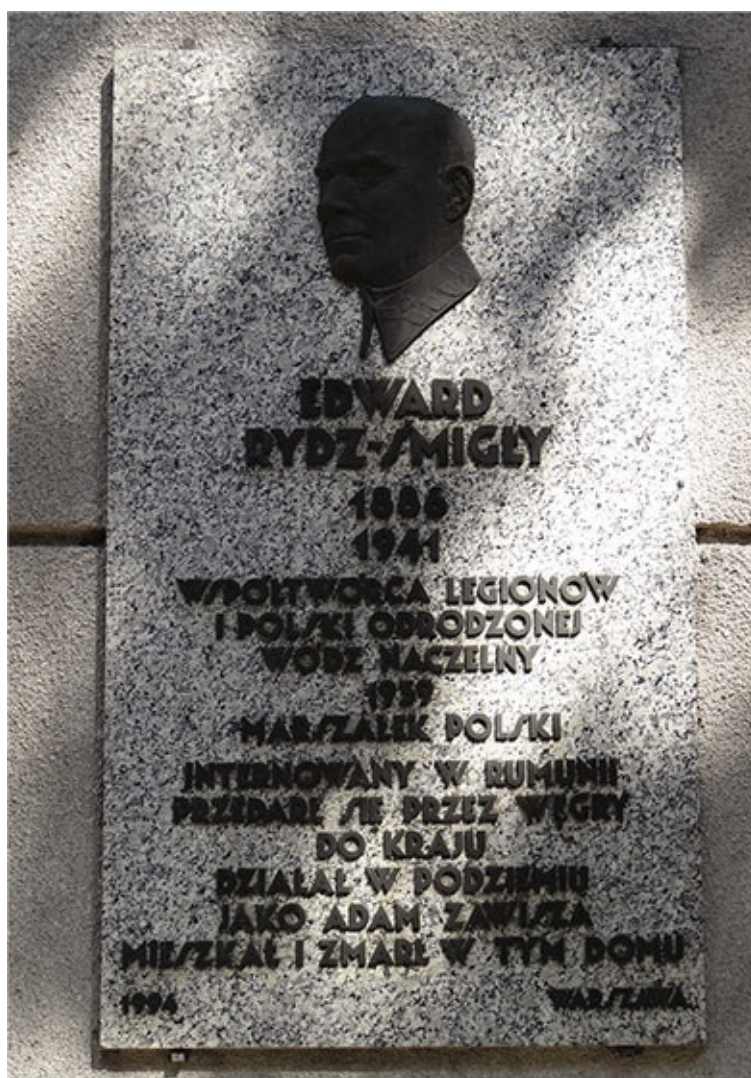
Przemówienie Edwarda Rydza-Śmigłego w Krakowie, 6 sierpnia 1939 roku



Suchá Hora, miejsce przekroczenia granicy przez marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego w 1941 roku



Grób Marszałka Polski Edwarda Rydza-Śmigłego



Tablica na budynku przy ulicy Sandomierskiej 18 w Warszawie upamiętnia Edwarda Rydza-Śmigłego i miejsce jego zamieszkania



Edward Rydz-Śmigły z żoną Martą Thomas podczas wyborów do sejmu w 1938 roku



Pierwszy gospodarz Polski Ludowej na propagandowym plakacie





Bierut wśród dzieci w dniu swoich urodzin



Gazety codzienne z 13 marca 1956 roku – nazajutrz po śmierci Bieruta



Grób Bolesława Bieruta na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie

# Wykaz ilustracji

1. Plemiona polskie – aut. Poznaniak, CC BY-SA 3.0
2. *Postrzyżyny Mieszka* – Jan Kazimierz Wilczyński, *Album Wileńskie*, CC BY-SA 3.0
3. *Mieszko kruszy w swym państwie bałwany pogańskie* – Jan Kazimierz Wilczyński, *Album Wileńskie*, CC BY-SA 3.0
4. Jeden z najwspanialszych przykładów wikińskiego szkutnictwa – okręt pogrzebowy z norweskiego Oseberg
5. Wikingowie słynęli ze swej waleczności – współczesna inscenizacja, fot. Tone, CC BY-SA 2.5
6. Łódź wikingów z anglosaksońskiej księgi
7. *Zaprowadzenie chrześcijaństwa* – obraz Jana Matejki; E. Suchodolska, M. Wredne, *Jana Matejki Dzieje cywilizacji w Polsce*, Warszawa 1998, CC BY-SA 3.0
8. Kościół i klasztor św. Mikołaja na wyspie Lido koło Wenecji. Według zwolenników hipotezy weneckiej z tym miejscem związany był Gall Anonim, zanim przybył do Polski – fot. Didier Descouens, CC BY-SA 4.0
9. *Kronika polska*, najstarszy zachowany rękopis, tak zwany *Rękopis Zamoyskich* z XIV wieku
10. Bolesław III Krzywousty według Jana Matejki, *Poczet królów i książąt polskich*
11. Mapa podziału Księstwa Polskiego w 1102 roku po śmierci Władysława I Hermana, CC BY-SA 3.0
12. Drzeworyt z *Kroniki polskiej* Marcina Bielskiego (1597) przedstawiający bitwę na Psim Polu
13. Pomorze i Prusy do 1125 – mapa z 1854 roku, sporządzona przez kartografa Karla von Sprunera

14. *Chrzest Władysława III w 1425 roku* – obraz Jana Matejki
15. *Bitwa pod Warną* – obraz Stanisława Chlebowskiego
16. Fragment obrazu Jana Matejki *Bitwa pod Warną*
17. Władysław Warneńczyk – wizja Jana Matejki
18. Fragment obrazu Januarego Suchodolskiego – *Śmierć Władysława pod Warną*
19. Obraz *Spotkanie św. Joachima ze św. Anną* znajdujący się w Muzeum Sztuki Sakralnej w Funchal – ponoć przedstawia Warneńczyka z żoną senhorinhą Annes
20. Cabo Girao, gdzie miał zginąć Władysław Warneńczyk
21. Fragment symbolicznego grobowca Władysława Warneńczyka na Wawelu – fot. Cezary Piwowarski, CC BY-SA 3.0
22. Jan z Kolna na obrazie Arthura Szyka
23. Jan z Kolna – posąg na Wałach Chrobrego w Szczecinie – fot. Mateusz War, CC BY-SA 3.0
24. Mapa Vinlandu
25. Mapa Michaela Loka z nazwiskiem Scolvusa
26. Posąg Krzysztofa Kolumba na Maderze
27. Pomnik odkrywców w Lizbonie
28. Husarz na obrazie Wacława Pawliszaka
29. *Skrzydłata jazda tatarska w bitwie ze Szwedami podczas potopu w 1656 roku* – obraz Johanna Philippa Lemkego z 1684 roku
30. *Bitwa pod Kłuszynem* – atak husarii na obrazie Szymona Boguszowicza z 1620 roku
31. Zbroje husarskie – Muzeum Wojska Polskiego – fot. Maciej Szczepańczyk, CC BY-SA 2.5
- Rys. 32. Koń husarski – *Encyklopedia staropolska ilustrowana* Zygmunta Glogera
33. Kirasjerzy sascy Augusta II Mocnego wyekwipowani po husarsku – obraz

*Kampament na polach czerniakowskich i królikarni w 1732 roku* Johanna Christiana Mocka

34. *Bitwa pod Kircholmem* – obraz Wojciecha Kossaka
35. *Chorągiew husarska w bitwie pod Kircholmem* – obraz Pietera Snayersa z 1630 roku
36. Husarz Paweł Krajewski przed królem Karolem IX w przededniu bitwy pod Kircholmem – detal anonimowego obrazu na podstawie rysunku Juliusza Kossaka
37. *Król Węgier Stefan I Święty przekazuje Świętemu Emerykowi relikwie Krzyża Świętego*, fresk Macieja Reichana z 1782 roku w kaplicy Oleśnickich – fot. Maciej Szczepańczyk, CC BY-SA 4.0
38. Klasztor pod wezwaniem Świętego Krzyża przed odbudową wieży
39. Krypta grobowa kaplicy Oleśnickich – domniemane zwłoki księcia Jeremiego Wiśniowieckiego – fot. Agnieszka Parkitna, CC BY-SA 2.5
40. Bazylika mniejsza Świętej Trójcy na Świętym Krzyżu – fot. Kroco245, CC BY-SA 3.0
41. Czy to jest ciało księcia Jeremiego Wiśniowieckiego?
42. Tupac Amaru II
43. José Gabriel Condorcanqui, potomek ostatniego króla Inków Tupaca Amaru I
44. Pismo węzełkowe kipu
45. Wszystkie znane kipu były zrobione ze sznurka, nigdy z rzemienia
46. Jedno z nielicznych zdjęć Andrzeja Benesza
47. Zamek w Niedzicy – fot. Klearchos Kapoutsis, CC BY-SA 2.0
48. Zbiornik Sromowski i Niedzica. U góry Pieniny Spiskie: Hombark i Cisówka – fot. Jerzy Opiola, CC BY-SA 3.0
49. Czy takie skarby ukryto w Niedzicy?
50. *Napoleon w stroju koronacyjnym* – obraz z 1805 roku François Gérarda
51. *Śmierć ks. J. Poniatowskiego w Elsterze* – rycina Jana Piotra Norblina

52. *Niech żyje Cesarz!* – na obrazie Wojciecha Kossaka
53. *Wejście wojsk francuskich do Warszawy* – rycina z początków XIX wieku
54. Grenadier i saper Księstwa Warszawskiego na obrazie Januarego Suchodolskiego z 1822 roku
55. *Szturm na mury Saragossy* – obraz Januarego Suchodolskiego z 1870 roku
56. Książę Józef Poniatowski na obrazie z początku XIX wieku
57. Proklamacja wzywająca do walki z Austrią po stronie Napoleona
58. Most Kierbedzia w Warszawie obsadzany przez 10 pułk piechoty podczas zamachu majowego w 1926 roku – „Światowid” 1926, nr 21 z 21 maja
59. Prezydent Ignacy Mościcki i Hermann Göring podczas polowania w Białowieży
60. Generał Tadeusz Jordan Rozwadowski – NAC, Sygnatura 1-W-451
61. Generał Włodzimierz Ostoja-Zagórski – Zbigniew Cieślikowski, *Tajemnice śledztwa KO-1042/27. Sprawa generała Zagórskiego*, Warszawa 1976
62. Marszałek Edward Rydz-Śmigły – „Gazeta Polska”, 1937, Biblioteka Kongresu USA [hec. 27123](#)
63. Nakaz zwolnienia generała Zagórskiego z aresztu
64. List gończy za generałem Włodzimierzem Zagórskim – Zbigniew Cieślikowski, *Tajemnice śledztwa KO-1042/27. Sprawa generała Zagórskiego*, Warszawa 1976
65. Prezydent Ignacy Mościcki wręcza buławę marszałkowską Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu
66. Przemówienie Edwarda Rydza-Śmigłego w Krakowie, 6 sierpnia 1939 roku – Hanna i Tadeusz Jędruszczak, *Ostatnie lata II Rzeczypospolitej (1935–1939)*, Warszawa 1970
67. Suchá Hora, miejsce przekroczenia granicy przez marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego w 1941 roku – fot. Maciej Szczepańczyk, CC BY-SA 2.5
68. Grób Marszałka Polski Edwarda Rydza-Śmigłego – fot. Cezary p, [GFDL](#)
69. Tablica na budynku przy ulicy Sandomierskiej 18 w Warszawie upamiętnia

Edwarda Rydza-Śmigłego i miejsce jego zamieszkania – fot. Jolanta Dyr, CC BY-SA 3.0

70. Edward Rydz-Śmigły z żoną Martą Thomas podczas wyborów do sejmu w 1938 roku – NAC, Sygnatura 1-A-927-5

71. Pierwszy gospodarz Polski Ludowej na propagandowym plakacie

72. Bierut wśród dzieci w dniu swoich urodzin, „Radio i Świat”, 1951, nr 16

73. Gazety codzienne z 13 marca 1956 roku – nazajutrz po śmierci Bieruta

74. Grób Bolesława Bieruta na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie – fot. Cezary Piwowarski, CC BY-SA 3.0



# Bibliografia

- Ajnenkiel Andrzej, *Polska po przewrocie majowym*, Warszawa 1980.
- Askenazy Szymon, *Napoleon a Polska*, t. I, *Upadek Polski a Francja*, Warszawa–Kraków 1918.
- Askenazy Szymon, *Napoleon a Polska*, t. II, *Bonaparte a Legiony*, Warszawa–Kraków 1918.
- Askenazy Szymon, *Napoleon a Polska*, t. III, *Bonaparte a Legiony*, Warszawa–Kraków 1919.
- Baliszewski Dariusz, *Historia nadzwyczajna*, Wrocław 2009.
- Baliszewski Dariusz, *Rosyjska misja*, <http://polska.newsweek.pl/rosyjska-misja,20796,1,1.html>; dostęp: 2.11.2015.
- Bańkowski Andrzej, *Imiona przodków Bolesława Chrobrego u Galla Anonima (Rozważania etymologiczne)*, „*Onomastica*”, 1989, t. 34, s. 103–138.
- Barański Marek, *Dynastia Piastów w Polsce*, Warszawa 2006.
- Basarabowicz Tomasz, *Złamane kariery. Losy przeciwników marszałka Piłsudskiego po zamachu majowym 1926 r.*, <http://nowahistoria.interia.pl/ii-rzeczpospolita/news-zlamane-kariery-losy-przeciwnikow-marszalka-pilsudskiego-po-,nId,1399581>; dostęp: 4.07.2015.
- Berbecki Leon, *Pamiętniki*, Katowice 1959.
- Bernaś Franciszek, *Zaginieni bez wieści*, Lublin 1989.
- Besala Jerzy, *Potęga polskiego oręża*, „*Newsweek Historia*”, 2015, nr 1, s. 70–73.
- Bielski Mieczysław, *Władysław Warneńczyk na Bałkanach (1443–1444). Dwie wyprawy*, Toruń 2009.

- Borkowska Urszula, *Dynastia Jagiellonów w Polsce*, Warszawa 2012.
- Brocki Zygmunt, *Jan z Kolna – wodzem gdańskim?*, „Litery”, 1974, nr 3.
- Brodzicki Czesław, *Kolno na Mazowszu*, Warszawa 1982.
- Buko Andrzej, *Archeologia Polski wczesnośredniowiecznej. Odkrycia – hipotezy – interpretacje*, Warszawa 2006.
- Bydżyńska Celina, *Strzępy rodzinnej sagi*, Warszawa 1997.
- Cat-Mackiewicz Stanisław, *Zielone oczy*, Kraków 2012.
- Ciano Galeazzo, *Pamiętniki 1939–1943*, tłum. K. Fudakowski, Warszawa 1991.
- Cichowski Jerzy, Szulczyński Andrzej, *Husaria*, Warszawa 1977.
- Cieśliewicz Marian, *Generałowie polscy w opinii J. Piłsudskiego*, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, 1966, nr 1.
- Cieślukowski Zbigniew, *Tajemnice śledztwa KO-1042/27. Sprawa generała Zagórskiego*, Warszawa 1983.
- Conquest Robert, *The Great Terror, Stalin's Purge of the Thirties*, Michigan 1968.
- Czubaty Jarosław, *Bonaparte dla nas. Bilans pamięci*, „W Sieci Historii”, 2015, nr 8, s. 23–25.
- Czubaty Jarosław, *Księstwo Warszawskie (1807–1815)*, Warszawa 2011.
- Czubaty Jarosław, *Tajemnica spisku Feliksa Potockiego*, „Newsweek Historia”, 2015, nr 1, s. 74–79.
- Dąbrowska Maria, *Dzienniki*, t. 4, Warszawa 1988.
- Dąbrowska Maria, *Dzienniki powojenne 1945–1965*, Warszawa 1996.
- Dowjat Jerzy, *Chrzest Polski*, Warszawa 1961.
- Dowjat Jerzy, *Metryka chrztu Mieszka I i jej geneza*, Warszawa 1961.
- Dubicki Tadeusz, *Wielka ucieczka Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego z Rumunii w relacji ppłk. R. Najsaraka*, Radomsko 2013.

- Duczko Władysław, *Obecność skandynawska na Pomorzu i słowiańska w Skandynawii we wczesnym średniowieczu*, [w:] *Salsa Cholbergensis*, Kołobrzeg 2000, s. 23–43.
- Duczko Władysław, *Ruś wikingów. Historia obecności Skandynawów we wczesnośredniowiecznej Europie Wschodniej*, tłum. N. Kreczmar, Warszawa 2006.
- Fieldorf Marta, Zachuta Leszek, *Generał Fieldorf „Nil”. Fakty, dokumenty, relacje*, Warszawa 1993.
- Furdyna Jacek K., *Scolvus’ Discovery of Labrador*, [w:] „Polish American Studies”, 1952, nr 3–4, s. 65–77.
- Eisler Jerzy, *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR*, Warszawa 2014.
- Engelgard Jan, *Sekcji zwłok nie będzie*, „Konfrontacje”, 1988, nr 6.
- Estreicher junior Karol, *Dziennik wypadków, tom II, 1946–1960*, Kraków 2002.
- Garlicki Andrzej, *Bolesław Bierut*, Warszawa 1994.
- Garlicki Andrzej, *Przewrót majowy*, Warszawa 1978.
- Garlicki Andrzej, *Z tajnych archiwów*, Warszawa 1993.
- Gembarzewski Bronisław, *Husarze: ubiór, oporządzenie i uzbrojenie: 1500–1775*, Warszawa 1939.
- Głębowicz Witold, *Legenda skrzydlatych husarzy*, „Inne Oblicza Historii”, 2006, nr 5, s. 5–19.
- Goetel Ferdynand, *Czasy wojny*, Gdańsk 2000.
- Gołąb Ryszard, *Ilustrowana monografia Mazowieckiego z historią Twierdzy Modlin*, Warszawa 2001.
- Grabowski Ambroży, *Starożytności historyczne polskie, pisma i pamiątki do dziejów dawnej Polski*, Kraków 1840.
- Grabski Andrzej F., *Czy historiografię można uwolnić od mitów?*, „Przegląd Humanistyczny”, 1996, nr 1, s. 1–17.
- Grzędziński January, *Maj 1926*, Warszawa 1936.

- Guz Eugeniusz, *Losy Mościckiego i Rydza-Śmigłego. Niemiecka dokumentacja*, „Polityka”, 1981, nr 9.
- Haiman Mieczysław, *Ślady polskie w Ameryce. Szkice historyczne*, Chicago 1938.
- Haller Józef, *Pamiętniki*, Łomianki 2014.
- Hryniewicz Marek, *Bitwa pod Wiedniem*, Warszawa 1983.
- Iwaszkiewicz Jarosław, *Dzienniki 1956–1963*, Warszawa 2010.
- Jabłonowski Marek, Stawecki Piotr, *Następca Komendanta. Edward Śmigły-Rydz. Materiały do biografii*, Pułtusk–Warszawa 2013.
- Jana Długosza kanonika krakowskiego  *dziejów polskich ksiąg dwanaście*, t. IV, Kraków 1869.
- Jasienica Paweł, *Polska Piastów. Polska Jagiellonów*, Warszawa 1986.
- Jasiński Tomasz, *Początki Polski w nowym świetle*, „Nauka”, 2007, nr 4, s. 7–18.
- Jastrzębski Jan, *Klasztor Świętego Krzyża na Łyścu*, Kielce 1989.
- Jurga Tadeusz, *U kresu Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1985.
- Kakowski Aleksander, *Z niewoli do niepodległości. Pamiętniki*, Kraków 2000.
- Kallimach Buonaccorsi Filip, *O królu Władysławie, czyli o klęsce warneńskiej*, tłum. M. Gliszczyński, Warszawa 1854.
- Kalwat Wojciech, *W krainie legend*, „Mówią Wieki”, 2005, nr 4.
- Karski Jan, *Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919–1945. Od Wersalu do Jałty*, Lublin 1998.
- Kielanowski Leopold, *Odyseja Władysława Warneńczyka*, Londyn 1991.
- Kisielewski Tadeusz A., *Zabójcy. Widma wychodzą z cienia*, Poznań 2006.
- Klimkowski Jerzy, *Byłem adiutantem gen. Andersa*, Warszawa 1959.
- Komuda Jacek, *Potęga polskiej husarii*, „Historia Do Rzeczy”, 2015, nr 1, s. 6–9.
- Konstantin iz Ostrovice, *Pamiętniki Janczara przed rokiem 1500 napisane*, Sanok 1857.
- Kopański Stanisław, *Moja służba w wojsku polskim 1917–1939*, Londyn 1965.

- Korboński Stefan, *Bohaterowie państwa podziemnego – jak ich znałem*, Warszawa 1990.
- Kosk Henryk P., *Generalicja polska. Popularny słownik biograficzny*, t. I, A–Ł, Pruszków 1998.
- Kosk Henryk P., *Generalicja polska. Popularny słownik biograficzny*, t. II, M–Ż, Pruszków 2001.
- Kosmasa *Kronika Czechów*, tłum. M. Wojciechowska, Warszawa 1968.
- Kowalski Piotr, *Generał brygady Włodzimierz Ostoja-Zagórski, 1882–1927*, Toruń 2007.
- Kowalski Piotr, *Nieznani sprawcy*, „Focus Historia”, 2011, nr 11, s. 30–33.
- Kozłowski Czesław, *Namiestnik Stalina*, Warszawa 1993.
- Kraszewski Józef Ignacy, *Wizerunki książąt i królów polskich*, Warszawa 1888.
- Kronika Thietmara*, tłum. M.Z. Jedlicki, Kraków 2014.
- Kryśka-Karski Tadeusz, Żurkowski Stanisław, *Generałowie Polski niepodległej*, Warszawa 1991.
- Krzemińska Agnieszka, *Polak – wiking, dwa bratanki. Rozmowa z Władysławem Duczko*, „Archeologia Żywa”, 2004, nr 3–4, s. 46–51.
- Krzywoszewski Stefan, *Długie życie. Wspomnienia*, t. II, Warszawa 1947.
- Kukiel Marian, *Dzieje Polski porozbiorowej*, Londyn 1961.
- Kunert Andrzej K., *Ostatnie dni Marszałka Śmigłego. Wybór dokumentów*, Warszawa 1992.
- Kurnatowska Zofia, *Początki Polski*, Poznań 2002.
- Labuda Gerard, *Mieszko I*, Wrocław–Warszawa–Kraków 2002.
- Labuda Gerard, *Nie było żadnych Polon/Polonów, byli Polanie*, „Mówią Wieki”, 2009, nr 11, s. 24–27.
- Labuda Gerard, *Pierwsze wieki monarchii piastowskiej*, Poznań 2012.
- Labuda Gerard, *Studia nad początkami państwa polskiego*, t. 1–2, Poznań 1987–1988.

- Lechoń Jan, *Dziennik. Tom 1. 30 sierpnia 1949 – 31 grudnia 1950*, Warszawa 1992.
- Leon Nicolas, *Historia General de Mexico*, tłum. O. Szwarc, Mexico 1919.
- Leski Kazimierz, *Życie niewłaściwie urozmaicone. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK*, Warszawa 1989.
- Lewicki Anatol, *Pseudo-Warneńczyk*, „Kwartalnik Historyczny”, 1895, nr 9, s. 239–245.
- Leżeński Cezary, *Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, Lublin 1989.
- Lipiński Piotr, *Bolesław Niejasny. Opowieść o Bolesławie Bierucie, Forreście Gumpie polskiego komunizmu*, Warszawa 2001.
- Lisiewicz Paweł Maria, *Bezimienni. Z dziejów wywiadu Armii Krajowej*, Warszawa 1987.
- Łapińska Elżbieta, *Bierut – jaki był naprawdę*, [w:] *Białe plamy*. 3, Warszawa 1989.
- Łapińska Elżbieta, *Bierut – skąd przyszedł? Jaki był?*, [w:] *Białe plamy*. 4, Warszawa 1989.
- Łatyński Marek, *Nie paść na kolana. Szkice o opozycji lat czterdziestych*, Warszawa 1987.
- Łowmiański Henryk, *Imię chrzestne Mieszka I*, „Slavia Occidentalis”, 1948, t. 19, s. 203–308.
- Łukasiewicz Krystyna, *Polski książę Mieszko Lambert czy król Polski Mieszko II Lambert? Nowe spojrzenie na Dagome iudex i Calendarium Merseburgense*, „Slavia Antiqua”, 2010, t. LI, s. 117–126.
- Łysiak Waldemar, *Bonapartyzm. Z Waldemarem Łysiakiem – ostatnim polskim bonapartystą – rozmawia Paweł Lisicki*, „Uważam Rze Historia”, 2012, nr 7, s. 6–18.
- Łysiak Waldemar, *Napoleoniada*, Warszawa 1990.
- Mackiewicz Józef, *Legendy i rzeczywistości*, „Wiadomości”, 1967, nr 1131, <http://www.pogon.lt/Fundacja/Biblioteka/ArtykulyMack/Legendy%20i%20orzeczyw> dostęp: 16.08.2015.
- Mackiewicz Michał, *Kopia, zbroja i broń biała*, „Historia Do Rzeczy”, 2015, nr 1, s. 14–15.
- Mackiewicz (Cat) Stanisław, *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.*, Warszawa 1989.
- Majewski Alfred, *Zamek w Niedzicy*, Warszawa 1987.

- Maleczyński Karol, *Bolesław Krzywousty. Zarys panowania*, Kraków 1947.
- Malinowski Ludwik, *Dramaty ludzi władzy II Rzeczypospolitej*, Łomża 2001.
- Manfred Alfred, *Napoleon Bonaparte*, tłum. A. Szymański, Warszawa 1986.
- Maroń Jerzy, *O osobliwościach polskiej historii wojskowości*, Wrocław 2013.
- Maryański Walery, *Luźne karty*, t. 1, k. 275, Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, sygn. 16265/II.
- Maxymowicz-Raczyńska Jadwiga, *Edward Śmigły-Rydz w Warszawie*, „Dzieje Najnowsze”, 1970, nr 1, s. 185–194.
- Mazewski Lech, *Napoleon a sprawa polska*, „Historia Uważam Rze”, 2015, nr 6, s. 10–13.
- Miłosz Czesław, *Wyprawa w dwudziestolecie*, Kraków 1999.
- Mitkiewicz Leon, *Z gen. Sikorskim na obczyźnie (fragmenty wspomnień)*, Paryż 1968.
- Mity i legendy w polskiej historii wojskowości*, t. 1–2, red. W. Caban, J. Smoliński, Kielce 2014.
- Molenda Jarosław, *Poczet odkrywców i zdobywców Ameryki Łacińskiej*, Warszawa 2007.
- Moniwiec Jakub, *Wolin w średniowiecznej tradycji skandynawskiej*, Kraków 2010.
- Mowat Farley, *Wyprawy wikingów. Dawni Normanowie w Grenlandii i Ameryce Północnej*, tłum. W. Niepokólczycki, Warszawa 1972.
- Mycielski Zygmunt, *Dziennik 1950–1959*, Warszawa 2001.
- Nadolski Andrzej, *Broń i strój rycerstwa polskiego w średniowieczu*, Wrocław 1979.
- Nagielski Mirosław, *Mit uskrzydłony*, „Historia Do Rzeczy”, 2015, nr 1, s. 10–13.
- Napoleon i Polacy*, red. J. Macyszyn, Warszawa 2005.
- Nicieja Stanisław, *Cmentarz obrońców Lwowa*, Wrocław 1990.
- Nieuważny Andrzej, *My z Napoleonem*, Wrocław 1999.
- Nosal Zbigniew, *Święty Krzyż*, Łódź 1970.
- Nowak-Jeziorański Jan, *O proces Bolesława Bieruta i współników*, „Zeszyty Historyczne”,

1989, z. 88, s. 62–80.

Olchowicz Konrad, *Ćwierć wieku z „Kurierem Warszawskim”*, Kraków 1974.

Olejniki Karol, *Władysław III Warneńczyk (1424–1444)*, Kraków 2007.

Olszewicz Bolesław, *O Janie z Kolna, domniemanym polskim poprzedniku Kolumba*, [w:] „Przegląd Geograficzny”, 1933, t. XIII, z. 2–4, s. 51–65.

Orłowska-Stanisławska Joanna, *Nordycki think-tank Mieszka I. Rozmowa z dr. Błażejem Stanisławskim*, „Focus Historia Ekstra”, 2015, nr 1, s. 42–45.

Oseka Piotr, *Towarzysze na celowniku*, „Newsweek Historia”, 2015, nr 2, s. 42–45.

Pająk Henryk, *Ponura prawda o Piłsudskim*, Lublin 2005.

Pastuszka Wojciech, *Jak powstała Polska*, „Archeologia Żywa”, 2011, nr 3, s. 26–35.

Patelski Mariusz, *Generał broni Tadeusz Jordan Rozwadowski. Żołnierz i dyplomata*, Warszawa 2002.

Pertek Jerzy, *Polacy na morzach i oceanach. Do roku 1795*, t. 1, Poznań 1981.

Perzyński Jacek, *Wikingowie dotarli pod Łódź*, „Nasza Historia. Dziennik Łódzki”, 2015, nr 1, s. 12–15.

Pietras Zdzisław S., *Bolesław Krzywousty*, Katowice 1978.

Pietrzak Michał, *Reglamentacja wolności prasy w Polsce (1918–1939)*, Warszawa 1963.

Pietrzak Stanisław, *Skarb Inków w ruinach Tropsztyna?*, „Czas Czchowa”, 1997, nr 56–60.

Piłsudska Aleksandra, *Wspomnienia*, Warszawa 1989.

Piłsudski Józef, *Testament – korespondencja*, oprac. Z. Cieślowski, Warszawa 1991.

Piskozub Andrzej, *Opływanie Ziemi*, Gdańsk 1994.

Pizuński Paweł, *Polskie ślady skandynawskich wojowników*, „Focus Historia Ekstra”, 2015, nr 1, s. 46–49.

Pobóg-Malinowski Władysław, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864–1945*, Londyn 1956.



Pobóg-Malinowski Władysław, *Ostatnie chwile Marszałka Śmigłego*, „Kultura”, 1951, nr 12, s. 100–110.

*Poczet królów i książąt polskich*, red. A. Garlicki, Warszawa 1984.

Podhorodecki Leszek, *Wiedeń 1683*, Warszawa 1980.

Politowicz Andrzej, *Tajemnica niedzickiego zamku*, „Gazeta Wyborcza w Krakowie”, 1997, 15 października.

*Polska Mieszka I. W tysiąclecie śmierci twórcy państwa i Kościoła polskiego 25 V 992 – 25 V 1992*, red. J. Piskorski, Poznań 1993.

Położyński Antoni, *Marszałek Józef Piłsudski odbrązowiony*, Warszawa 1998.

Pomian Grażyna, *Śmierć Bolesława Bieruta*, „Zeszyty Historyczne”, 2000, z. 134, s. 188–217.

Porwit Marian, *Spojrzenia poprzez życie*, Warszawa 1986.

Potkowski Edward, *Warna 1444*, Warszawa 1990.

Pragier Adam, *Czas przeszły dokonany*, Londyn 1966.

Pruszyński Mieczysław, *Tajemnica Piłsudskiego*, Warszawa 1996.

Putrament Jerzy, *Pół wieku. Poślizg*, Warszawa 1980.

Putrament Jerzy, *Pół wieku. Wojna*, Warszawa 1969.

Rakowski Mieczysław F., *Dzienniki polityczne 1958–1962*, Warszawa 1998.

Rawicz Jerzy, *Doktor Łokietek i Tata Tasiemka*, Warszawa 1968.

Rawicz Jerzy, *Generał Zagórski zaginął... Z tajemnic lat międzywojennych*, Warszawa 1963.

Reynolds Susan, *The Writing of Medieval Urban History in England*, „Theoretische Geschiedenis”, 1992, t. 19, s. 43–57.

Rogowski Bazyli, *Wspomnienia o Marszałku Śmigłym*, „Zeszyty Historyczne”, 1962, z. 2, s. 9–124.

Romański Romuald, *Niewyjaśnione zagadki historii Polski*, Warszawa 2013.

Romeyko Marian, *Przed i po maju*, Warszawa 1967.

Romeyko Marian, *Wspomnienia o Wieniawie i o rzymskich czasach*, Warszawa 1969.

Rosa Manuel, *Kolumb. Historia nieznaną*, tłum. M. Szafrńska-Brandt, Poznań 2012.

Rosik Stanisław, *Bolesław Krzywousty*, Wrocław 2013.

Rostkowski Jerzy, *Świat Muszkieterów. Zapomnij albo giń*, Tarnów 2014.

Rowiński Aleksander, *Pod klątwą kapłanów*, Warszawa 2000.

Rowiński Aleksander, *Przekłete łzy słońca*, Warszawa 2006.

Rozwadowski Adam, *Generał Rozwadowski*, Kraków 1929.

Rożek Michał, *Smakowitości obyczajowe*, Kraków 2011.

Rudnicki Klemens, *Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939–1947*, Warszawa 1990.

Ruszczyc Marek, *Więźniowie Marszałka*, Warszawa 1969.

Ruszczynski Adam, *Mieszko I. Skandynawski jarl czy słowiański kneź?*, Zielona Góra 2014.

Rybak Józef, *Pamiętniki*, Warszawa 1954.

Rzepecki Jan, *Wspomnienia i przyczynki historyczne*, Warszawa 1983.

*Sekrety PRL-u*, praca zbiorowa, Warszawa 2011.

Sienkiewicz Henryk, *Wiry*, Warszawa 1993.

Sikora Radosław, *Fenomen husarii*, Warszawa 2013.

Sikora Radosław, *Z dziejów husarii*, Warszawa 2010.

Skrok Zdzisław, *Czy wikingowie stworzyli Polskę?*, Warszawa 2013.

Skrok Zdzisław, *Słowiańska moc, czyli o niezwykłym wkroczeniu naszych przodków na europejską arenę*, Warszawa 2006.

Skrzypek Andrzej, *Zamachy stanu w Polsce XX wieku*, Warszawa 2014.

Słabczyński Wacław, *Polscy podróżnicy i odkrywcy*, Warszawa 1998.

- Sławoj-Składkowski Walery, *Strzępy meldunków*, Warszawa 1988.
- Słowiński Przemysław, *Bohaterowie i zdrajcy. Polacy w służbach różnych wywiadów*, Chorzów 2013.
- Słownik starożytności słowiańskich*, t. 1–8, red. W. Kowalenko, G. Labuda, T. Lehr-Spławiński, Wrocław–Warszawa 1961–1996.
- Sobociński Władysław, *Historia ustroju i prawa Księstwa Warszawskiego*, Toruń 1964.
- Sosnkowska Jadwiga, Kowalski Włodzimierz T., *W kręgu mitów i rzeczywistości*, Warszawa 1988.
- Stachelski Karol Jacek, *Mityczny Jan z Kolna*, „Zeszyty Kolneńskie”, 2006, nr 1, s. 5–14.
- Stanisławski Błażej, *Jak Słowianie skolonizowali Skandynawię*, „Archeologia Żywa”, 2009, nr 1, s. 36–38.
- Stanisławski Błażej, *Mieszko nie był wikingiem*, „Archeologia Żywa”, 2011, nr 6, s. 10–11.
- Stanisławski Błażej, *Śledztwo w sprawie Jómshorga*, „Archeologia Żywa”, 2012, nr 2, s. 14–21.
- Stanisławski Błażej, *Tajemnica strontu albo czy budowaliśmy Danię*, „Archeologia Żywa”, 2012, nr 1, s. 18–22.
- Staszewski Janusz, *Wojsko polskie na Pomorzu w roku 1807*, Gdańsk 1958.
- Stawecki Piotr, *Wojsko Marszałka Józefa Piłsudskiego. 12 V 1926 – 12 V 1935*, Warszawa 2004.
- Stępień Sławomir, *Reakcje bezpieczeństwa na śmierć Tow. „Tomasza”*, <http://ipn.gov.pl/obep-warszawa/publikacje-internetowe-obep/reakcje-bezpieki-na-smierc-tow.-tomasza>; dostęp: 25.08.2015.
- Strzelczyk Jerzy, *Mieszko I*, Poznań 2013.
- Swoboda Wincenty, *Warna 1444*, Kraków 1994.
- Szczepański Jan Józef, *Dziennik tom I: 1945–1956*, Kraków 2009.
- Szczepański Jan Józef, *Kipu*, Kraków 1978.
- Szrejter Artur, *Słowiański podbój Niemiec*, „Historia Do Rzeczy”, 2015, nr 1, s. 34–37.

- Szwarc Andrzej, Urbański Marek, Wieczorkiewicz Paweł, *Kto rządził Polską? Nowy poczet władców – od początków do XXI wieku*, Warszawa 2007.
- Szymaniak Marcin, *Normańska dynastia Piastów?*, „Focus Historia Ekstra”, 2015, nr 1, s. 38–41.
- Ślaski Kazimierz, *Poprzednicy Kolumba*, Gdańsk 1969.
- Śliwiński Piotr, *Tadeusz Dołęga-Mostowicz*, Poznań 1994.
- Świat Słowian wczesnego średniowiecza*, red. M. Dworaczyk i in., Szczecin–Wrocław 2006.
- Światło Józef, *Za kulisami bezpieki i partii*, Białystok [bez daty wydania].
- Święch Zdzisław, *Klątwy, mikroby i uczeni, t. 3, Ostatni krzyżowiec Europy*, Kraków 1995.
- Świętek Ryszard, *Lodowa ściana. Sekrety polityki Józefa Piłsudskiego w latach 1904–1918*, Kraków 1998.
- Tadeusz Jordan Rozwadowski. Generał broni*, red. S. Rozwadowski, Katowice 1993.
- Teodorczyk Jerzy, *Bitwa pod Gniewem (22 IX – 29 IX – 1 X 1626). Pierwsza porażka husarii*, „Studia i Materiały do Historii Wojskowości”, 1966, t. XII, cz. 2, s. 70–172.
- Tomkiewicz Władysław, *Testament Jeremiego Wiśniowieckiego*, „Miesięcznik Heraldyczny”, 1930, t. IX, nr 4, s. 67–77.
- Topolski Jerzy, *Historiografia jako tworzenie mitów i walka z nimi*, [w:] *Ideologie, poglądy, mity w dziejach Polski i Europy XIX i XX wieku. Studia historyczne*, red. J. Topolski, W. Molik, K. Makowski, Poznań 1991, s. 243–254.
- Torańska Teresa, *Oni – część 3. Jakub Berman*, Warszawa 2012.
- Tulard Jean, *Napoleon – mit zbawcy*, tłum. K. Dunin, Warszawa 2003.
- Urbańczyk Przemysław, *Mieszko Pierwszy Tajemniczy*, Toruń 2012.
- Urbańczyk Przemysław, *Trudne początki Polski*, Wrocław 2008.
- Walka o dobrą kulturę*, red. S. Lorentz, t. II, Warszawa 1970.
- Werblan Andrzej, *Stalinizm w Polsce*, Warszawa 2009.

- Weremiej Feliks Zygmunt, *Śladem zagubionych ogniw*, Warszawa 1977.
- Węcowski Piotr, *Życie po życiu Władysława Warneńczyka*, „Focus Historia”, 2011, nr 5, s. 60–63.
- Węglowski Adam, *Kto wrobił wuja Jaruzelskiego?*, „Focus Historia”, 2011, nr 11, s. 43–47.
- Węglowski Adam, *Zatrute życie Śmigłego-Rydza*, „Focus Historia”, 2012, nr 4, s. 44–47.
- Widawski Jan, *Jeremi Wiśniowiecki. Książę Jarema*, Katowice 1984.
- Wieczorkiewicz Paweł, *Bohaterowie, renegaci, zdrajcy...*, Łomianki 2015.
- Wieczorkiewicz Paweł, *Historia polityczna Polski 1935–1945*, Poznań 2014.
- Wieczorkiewicz Paweł, *Ostatnie lata Polski niepodległej. Kampania 1939 roku*, Łomianki 2013.
- Wieczorkiewicz Paweł, Błażejowska Justyna, *Przez Polskę Ludową na przelaj i na przekór*, Poznań 2011.
- Wielowiejski Przemysław, *Słowianie w Arktyce. Rozmowa z Przemysławem Urbańczykiem*, „Archeologia Żywa”, 1999, nr 1, s. 39–42.
- Wiesiołowski Jacek, *Pseudo-Warneńczykowie w Poznaniu*, „Kronika Miasta Poznania”, 1995, nr 3, s. 241–255.
- Wilamowski Jacek, Zasieczny Andrzej, *Rozkaz: Zabić Witkowskiego! Tajemnice organizacji wywiadowczej „Muszkietierowie” 1939–1942*, Warszawa 2013.
- Witczak Jakub, *Między Napoleonem a Aleksandrem*, „Historia Uważam Rze”, 2015, nr 6, s. 24–26.
- Witos Wincenty, *Moja tułaczka 1933–1939*, Warszawa 1967.
- Witos Wincenty, *Wspomnienia*, t. III, Paryż 1964.
- Wojtasik Janusz, *Z myślą o Niepodległej... Polskie powstania narodowe i próby powstańcze w latach 1795–1914*, Warszawa 2013.
- Wojtaszak Andrzej, *Generalicja Wojska Polskiego 1921–1926*, Szczecin 2005.
- Wołłejko Michał, *Ciężkie pobicie za „obrazę Marszałka”*, „Historia Do Rzeczy”, 2015, nr 1, s. 94–96.

- Woszczyński Bolesław, *Sprawa generała Tadeusza Rozwadowskiego*, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, 1966, nr 3.
- Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach*, oprac. M. Cieplewicz, E. Kozłowski, Warszawa 1989.
- Wybicki Józef, *Życie moje*, Warszawa 1929.
- Wyrozumski Jerzy, *Historia Polski do roku 1505*, Warszawa 1979.
- Wysocki Wiesław Jan, *Cień Zawiszy. Ostatnie lata Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza*, Komorów 1991.
- Wyszczelski Lech, *Marszałek Polski Edward Śmigły-Rydz (1886–1941)*, Toruń 2013.
- Wyszczelski Lech, *O marszałku Edwardzie Śmigłym-Rydz. Od uwielbienia do potępienia*, Warszawa 2015.
- Wyszyński Stefan, *Zapiski więzienne*, Paryż 1982.
- Zahorski Andrzej, *Napoleon*, Warszawa 1982.
- Zamach stanu Józefa Piłsudskiego 1926 roku*, red. M. Sioma, Lublin 2007.
- Zambrowski Roman, *Dziennik*, „Krytyka”, 1980, nr 6, s. 20–107.
- Zamoyski Adam, *Napoleon wykorzystał Polaków*, „Uważam Rze Historia”, 2012, nr 7, s. 20–23.
- Zaremba Marcin, *Pojechał dumnie, wrócił w trumnie*, „Polityka”, 2006, nr 10, s. 74–76.
- Zarębski Ignacy, *Stosunki Eneasza Sylwiusza z Polską i Polakami*, Kraków 1939.
- Zawadzka-Wetz Alicja, *Refleksje pewnego życia*, Paryż 1967.
- Zdziechowski Marian, *Sprawa sumienia polskiego*, Wilno 1927.
- Ziejka Franciszek, *Wieczna pamiątka między chrześcijany... (Z dziejów legendy Władysława Warneńczyka, ostatniego krzyżowca Europy)*, wykład na Papieskim Wydziale Teologicznym we Wrocławiu z okazji nadania godności doktora honorowego, 7 października 2003 r.
- Zieliński Andrzej, *Miecze wikingów*, Warszawa 2014.

Zieliński Andrzej, *Początki Polski. Zagadki i tajemnice*, Warszawa 2015.

Zieliński Andrzej, *Polskie legendy, czyli jak to mogło być naprawdę*, Warszawa 2009.

Zieliński Andrzej, *Sarmaci, katolicy, zwycięzcy. Kłamstwa, przemilczenia i półprawdy w historii Polski*, Warszawa 2015.

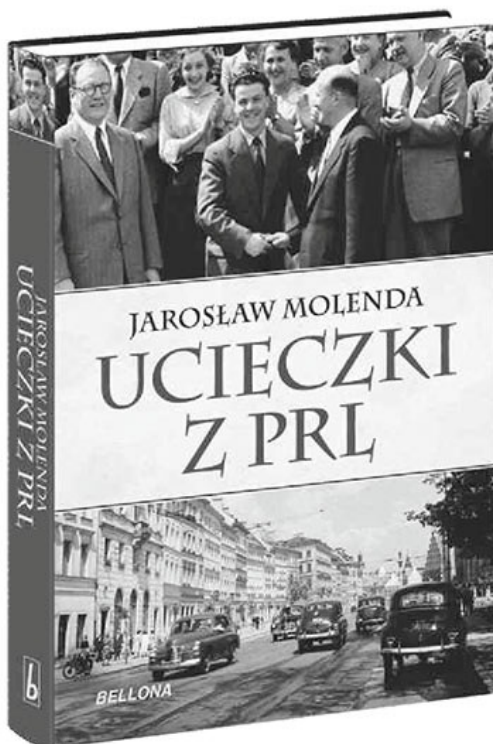
Zieliński Andrzej, *Skandaliści w koronach. Łotry, rozpustnicy i głupcy na polskim tronie*, Warszawa 2013.

*Ziemie polskie w X wieku i ich znaczenie w kształtowaniu się nowej mapy Europy*, red. H. Samsonowicz, Kraków 2000.

Żeromski Stefan, *Jan z Kolna*, [w:] *Wiatr od morza*, <http://literat.ug.edu.pl/~literat/wiatr/0014.htm>; dostęp: 15.11.2015.

Żygulski Zdzisław (junior), *Broń w dawnej Polsce na tle uzbrojenia Europy i Bliskiego Wschodu*, Warszawa 1975.

Żygulski Zdzisław (junior), *Husaria polska*, Warszawa 2000.



## Jarosław Mołenda Ucieczki z PRL

Grupa osób opuszczających PRL na skutek selektywnego prześladowania (tak precyzuje się definicję uchodźcy) była tylko częścią ogółu emigrantów, w okresach wzmożonego odpływu względnie nieliczną. Wobec faktu zablokowania drogi swobodnej emigracji, osoby, które z różnych względów nie widziały możliwości dalszego życia w Polsce Ludowej, podejmowały decyzję o wydostaniu się z kraju nielegalnie. Jednak niewielka tylko część wychodźców angażowała się na obczyźnie w działania na rzecz zmian politycznych w Polsce. Najważniejsze jest to, że bezprecedensowa ingerencja państwa w życie społeczne, nawet w sprawy uważane za całkiem prywatne, uczyniła politycznymi wiele motywów niepolitycznych, a przynajmniej nadała takim ucieczkom polityczny wymiar.

Zapraszamy na strony [www.bellona.pl](http://www.bellona.pl), [www.ksiegarnia.bellona.pl](http://www.ksiegarnia.bellona.pl)  
Bellona Spółka Akcyjna, ul. Bema 87, 01-233 Warszawa,  
Dział Wysyłki, [zamowienia@bellona.pl](mailto:zamowienia@bellona.pl), tel. 22 457 04 49

**[www.bellona.pl](http://www.bellona.pl)**



Znaczna część ludzi jest przekonana, że Hamlet trzymał czaszkę, kiedy zadawał swoje egzystencjalne pytanie o „być albo nie być”. W rzeczy samej przeprowadził ten monolog już w trzecim akcie, podczas gdy scena z czaszką jest w piątym. Ale świat nie chciał tego tak widzieć i dlatego sceny połączono razem. Historycy starają się oddzielać mity od rzeczywistości, a mimo to istnieją utarte twierdzenia, które wszyscy mniej lub bardziej biorą za pewnik. Dlatego niektórzy nazywają to syndromem Hamleta.

*Mity polskie* stanowią próbę odkłamania pewnych obiegowych prawd, do których tak bardzo Polacy się przyzwyczaili. Walka z mitami nie jest prosta, co przyznawał nawet Napoleon, który powiedział, że łatwiej zwyciężyć w dziesięciu bitwach niż pokonać jeden mit.

Książka ta nie jest podręcznikiem historii Polski ani próbą napisania jej od nowa. To rodzaj podsumowania dotychczasowego stanu wiedzy, wzbogaconego o najnowsze hipotezy i wnioski.

- Czy Warneńczyk zginął pod Warną?
- Czy nasz rodak odkrył Amerykę?
- Czy husarze mieli skrzydła na plecach?
- Czy Napoleon sprzyjał Polakom?
- Czy Piłsudski stał za zniknięciem generała Zagórskiego?
- Czy Rydz-Śmigły był drugim Pétainem?
- Czy Sowieci zabili Bieruta?

patronat medialny

